

**MEG CABOT**

**DZIEWCZYNA AMERYKI**

*Prawdziwym bohaterom Ameryki z 11 września 2001*

Dziesięć głównych powodów, dla których nie cierpię mojej siostry Lucy:

10. Donoszę do niej wszystkie ubrania, ze stanikami włącznie.

9. Kiedy odmawiam (donoszenia po niej ubrań, a zwłaszcza staników), muszę wysłuchać długiego kazania na temat marnotrawstwa i ochrony środowiska. Słuchajcie, ochrona środowiska jest dla mnie naprawdę ważna, ale to nie znaczy, że mam donosić stare staniki mojej siostry. Powiedziałam mamie, że nie wiem, po co mi stanik, skoro nie bardzo mam na co go założyć. To sprowokowało Lucy do uwagi, że jeśli nie zacznę nosić stanika teraz, to nawet jeśli kiedykolwiek coś mi tam wyrośnie, będzie zwisało jak kobietom z dzikich plemion, które widziałyśmy na Discovery.

8. Właśnie. To jest następny powód, dla którego nie cierpię Lucy: ona zawsze robi tego typu uwagi. Moim zdaniem powinnyśmy po prostu wysłać stare staniki Lucy tym kobietom z dzikich plemion.

7. Jej rozmowy telefoniczne brzmią mniej więcej tak: „Niemożliwe... I co on powiedział?... A co ona na to?... No, coś ty... To kłamstwo... Nie, absolutnie nie... A kto tak mówi?... No cóż, to nieprawda... Nie... Nie lubię go... No dobra, może go nawet i trochę lubię... Och, muszę kończyć, mam telefon na drugiej linii”.

6. Jest cheerleaderką. Wystarczy? I nie dość, że cały wolny czas spędza, wymachując pomponami przed bandą neandertalczyków, którzy ganiają w tę i w tę po boisku. Nie. Ona musi to robić co wieczór. A ponieważ mama i tata mają kota na punkcie „jedzenia rodzinnych posiłków”, zgadnijcie, co się zwykle robi u mnie w domu o wpół do szóstej? I nieważne, że nikt normalny nie bywa o takiej porze głodny.

5. Wszyscy moi nauczyciele powtarzają: „Wiesz, Samantha, kiedy twoja siostra chodziła na te zajęcia dwa lata temu, nigdy nie trzeba było przypominać jej, żeby:

- a) Pisała z podwójnym odstępem między wierszami.
- b) Przenosiła jedynkę przy dodawaniu.
- c) Na lekcjach niemieckiego pisała rzeczowniki wielką literą.
- d) Przynosiła kostium kąpielowy.
- e) Zdejmowała słuchawki z uszu w czasie ogłoszeń na porannym apelu.
- f) Przestała rysować na własnych spodniach”.

4. Ona ma chłopaka. I to nie byle jakiego chłopaka, ale faceta spoza drużyny. Rzecz absolutnie niesłychana w historii układów towarzyskich w naszej szkole; cheerleaderka, która chodzi z chłopakiem spoza drużyny. Ale nawet nie w tym rzecz, że on nie jest w drużynie. Jack, tak jak ja, jest typem wielkomiejskiego buntownika, tyle że on naprawdę idzie na całość. No wiecie, nosi czarny wojskowy płaszcz z demobilu, martensy, ma same tróje i tak

dalej. Poza tym w jednym uchu nosi kolczyk. Chociaż Jack nie czerpie swojej wiedzy z książek, jest bardzo utalentowany artystycznie i twórczy. Na przykład jego rysunki pozbawionych perspektyw na przyszłość, młodych Amerykanów zawsze wiszą w stołówce. I, w przeciwieństwie do moich, nikt po nich nie maże. To znaczy, po rysunkach.

I jakby to już nie było wystarczająco luzackie, nasi rodzice go nienawidzą, bo Jack nie wykorzystuje swojego potencjału i czasami zostaje zawieszony w szkole za sprzeciw wobec autorytetów, a poza tym zwraca się do nich: „Carol i Richardzie”, zamiast mówić: „panie i pani Madison”.

To nie fair Nie dość, że Lucy ma wyluzowanego chłopaka, to jeszcze tego chłopaka nasi rodzice nie cierpią. A ja przez całe życie modliłam się, żeby coś takiego spotkało właśnie mnie.

Chociaż, prawdę mówiąc, w tej chwili przydałby mi się jakikolwiek chłopak.

3. Mimo że spotyka się z artystą i buntownikiem, a nie zawodnikiem z drużyny, Lucy i tak jest jedną z najpopularniejszych dziewczyn w szkole. Co weekend dostaje tyle zaproszeń na imprezy i dyskoteki, że nie udaje jej się pójść na wszystkie i często mówi rzeczy w rodzaju: „Słuchaj, Sam, a może ty i Catherine poszłybyście tam jako, powiedzmy, moje przedstawicielki?” Gdybyśmy z Catherine kiedykolwiek przestąpiły próg takiej imprezy, zostałybyśmy zmieszane z błotem jako drugoklasistami, którym się w głowach przewraca, i wywalone na ulicę.

2. Dogaduje się z mamą i tatą - pomijając sprawę Jacka - i tak było zawsze. Umie się nawet dogadać z naszą najmłodszą siostrą, Rebeccą, która chodzi do szkoły dla utalentowanych dzieci i należy do gatunku „szalony naukowiec”. Ale najważniejszy powód, dla którego nie cierpię mojej siostry Lucy to ten, że:

1. Podkablowała mnie na temat portretów idoli.

# 1

Mówi, że nie zrobiła tego złośliwie. Mówi, że znalazła je w moim pokoju i były takie dobre, że nie mogła nie pokazać ich mamie.

Trzeba zacząć od tego, że w ogóle nie powinna była wchodzić do mojego pokoju, ale Lucy, oczywiście, nawet o tym nie pomyślała. Kiedy oskarżyłam ją o bezwzględne łamanie zagwarantowanego mi konstytucyjnie prawa do prywatności, popatrzyła na mnie z miną znaczącą: „hę?”, choć przecież ma w tym semestrze zajęcia z wychowania obywatelskiego.

Tłumaczy się tym, że szukała swojej maszynki do podkręcania rzęs.

Przepraszam bardzo? Czy ja kiedykolwiek od niej coś pożyczyłam? A już zwłaszcza coś, co znalazło się w pobliżu jej wielkich i wylupiastych gałek ocznych?

Zamiast maszynki do podkręcania rzęs, której, oczywiście, nie miałam, Lucy znalazła komplet moich rysunków z ostatniego tygodnia i tego samego dnia przy obiedzie zaprezentowała je mamie.

- No cóż - powiedziała mama wyjątkowo suchym tonem - teraz już wiemy, skąd się wzięło to cztery mniej z niemieckiego, prawda, Sam?

A to dlatego, że rysunki robiłam w zeszycie do niemieckiego.

- Czy to ma być ten facet z *Patrioty*? - chciał wiedzieć tata. - Ale kogo ty z nim narysowałaś? Czy... to Catherine?

- Niemiecki - powiedziałam, czując, że pomijają najważniejsze - to głupi język.

- Niemiecki wcale nie jest głupi - poinformowała mnie moja najmłodsza siostra, Rebecca. - Niemcy wywodzą się od grup etnicznych istniejących już w czasach Imperium Rzymskiego. Mają starożytny i piękny język, który powstał tysiące lat temu.

- Co z tego? - odparłam. - A wiesz, że oni wszystkie rzeczowniki piszą wielką literą? I to ma być normalne?

- Hm - mruknęła mama, zaglądając na początek zeszytu. - A co my tu mamy?

- Sam, ale właściwie po co ty rysujesz Catherine na koniu z tym facetem z *Patrioty*? - nie dawał za wygraną tata.

- To ci powinno wszystko wyjaśnić, Richardzie - powiedziała mama i podała mu zeszyt.

Na swoją obronę mogę tylko dodać, że chcąc nie chcąc, żyjemy przecież w kapitalistycznym społeczeństwie. Ja tylko korzystałam ze swojego prawa do przejawiania osobistej inicjatywy, dostarczając ogółowi - w osobach większości uczennic Liceum imienia

Johna Adamsa - towaru, na który istniał popyt. Można by oczekiwać, że mój tata, który jest doradcą ekonomicznym do spraw międzynarodowych przy Banku Światowym, będzie to w stanie zrozumieć.

Jednak kiedy zdziwiony zaczął czytać, co jest napisane w zeszycie do niemieckiego, widziałam, że niczego nie rozumiał.

- Ty i Josh Hartnett - czytał tata - piętnaście dolarów. Ty i Josh Hartnett na bezludnej wyspie, dwadzieścia dolarów, Ty i Justin Timberlake, dziesięć dolarów. Ty i Justin Timberlake pod wodospadem, piętnaście dolarów. Ty i Keanu Reeves, piętnaście dolarów. Ty i... - Tata uniósł głowę. - Dlaczego Keanu i Josh kosztują więcej niż Justin?

- Bo Justin ma mniej włosów - wyjaśniłam.

- Aha - powiedział tata. - Jasne. I wrócił do lektury cennika.

- Ty i Keanu Reeves na spływie górską rzeką, dwadzieścia dolarów Ty i James van der Beek na lotniach, piętnaście dolarów.

Ale mama nie pozwoliła mu czytać dalej.

- Najwyraźniej - zaczęła tonem, jakim przemawia w sądzie (mama jest prawnikiem specjalizującym się w ochronie środowiska); na ogół człowiek unika jak ognia sytuacji, w których mama zaczyna używać swojego sądowego tonu - Samantha ma pewne problemy z koncentracją na lekcjach niemieckiego. A przyczyną tych problemów jest najwyraźniej frustracja wywołana brakiem ujścia dla energii twórczej. Wierzę, że gdyby umożliwić jej znalezienie takiego ujścia, stopnie z niemieckiego byłyby o niebo lepsze.

To wyjaśnia, dlaczego następnego dnia mama po powrocie z pracy pokazała na mnie palcem i rzuciła:

- Wtorki i czwartki, od wpół do czwartej do wpół do szóstej. Będiesz brała lekcje rysunku, młoda damo.

No, to jestem ugotowana.

Najwyraźniej mojej mamie nie przyszło do głowy, że potrafię rysować, mimo że w życiu nie wzięłam ani jednej lekcji. Poza tymi, no, rozumiecie, w szkole. Mama najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, że lekcje rysunku nie tylko nie zapewnią ujścia dla mojej energii twórczej, ale wręcz przeciwnie, całkowicie stłamszą wszelkie moje wrodzone zdolności i indywidualny styl. W jaki sposób zdołam pozostać wierna swojej wizji, jak van Gogh, jeśli ktoś mi będzie siedział na karku i mówił, co mam robić?

- Dzięki! - powiedziałam do Lucy, kiedy wpadłam na nią chwilę później w naszej wspólnej łazience. Stała przed lustrem i rozdzielała sobie rzęsy agrafką, chociaż nasza gosposia, Theresa, tysiące razy opowiadała jej o Rosie, swojej kuzynce, która w taki sposób

wykluła sobie oko.

Lucy spojrzała na mnie przez agrafkę:

- Co ja znów zrobiłam?

W głowie mi się nie mieściło, że nie wie, o czym mówię.

- Podkablowałaś mnie! - krzyknęłam.

- Boże, chyba jesteś niedorozwinięta - jęknęła Lucy i zajęła się dolnymi rzęsami. - I nie wmawiaj mi, że cię to zezłościło. Wyświadczyłam ci wielką przysługę.

- Przysługę?! - Zatkąło mnie. - Przez ciebie to ja mam tylko wielkie kłopoty! Będę teraz musiała chodzić na jakieś durne, idiotyczne lekcje rysunku, zamiast, no wiesz... chociażby oglądać telewizję.

Lucy przewróciła oczami.

- Nic nie rozumiesz, prawda? Jesteś moją siostrą i nie mogę stać z boku i przyglądać się beczynnemu, jak stajesz się największym dziwadłem w szkole. Nie chcesz chodzić na żadne zajęcia nadobowiązkowe, nosisz te okropne czarne ciuchy, nie pozwalasz uczesać sobie włosów. Po prostu musiałam coś zrobić. W ten sposób, kto wie? Może zostaniesz sławną artystką. Jak Georgia O'Keefee\*.

- Czy ty chociaż masz pojęcie, z jakich obrazów słynie Georgia O'Keefee? - spytałam Lucy, a kiedy odparła, że nie, wyjaśniłam jej: - Kobięce pochwy. Georgia O'Keefee słynie z malowania kobiecych pochew.

Czy raczej, jak to ujęła Rebecca, która snuła się korytarzem z nosem w najnowszej części *Star Trek* (ma obsesję na tym punkcie):

- Mówiąc ściśle, abstrakcyjne, organiczne obrazy pani O'Keefee są bujnymi wizerunkami kwiatów, zdecydowanie seksualnymi w swojej warstwie symbolicznej.

Powiedziałam Lucy, żeby spytała Jacka, jeśli mi nie wierzy. Ale Lucy odparła, że ona i Jack nie rozmawiają o takich sprawach.

- To znaczy, o kobiecych pochwach?

Byłam ciekawa, ale Lucy wyjaśniła mi, że nie rozmawiają o sztuce.

Nie z tego nie rozumiem; spotyka się z artystą i nigdy nie dyskutują o sztuce? Mówię wam, jeśli kiedykolwiek zacznę chodzić z jakimś chłopakiem, będziemy dyskutowali o wszystkim. Nawet o sztuce. Nawet o kobiecych pochwach.

---

\* Georgia O'Keefee - amerykańska malarka żyjąca w latach 1887 - 1986, pionierka modernizmu amerykańskiego (przyp. red.).

Catherine zwyczajnie nie uwierzyła w te lekcje rysunku. - Przecież ty już umiesz rysować! - powtarzała. Oczywiście, w pełni się z nią zgadzałam. Ale i tak miło było słyszeć, że nie jestem jedyną osobą, według której zmuszanie mnie do spędzania wtorków i czwartków między wpół do czwartej a wpół do szóstej w Szkole Rysunku Susan Boone będzie kompletną stratą czasu.

- To zupełnie w stylu Lucy - powiedziała Catherine, kiedy w poniedziałek po szkole zabrałyśmy Maneta do Bishop's Garden. To tylko pięć minut spacerem z naszego domu w Cleveland Park, co mnie cieszy, bo to ulubione miejsce Maneta. Ugania się tam za wiewiórkami i rzuca się na pary całujące się w altankach.

No i to jest kolejny problem: kto ma chodzić na spacer z Manetem, kiedy ja będę w Szkole Rysunku Susan Boone? Theresa się nie zgodzi. Nie cierpi Maneta, mimo że już dawno przestał gryźć kable od urządzeń elektrycznych. Poza tym, według doktora Lec, specjalisty od psychologii zwierząt, to wszystko moja wina, bo nazwałam go Monet, co brzmi bardzo podobnie do słowa „Nie!” Odkąd zmieniliśmy mu imię na Manet, zachowuje się dużo lepiej... Chociaż tata wcale się nie ucieszył z rachunku na pięćset dolarów, który przesłał mu doktor Lee.

Theresa mówi, że wystarczy już, że musi sprzątać po nas wszystkich i prędzej padnie trupem, niż posprząta po czterdziestokilogramowym owczarku staroangielskim.

- Nie mieści mi się w głowie, że Lucy to zrobiła - powiedziała Catherine. - Naprawdę cieszę się, że nie mam siostr.

Catherine jest, tak jak ja, „środkowym” dzieckiem, i pewnie dlatego tak dobrze się rozumiemy. Tylko, w przeciwieństwie do mnie, Catherine ma dwóch braci, jednego starszego i jednego młodszego, i żaden z nich nie jest bystrzejszy ani ładniejszy od niej.

Catherine jest prawdziwą szczęściarą.

- Ale gdyby Lucy tego nie zrobiła, zrobiłaby to Kris - zauważyła, kiedy dreptałyśmy wąską dróżką wijącą się przez ogrody. - Kris już dawno się na ciebie szykowała. Rozumiesz, chodziło o to, że bierzesz pieniądze tylko od niej i jej przyjaciółek.

I, prawdę mówiąc, na tym polegał cały urok; brałam pieniądze tylko od Kris i jej przyjaciółek. Wszystkie inne dziewczyny dostawały rysunki za darmo.

A dlaczego nie? Kiedy dla zabawy narysowałam portret Catherine z jej idolem, Heathem Ledgerem, sprawa się rozeszła i wkrótce miałam całą listę oczekujących dziewczyn,

które chciały mieć portret w towarzystwie jakiegoś sławnego przystojniaka.

Z początku nawet nie przyszło mi do głowy, żeby brać za to pieniądze. Bardzo się cieszyłam, że mogę robić te rysunki dla przyjaciółek za darmo, skoro dawały im tyle radości.

A potem, kiedy cudzoziemki uczące się w naszej szkole też zaczęły prosić o portrety, od nich również nie mogłam brać kasy. No bo jeżeli człowiek dopiero co przeprowadził się do tego kraju - po to, żeby uciec przed represjami w swojej ojczyźnie, czy jak większość cudzoziemców w naszej szkole, dlatego że jedno z rodziców jest ambasadorem albo dyplomatą - absolutnie nie powinien płacić za portret z idolem. Wiem, jak czuje się człowiek, kiedy znajdzie się w obcym miejscu i nie zna języka. Po prostu beznadziejnie. Doświadczyłam tego na własnej skórze dzięki tacie, który jest szefem oddziału Banku Światowego w Afryce Północnej. Kiedy miałam osiem lat, zabrał całą naszą rodzinę na rok do Maroka. Byłoby mi wtedy bardzo miło, gdyby ktoś dał mi za darmo parę rysunków Justina Timberlake'a. Zamiast tego gapili się na mnie, jakbym spadła z księżycy, tylko dlatego, że nie wiedziałam jak powiedzieć po marokańsku: „Czy mogę na chwilę wyjść?“, kiedy musiałam skorzystać z toalety.

A potem dostałam całą serię próśb o rysunki idoli od dziewczyn z klasy specjalnej. No cóż, od ludzi z klasy specjalnej też nie mogłam brać pieniędzy, bo wiem, jak to jest być w takiej klasie. Kiedy wróciliśmy z Maroka, zdecydowano, że moja wada wymowy - wymawiałam „l” zamiast „r” - sama z siebie nie przejdzie... przynajmniej nie bez pomocy specjalisty. Zmuszono mnie więc do chodzenia na specjalne zajęcia logopedyczne, kiedy wszyscy inni mieli wychowanie muzyczne.

Jakby nie dość tego. ile razy wracałam do klasy na zwykłe lekcje, Kris Parks dokuczała mi z powodu mojego rzekomego niedorozwoju. Kris do czasu mojego wyjazdu do Maroka była moją najlepszą przyjaciółką. A potem wracam, a ona na mój widok mówi: „Samantha kto?”

Jakby zapomniała, że codziennie po szkole przychodziła do mnie do domu bawić się laikami Barbie. Nagle zaczęła mówić tylko o chodzeniu z chłopakami i biegała za nimi na przerwach, usiłując ich całować. Jako czwartoklasistka prędeż najadłabym się tłuczonego szkła, niż pozwoliła, żeby usta jakiegoś kolegi z klasy dotknęły moich. A już zwłaszcza usta Rodda Muckinfussa, który był wtedy najpopularniejszym chłopakiem w klasie. Ten fakt z miejsca napiętnował mnie jako osobę „niedojrzałą” (wymawianie „l” zamiast „r” też mi w tym pomogło). Kris odrzuciła mnie jak kartofel, który parzy w palce.

Na szczęście to tylko wzmocniło moją motywację, żeby nauczyć się mówić porządnie. W dniu, w którym skończyłam zajęcia z logopedą, podeszłam do Kris i nazwałam ją wstrętną,



okropną, rozpieszczoną, zasmarkaną ropuchą. Od tamtej pory prawie ze sobą nie rozmawiamy. Tak więc doszłam do wniosku, że ludzie, którzy chodzą do klasy specjalnej, zasługują od czasu do czasu na ulgowe traktowanie. Zwłaszcza ci, którzy przez cały czas muszą nosić kask, bo mają skłonności do ataków padaczki. Oświadczyłam więc, że dla nich moje usługi portreciarskie będą za darmo, tak samo jak dla moich przyjaciółek i cudzoziemek uczących się w naszym liceum.

Naprawdę, działałam jak ONZ w miniaturze, udzielając mniej uprzywilejowanym pomocy w postaci wysoce realistycznych podobizn z Freddiem Prinze'em Juniorem.

Ale okazało się, że Kris Parks, przewodnicząca drugiej licealnej, a dla mnie od zawsze wrzód na tyłku, miała z tym pewien problem. To znaczy, nie z tym, że nie pobierałam opłat od cudzoziemek, ale z tym, że, jak się okazało, brałam pieniądze wyłącznie od niej i jej przyjaciółek.

A co ona sobie wyobrażała? Że każe płacić za rysunki Catherine, która jest moją najlepszą przyjaciółką, odkąd wróciłam z Maroka i przekonałam się, że Kris, jak Anakin, przeszła na Ciemną Stronę Mocy? Catherine i mnie połączyło złe traktowanie przez Kris - Kris, która wciąż uwielbia wyśmiewać się z długich za kolano spódnic Catherine, jedynych, jakie pozwala jej nosić mama, pani Salazar, będąca ortodoksyjną chrześcijanką - oraz nasze obrzydzenie do Rodda Muckinfussa.

Och, tak. Już się rozpędziłam, żeby obdarowywać darmowymi portretami Keanu Reevesa kogoś takiego jak Kris.

Jeszcze czego.

Ludzie tacy jak Kris - może dlatego, że nigdy nie zmuszano jej, żeby chodziła na zajęcia logopedyczne, a co dopiero do szkoły, w której nikt nie mówił tym samym językiem, co ona - chyba nie potrafią zrozumieć, że można być miłym dla kogoś, kto nie nosi rozmiaru trzydzieści sześć, nie jest blondynką i nie jest od stóp do głów wystrojony w ciuchy od Abercrombie & Fitch.

Innymi słowy - dla kogoś, kto nie przypomina Kris Parks.

Catherine i ja rozmawialiśmy o tym w drodze powrotnej z parku - to znaczy o Kris i jej nieznośnym charakterze - kiedy nadjechał jakiś samochód i zobaczyłam, że zza kierownicy macha do nas mój tata.

- Cześć, dziewczyny - powiedziała mama, przechylając się przez tatę, bo stałyśmy od strony kierowcy. - Przypuszczam, że żadna z was nie ma ochoty jechać z nami na mecz Lucy?

- Mamo... - odezwała się Lucy z tylnego siedzenia. Była w pełnym rynsztunku cheerleaderki. - Nawet nie próbuj. One nie pojedą, a nawet gdyby, to sama rozumiesz...

Popatrz na Sam. Wstydziałabym się, gdyby mnie widziano w jej towarzystwie.

- Lucy - mruknął tata ostrzegawczo.

Nie musiał się wysilać. Jestem przyzwyczajona do pogardliwych uwag Lucy na temat mojego wyglądu.

Ludziom takim jak Lucy, dla których jedynym życiowym celem jest nie opuścić żadnej wyprzedaży w Gapie, łatwo jest tak mówić. No bo dla Lucy fakt, że w naszej lokalnej drogerii rozpoczęto sprzedaż produktów Shiseido, stał się powodem do radości, jakiej nie widziano, odkąd padł mur berliński.

Mnie jednak nieco bardziej obchodzą problemy ogólnoświatowe, na przykład to, że trzysta milionów dzieci codziennie kładzie się spać o pustym żołądku, albo że szkolne programy wychowania plastycznego są zawsze pierwsze w kolejce do cięcia, kiedy lokalne instytucje edukacyjne stwierdzają, że mają deficyt budżetowy.

I właśnie dlatego na początku tego roku szkolnego ufarbowałam wszystkie swoje ubrania na czarno. Chciałam pokazać, że jestem w żałobie po naszym pokoleniu, które najwyraźniej dba wyłącznie o to, co się zdarzy w serialu *Przyjaciele* w przyszłym tygodniu, i że moim zdaniem moda jest dla takich pozerów jak moja siostra.

Fakt faktem, mamie chyba pękło parę naczynek krwionośnych, kiedy zobaczyła, co zrobiłam. No dobra, przynajmniej niech wie, że jednej z jej córek zdarza się myśleć o czymś innym niż francuski manicure.

Mama, w przeciwieństwie do Lucy, nie miała jednak zamiaru machnąć na mnie ręką. Dlatego właśnie, siedząc w samochodzie, uśmiechnęła się szeroko i słonecznie, chociaż jeśli chcecie znać moje zdanie, nie było nad czym tak się rozświecać. Padał dość uporeczywy deszczyk i na dworze było raptem z pięć stopni ciepła. W taki listopadowy dzień nikt - a już zwłaszcza osoba tak pozbawiona szkolnego ducha, jak ja - nie chciałby tracić czasu, siedząc na trybunach, patrząc, jak banda mięśniaków ugania się za piłką, a dziewczyny w przyciasnych purpurowo - białych sweterkach - jak moja siostra - zagrzewają ich do walki.

- Nigdy nic nie wiadomo - zwróciła się mama do laicy. - Mogły zmienić zdanie. - A do nas powiedziała: - No, to co wy na to? Sam, Catherine? Po meczu tata ma nas zabrać do Chinatown na *dim sum*. - Spojrzała na mnie. - Jestem pewna, że dla ciebie znajdzie się jakiś hamburger czy coś takiego, Sam.

- Przykro mi, pani Madison - powiedziała Catherine. Wcale nie wyglądała na zasmuconą. W gruncie rzeczy miała minę wręcz uszczęśliwioną tym, że ma wymówkę, żeby nie jechać. Większość szkolnych imprez to dla Catherine koszmar ze względu na przytyki, które regularnie dostają jej się od Modnego Kółka za ubrania w stylu „skromna guwernantka”

(„Gdzie zaparkowałaś swój wóz pionierski?” itp.). - Muszę wracać do domu. Należy dzień święty...

- ...Święcić. Tak, wiem.

Mama słyszała to już wiele razy. Pan Salazar, który tu, w Waszyngtonie jest dyplomatą przy ambasadzie Hondurasu, upiera się, że należy dzień święty święcić i zmusza wszystkie swoje dzieci, żeby każdą niedzielę spędzały w domu, Catherine udało się wyrwać tylko na pół godziny, pod pretekstem zwrotu kasy z *Patriotą* do Potomac Video (obejrzała go po raz siedemnasty). Do parku wybrała się w kompletnej tajemnicy. Ale Catherine stwierdziła, że skoro, formalnie rzecz biorąc, w grę wchodzi spacer po terenie kościoła, jej rodzice nie wściekną się aż tak strasznie, jeżeli się o nim dowiedzą.

- Richardzie. - Rebecca, siedząca obok Lucy na tylnym siedzeniu, podniosła oczy znad laptopa tylko na tak długo, ile trzeba, żeby okazać głębokie niezadowolenie z sytuacji. - Carol. Dajcie sobie spokój.

- „Tato” - poprawiła mama, piorunując Rebecę wzrokiem. - ”Tato”, nie: „Richardzie”. I „mamo”, a nie: „Carol”.

- Przepraszam - powiedziała Rebecca. - Ale czy możemy już ruszać? Rozumiesz, na tych bateriach pociągnę tylko dwie godziny, a muszę na jutro opracować trzy arkusze kalkulacyjne.

Rebecca, która w wieku jedenastu lat powinna być w szóstej klasie, chodzi do Horizon, szkoły w Bethesda dla utalentowanych dzieci, gdzie przerabia kursy na poziomie uniwersyteckim. To szkoła dla geniuszków, co dość dobrze ilustruje fakt, że syn naszego obecnego prezydenta, który jest geniuszkiem z krwi i kości - to znaczy, syn jest geniuszkiem, chociaż jak się nad tym zastanowić, odziedziczył to po ojcu - też tam się uczy. Horizon jest szkołą do tego stopnia zwariowaną, że nawet nie mają stopni, tylko raporty semestralne. Ostatni raport Rebecki brzmiał: „Rebecca wprawdzie przechodzi kurs uniwersytecki, ale musi jeszcze dogonić starszych kolegów pod względem dojrzałości emocjonalnej i w przyszłym semestrze popracować nad kontaktami interpersonalnymi”.

Chociaż pod względem intelektualnym Rebecca mogłaby równie dobrze mieć czterdziestkę, to zachowuje się, jakby miała mniej więcej sześć i pół roku, dlatego ma mnóstwo szczęścia, że nie musi chodzić do szkoły dla przeciętnie inteligentnych ludzi, takich jak Lucy i ja. Takie Kris Parks zjadłyby ją żywcem. Zwłaszcza biorąc pod uwagę jej brak umiejętności nawiązywania kontaktów międzyludzkich.

Mama westchnęła. Zawsze była popularna w szkole średniej jak teraz Lucy. Wybrano ją nawet szkolną Miss Popularności. Nie rozumie, gdzie popełniła błąd w stosunku do mnie.

Chyba obwinia o to ojca. Na niego nigdy nie głosowano w szkole, bo tak jak ja większość szkolnych lat spędził, wyobrażając sobie, że jest zupełnie gdzie indziej.

- Dobra - powiedziała mama - więc zostań w domu. Ale nie...

- ...otwieraj obcym - dokończyłam. - Wiem.

Przecież nikt nigdy nie zbliża się do naszych drzwi poza panią Chlebową. Pani Chlebowa jest żoną francuskiego dyplomaty, który mieszka trochę dalej przy naszej ulicy. Nie znamy jej nazwiska. Nazywamy ją panią Chlebową, bo mniej więcej co trzy tygodnie dostaje świra, pewnie z wielkiej tęsknoty za ojczystym krajem, i piecze ze sto bochenków francuskiego pieczywa, które potem sprzedaje w całym sąsiedztwie po pięćdziesiąt centów za sztukę. Jestem uzależniona od bagietek pani Chlebowej. Prawdę mówiąc, to praktycznie jedyna rzecz poza hamburgerami, którą jadam, ponieważ nie cierpię większości owoców i wszystkich warzyw, i szerokiego wachlarza innych grup żywności, takich jak ryby albo cokolwiek z czosnkiem.

Jedyna osoba oprócz pani Chlebowej, która do nas czasem zagląda, to Jack. Ale nie wolno nam wpuszczać go za próg, kiedy nie ma rodziców ani Theresy. To dlatego, że Jack kiedyś wystrzelał z wiatrówki wszystkie szyby w oknach gabinetu lekarskiego swojego ojca w Bethesda, w ramach protestu przeciwko przepisywaniu przez doktora Rydera leków, które byty testowane na zwierzętach. Moi rodzice uparcie nie chcą przyznać, że Jack został zmuszony do przedsięwzięcia tak drastycznych działań, żeby zwrócić uwagę swojego ojca na fakt, iż torturuje się zwierzęta. Im się wydaje, że zrobił to tylko dla zabawy, co jest oczywistą nieprawdą. Jack nigdy nie robi niczego ot tak, dla zabawy. On zupełnie poważnie próbuje uczynić ten świat lepszym miejscem.

Sądzę, że tak naprawdę mama i tata nie chcą, żeby Jack do nas przychodził, kiedy ich nie ma w domu, bo nie chcą, żeby on i Lucy poszli do łóżka. Mogliby to jednak powiedzieć wprost, a nie zasłaniać się wiatrówką. To raczej nieprawdopodobne, żeby Jack miał kiedykolwiek wystrzelać okna w naszym domu. Mama, jako adwokat pracujący dla Agencji Ochrony Środowiska, jest przecież zawsze po stronie tych dobrych.

- Ludzie, jedźmy już - jęknęła Lucy z tylnego siedzenia. - Spóźnię się na mecz.

- I żadnego rysowania idoli - zawołała mama, kiedy ruszali - dopóki nie odrobisz pracy domowej z niemieckiego!

Catherine i ja patrzyłyśmy, jak odjeżdżają. Koła sedana zachręściły na suchych liściach pokrywających drogę.

- Myślałam, że w ogóle nie wolno ci rysować idoli - powiedziała Catherine, kiedy skręciłyśmy za róg.

Manet, dostrzegając po drugiej stronie ulicy wiewiórkę, pociągnął mnie do krawężnika, omal nie wrywając mi ręki ze stawu.

- Wciąż mogę rysować idoli - odparłam, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć chrapliwe szczekanie Maneta. - Tylko nie wolno mi brać za to pieniędzy.

- Och. - Catherine zastanowiła się nad tym przez chwilę, a potem zapytała błagalnym tonem: - Proszę, czy mogłabyś narysować dla mnie Heatha? Tylko jeszcze ten jeden raz? Obiecuję, że już nigdy o to nie poproszę.

- Chyba mogę - powiedziałam, wzdychając, jakby to był dla mnie ogromny kłopot.

Chociaż to, oczywiście, nieprawda. Bo kiedy kochasz coś robić, chcesz to robić przez cały czas, nawet jeśli nikt ci za to nie płaci.

I taki właśnie był mój stosunek do rysowania.

Dopóki nie poznałam Susan Boone.

Dziesięć głównych powodów, dla których chciałabym być Gwen Stefani, wokalistką No Doubt, najlepszej kapeliska wszech czasów:

10. Gwen może sobie farbować włosy na każdy dowolnie wybrany kolor, nawet jasnoróżowy, jak na trasę koncertową albumu *Return of Saturn*, a jej rodziców nic to nie obchodzi, bo rozumieją, że jest artystką i musi robić takie rzeczy. Pan i pani Stefani pewnie nigdy nie grozili Gwen, że obetną jej tygodniówkę, tak jak moi rodzice, kiedy próbowałam ufarbować włosy napojem Kool - Aid.

9. jeśli Gwen miałyby ochotę codziennie ubierać się na czarno, ludzie po prostu zaakceptowałyby to jako wyraz jej wielkiego geniuszu i nikt nie robiłby kąśliwych uwag, jakie spotykają mnie.

8. Gwen ma własne mieszkanie, a więc starsze rodzeństwo nie może wpadać do jej pokoju, ile razy ma na to ochotę, przeglądać jej rzeczy, a potem donosić na nią rodzicom.

7. Gwen pisze piosenki o swoich byłych chłopakach i śpiewa je publicznie. Ja nigdy nie miałam chłopaka, skąd więc mam wziąć jakiegoś byłego, o którym mogłabym pisać?

6. Kompakty za darmo.

5. Gdyby kiedykolwiek dostała cztery z minusem z niemieckiego, dlatego że pisze na lekcjach piosenki, naprawdę wątpię, czy matka kazałaby jej chodzić dwa razy w tygodniu na warsztaty dla tekściarzy. Już prędzej pozwoliłaby Gwen w ogóle dać sobie spokój z niemieckim i pisać piosenki na pełen etat.

4. W Internecie są dziesiątki stron poświęconych właśnie jej. A kiedy wpiszesz słowa „Samantha Madison” do jakiegokolwiek wyszukiwarki, pojawi się tylko tekst: „Przepraszamy, wyszukaj ponownie”.

3. Wszyscy ludzie, którzy źle traktowali Gwen w szkole średniej, prawdopodobnie teraz tego żałują i próbują jej się podlizywać. A ona może na to powiedzieć: „Jeszcze raz, jak się nazywasz?”, tak jak Kris Parks powiedziała do mnie, kiedy wróciłam z Maroka.

2. Może mieć każdego chłopaka, którego zechce. No cóż, może nie każdego, ale prawdopodobnie mogłaby mieć tego chłopaka, na którym zależy mi. A który, niestety, chodzi z moją siostrą, Ale niech tam. A oto najważniejszy powód, dla którego chciałabym być Gwen Stefani:

1. Ona nie musi brać lekcji rysunku u Susan Boone.

Skończyło się na tym, że do pracowni rysunku zawiozła mnie następnego dnia po szkole Theresa.

Theresa przywykła już do tego, że wszędzie nas wozi. Jest z naszą rodziną, odkąd wróciliśmy z Maroka. Robi wszystko, na co moim rodzicom praca nie zostawia czasu: wozi nas w różne miejsca, sprząta dom, pierze, gotuje, chodzi po zakupy.

Oczywiście, my też musimy jej pomagać. Mnie na przykład przypadła opieka nad Manetem, bo to właśnie ja tak strasznie chciałam mieć psa. Rebecca musi nakrywać stół do posiłków, ja sprzątam ze stołu i chowam resztki do lodówki, a Lucy układa naczynia w zmywarce.

Pod okiem Theresy funkcjonuje to sprawnie, ale jeżeli Theresa spędza wieczór poza domem, wszystko na ogół nieco się komplikuje. Jednym z jej nieoficjalnych obowiązków jest egzekwowanie w naszej rodzinie dyscypliny, bo mama i tata, mówiąc słowami używanymi w Horizon, szkole Rebecki, czasami „nie radzą sobie z ustalaniem właściwych granic” dla swoich dzieci.

Po drodze do Susan Boone tego pierwszego dnia Theresa od razu ustaliła kilka granic. Była absolutnie przekonana, że postanowiłam urwać się stamtąd, kiedy tylko ona odjedzie.

- Jeśli panna Samantha sobie myśli - mówiła, kiedy posuwałyśmy się w żółtym tempie Aleją Burrity (ludzie nazywają tak Dupont Circle, ponieważ ostatnio otworzyli wzdłuż niej masę budek z burrito i innym jedzeniem zawijanym w chlebki pita) - że ja z nią do środka nie wejść, to niech sobie jeszcze raz zamyśli.

To jedno z ulubionych wyrażenia Theresy. Ja ją tego nauczyłam. I to naprawdę brzmi: „zamyśli”, a nie „pomyśli”. To takie powiedzenie z południa Stanów. Wzięłam je z książki *Zabić drozda*. Bardzo się napracowałam, usiłując nauczyć Theresę podstaw naszej kultury, bo zaczynając pracę u nas, tuż po przyjeździe z Ekwadoru, nie miała zielonego pojęcia o żadnych amerykańskich zwyczajach.

Teraz tak dobrze zna się na tym, co się robi w Ameryce, a czego nie, że MTV powinno zatrudnić ją jako konsultanta.

Poza tym, nazywa mnie panną Samanthą tylko wtedy, kiedy jest na mnie wściekła.

- Doskonale wiem, co pannie Samancie chodzi po głowie - oznajmiła, kiedy stałyśmy w korku na Connecticut Avenue spowodowanym jak zwykle przez konwój samochodów prezydenta. To jeden z problemów związanych z mieszkaniem w Waszyngtonie. Nigdzie się

nie możesz ruszyć, żeby nie natknąć się na prezydencki konwój. - Tylko się odwróć, a ty pobiegiesz prosto do najbliższego sklepu płytowego. I nie wmawiaj mi, że będzie inaczej.

Westchnęłam, jakby nie podobnego nigdy nie przyszło mi na myśl, chociaż, oczywiście, dokładnie coś takiego z całą premedytacją planowałam. Uważałam jednak, że tak właśnie powinnam postąpić. Jeżeli nie będę próbowała przeciwstawiać się autorytetom, jak zdołam zachować integralność jako artystka?

- No coś ty, Thereso - powiedziałam, tak na wszelki wypadek. - Ty mi tu nie gadaj: „No coś ty, Thereso” - powiedziała. - Już ja cię znam. Przez cały czas nosisz te czarne ciuchy i grasz punkową muzykę...

- Ska poprawiłam ją.

- Co za różnica. - Ostatnie samochody konwoju przejechały i mogłyśmy znów ruszać w drogę. - Zanim się obejrzymy, ufarbujesz sobie te swoje przepiękne rude włosy na czarno.

Pomyślałam z niepokojem o opakowaniu permanentnej farby do włosów o nazwie Szept o Północy, która stała w szafce na lekarstwa w łazience. Widziała ja? Bo Theresa może sobie myśleć, co chce, ale wcale nie jest fajnie mieć rude włosy. No cóż, chyba że ma się włosy takie jak Lucy, w odcieniu nazywanym tycjanowskim od nazwiska malarza, który wynalazł ten kolor. Ale rudy, taki jak mój, który ma odcień - i fakturę - miedzianego drutu, jaki zwisa ze słupów telefonicznych? Nie jest wcale uroczy, ja wam to mówię.

- A o wpół do szóstej - ciągnęła Theresa - kiedy po ciebie przyjadę, wejdę i odszukam cię wewnątrz budynku. Żadnego czekania pod wejściem.

Theresa ma czworo dzieci, z których większość już dorosła, i troje wnuków, chociaż jest zaledwie o rok starsza od mojej mamy. I naprawdę ma wprawę w matkowaniu. To dlatego, jak sama twierdzi, że jej najstarszy syn Tito jest niedorozwinięty.

I ze względu na niedorozwój Tita nie da się teraz niczego Theresie wmówić. Ona już wszystko widziała.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do Szkoły Rysunku Susan Boone, mieszczącej się na rogu R i Connecticut, dokładnie naprzeciwko siedziby Kościoła Scjentologicznego, Theresa spojrzała na mnie bardzo podejrzliwie. Nie ze względu na Kościół Scjentologiczny, ale sklep muzyczny, nad którym mieściła się pracownia Susan Boone. Jakbym ja miała coś wspólnego z wyborem tego miejsca!

Muszę jednak przyznać, że Static, jeden z niewielu sklepów muzycznych w naszym mieście, w którym nigdy jeszcze nie byłam, wyglądał kusząco. Niemal tak kusząco, jak Capitol Cookies, cukiernia zaraz obok. Kiedy szliśmy w stronę sklepu (musiałyśmy okrążyć cały kwadrat domów i zaparkować z milion kilometrów dalej na ulicy Q; widać było, że po



tym numerze Theresa nie będzie się już w przyszłości rwała do odprowadzania mnie pod same drzwi), zza jego ścian dobiegały nawet fragmenty moich ulubionych piosenek. W Static puszczała *I'm Only Happy When It Rains*\* zespołu Garbage. Co, na dobrą sprawę, świetnie podsumował je moje nastawienie do życia, bo właściwie jedyne chwile, kiedy rodzice pozwalają człowiekowi siedzieć w domu i rysować, są wtedy, kiedy pada. W przeciwnym razie wiecznie słyszysz: „Czemu nie wyjdiesz na dwór pojeździć na rowerze jak normalne dziecko?”

Ale Susan Boone musiała chyba swoją pracownię wytłumić, bo kiedy wdrapałyśmy się na drugie piętro wąską białą klatką schodową, wcale nie było tam słyhać Garbage. Zamiast tego grało cicho radiu. Muzyka klasyczna. Słyszałam też jakiś inny dźwięk, którego nie potrafiłam na razie zidentyfikować. Zapach, w miarę łak wchodziłyśmy po schodach, stawał się znajomy i uspokajający. Nie, nie pachniało ciastkami. Pachniało jak w zwykłej pracowni plastycznej w szkole - farbami i terpentyną.

Dopiero kiedy doszłyśmy do drzwi pracowni i otworzyłyśmy je, przekonałam się, skąd brał się ten drugi dźwięk.

- Cześć Joe. Cześć Joe. Cześć Joe - zaskrzeczał na nasz widok wielki czarny kruk siedzący na dużej bambusowej klatce (a nie w klatce).

Theresa aż jęknęła.

- Joseph! - Niziutka kobieta o najdłuższych i najbielszych włosach, jakie kiedykolwiek widziałam, wyszła zza sztalug i krzyknęła na ptaka: - Zachowuj się!

- Zachowuj się! - powtórzył kruk, podskakując na szczycie klatki. - Zachowuj się! Zachowuj się! Zachowuj się!

- *Jesu Christo!* - jęknęła Theresa, opadając na najbliższą, poplamioną farbami ławkę. Już i tak brakowało jej tchu po wspinaczkę na strome schody. Szok, jaki przeżyła, kiedy ptak na nią wrzasnął, wcale nie zrobił jej dobrze.

- Przepraszam - powiedziała kobieta z długimi białymi włosami. - Proszę nie zwracać na niego uwagi. Musi przyzwyczać się do obcych. - Spojrzała na mnie. - A więc, to pewnie Samantha? Ja jestem Susan.

W starszych klasach podstawówki Catherine i ja przeszłyśmy taki etap, kiedy czytałyśmy wyłącznie książki fantasy. Pochłaniałyśmy je niczym m&m'sy, całymi garściami: Tolkiena i Ursulę Le Guin, Susan Cooper i Lloydę Alexandra. Moim zdaniem, Susan Boone wyglądała zupełnie jak królowa elfów (niemal w każdej książce fantasy jest jakaś królowa

---

\* jestem szczęśliwa tylko wtedy, gdy pada (przyp. red.).

elfów), Była jeszcze niższa ode mnie i miała na sobie dziwną lnianą szatę w odcieniach błękitu i zieleni.

Ale to te długie białe włosy (sięgały jej do pasa!) i jasnobłękitne oczy spoglądające z porwanej zmarszczkami i nieumalowanej twarzy zrobiły na mnie największe wrażenie. Kąciki ust miała zawsze leciutko uniesione, jak przystało na elfa, nawet kiedy nie było się do czego uśmiechać.

Dawno temu, kiedy Catherine i ja miałyśmy zwyczaj pukać do tylnych ścian szaf w nadziei, że przeniesiemy się do krainy pełnej faunów i hobbitów, spotkanie z kimś takim jak Susan Boone byłoby niezwykłym przeżyciem.

Teraz wydawało mi się tylko trochę dziwne.

Uścisnęłam jej dłoń. Miała suchą i szorstką skórę.

- Proszę mówić do mnie Sam - powiedziałam. Byłam pod wrażeniem uścisku ręki Susan Boone. Wcale nie miała elfiej rączki; ta kobieta bez problemu potrafiłaby utrzymać Maneta na smyczy.

- Witaj, Sam - powiedziała Susan Boone. A potem puściła moją dłoń i zwróciła się do Thesy: - A to na pewno pani Madison. Miło mi panią poznać.

Theresa już odsapnęła. Wstała i pokręciła głową, tłumacząc, że jest gospodynią pani Madison, ma na imię Theresa, i że wróci po mnie o wpół do szóstej.

Gdy wyszła, Susan Boone wzięła mnie za ramiona i popchnęła w stronę jednej z poplamionych farbą ławek, które nie miały oparcia, tylko na jednym końcu wysoki pulpit. O pulpit oparty był duży blok rysunkowy.

- Moi drodzy - powiedziała Susan Boone, sadzając mnie na ławce. - To jest Sam, Sam, oto...

A wtedy, zupełnie jak krasnale zza wielkich muchomorów, wychynęła reszta uczniów. Wystawili głowy zza wielkich bloków rysunkowych, żeby na mnie popatrzeć.

- ...Lynn, Gertie, John, Jeffrey i David - wyliczyła Susan Boone, wskazując dłonią każdą osobę.

Głowy zniknęły po sekundzie, bo wszyscy wrócili do bazgrania w swoich blokach. Lynn, chuda kobieta po trzydziestce, Gertie, pulchna pani w średnim wieku, John, Starszawy facet z aparatem słuchowym, Jeffrey, młody Afroamerykanin, i David, który miał na sobie koszulkę z logo Save Ferris, poświęcili mi zaledwie jedno przelotne spojrzenie.

Ponieważ Save Ferris to jedna z moich ulubionych kapel, pomyślałam sobie, że przynajmniej będę tu miała z kim pogadać.

Ale wtedy przyjrzałam się Davidowi dokładniej i zdałam sobie sprawę, że szanse na

jakąkolwiek pogawędkę są raczej marne. To znaczy, wyglądał jakoś znajomo, więc chyba też musiał chodzić do Adamsa, a w Adamsie jestem jedną z najbardziej znienawidzonych osób, odkąd zaproponowałam, żeby fundusze zebrane ze sprzedaży papieru do pakowania świątecznych prezentów przeznaczyć na potrzeby szkolnej pracowni plastycznej.

Lucy, Kris Parks i inni woleli, żebyśmy pojechali na wycieczkę do jakiegoś parku narodowego.

Zgadnijcie, czyj pomysł wygrał?

A moja postawa pod tytułem: „Będę - codziennie - nosić - się - na - czarno - bo - jestem - w - żałobie - po - moim - pokoleniu” też wcale nie przysporzyła mi większej popularności.

David był mniej więcej w wieku Lucy. Wysoki - no cóż, przynajmniej o ile mogłam to stwierdzić, widząc go siedzącego na ławce - miał kręcone ciemne włosy, bardzo zielone oczy i duże dłonie i stopy. Wyglądał dość fajnie. Chociaż, oczywiście, nie tak ładnie jak Jack, a to znaczyło, że jeśli chodzi do Adamsa, prawdopodobnie trzyma z chłopakami z drużyny. Wszyscy fajni faceci z Adamsa trzymają z chłopakami z drużyny. Oprócz Jacka, oczywiście.

No więc, kompletnie mnie zatkało, kiedy usiadłam, a David do mnie mrugnął i powiedział:

- Niezłe buty.

Myśląc, że ze mnie kpi - jak ma to w zwyczaju większość facetów, którzy trzymają z chłopakami z drużyny - spojrzałam w dół i zorientowałam się, że on też nosi glany.

Tyle że David. w przeciwieństwie do mnie, nie robił swoimi butami ironicznego komentarza do rzeczywistości (ja w siódmej klasie swoje glany ozdobiłam stokrotkami z białego korektora i żółtej odblaskowej farby).

Kiedy się zaczerwieniłam, bo ten fajny facet się do mnie odezwał, Susan Boone powiedziała:

- Dzisiaj rysujemy martwą naturę.

Wręczyła mi ołówek. Porządny miękki ołówek. Wskazała ręką kompozycję z owoców na małym stoliku na środku pracowni i powiedziała:

Narysuj to, co widzisz.

I odeszła.

I to tyle, jeśli chodzi o próby stłamszenia mojej osobowości i wrodzonych zdolności. Ulżyło mi. Powiedziałam sobie, że powinnam zapomnieć o Fajnym Davidzie i jego uwadze o butach - niewątpliwie był dla mnie miły wyłącznie dlatego, że jestem tu nowa - popatrzyłam na kompozycję z owoców ułożonych na pogniecionym kawałku białego jedwabiu i zaczęłam

rysować.

Dobra, pomyślałam sobie, mogło być gorzej. Właściwie pracownia Susan Boone okazała się całkiem przyjemna. A Susan była interesująca z tymi swoimi włosami i uśmiechem królowej elfów. Fajny chłopak powiedział, że podobają mu się moje buty. W tle cicho grała ładna klasyczna muzyka. Nigdy nie słuchałam muzyki klasycznej, chyba że na ścieżce dźwiękowej jakiegoś filmu. A zapach terpentyny odświeżał jak kubek gorącego jabłeczka w chłodny jesienny dzień.

Może, myślałam, rysując, te lekcje nie będą takie złe? Może to nawet będzie zabawne? Jest w końcu tyle gorszych sposobów zabicia czterech godzin czasu tygodniowo, prawda?

Gruszki. Winogrona, jabłko. Granat. Rysowałam, nie myśląc o tym, co robię. Zastanawiałam się, co będzie na obiad. Rozmyślałam, dlaczego nie wybrałam hiszpańskiego zamiast niemieckiego. Gdybym wybrała hiszpański, mogłabym liczyć na pomoc w odrabianiu lekcji ze strony dwojga native speakerów - : Theresy i Catherine. Nikt z moich znajomych nie mówi po niemiecku. Czemu w ogóle wzięłam się za taki idiotyczny język? Zrobiłam to tylko dlatego, że Lucy też się go uczy, a ona powiedziała, że jest łatwy. Łatwy! Ha! Może dla Lucy. Ale co dla niej nie jest łatwe? No, bo Lucy przecież ma wszystko: tycjanowskie włosy, świetnego chłopaka, narożną sypialnię z dużą szalą...

Tak bardzo pochłonęło mnie rysowanie i rozważanie, o ile lepiej żyje się Lucy niż mnie, że nie zauważyłam, kiedy kruk Joe zeskokczył ze swojej klatki i podfrunął bliżej, żeby mi się przyjrzeć. Ocknęłam się dopiero, kiedy wyrwał mi z głowy kosmyk włosów.

Poważnie. Ten ptak ukradł mi całe pasmo włosów!

Wrzasnęłam, a przestraszony Joe odfrunął, siejąc dokoła czarne pióra.

- Joseph! - krzyknęła Susan Boone, kiedy zobaczyła, co się dzieje. - Natychmiast odłóż włosy Sam!

Joe posłusznie otworzył dziób. Trzy czy cztery włosy w kolorze miedzi spłynęły na ziemię.

- Dobry ptak - powiedział Joe, przekręcając głowę na bok i patrząc na mnie. - Dobry ptak.

- Och, Sam - westchnęła Susan Boone, pochylając się nisko, żeby podnieść moje włosy. - Tak mi przykro. Zawsze przyciągały go jasne jaskrawe barwy.

Podeszła i oddała mi włosy, jakby jakimś sposobem mogła je z powrotem przykleić do głowy.

- Ten ptak nie jest wcale taki niedobry, naprawdę - powiedziała Gertie. Chyba się obawiała, że mogłam niewłaściwie ocenić zalety kruk Susan Boone.

Niedobry ptak - powiedział Joe. - Niedobry ptak.

Siedziałam tam i trzymałam na wyciągniętej dłoni swoje włosy myśląc, że Susan Boone lepiej by zrobiła, wykładając pięćset dolarów na specjalistę od psychologii ptaków, bo jej ulubieniec ma parę poważnych problemów. Tymczasem Joe wrócił na szczyt klatki i nie spuszczał ze mnie tych swoich oczu jak czarne paciorki. A konkretnie, z moich włosów. Widać było, że naprawdę ma ochotę podwędzić jeszcze parę pasemek. Przynajmniej tak to wyglądało. Czy ptaki mają w ogóle jakieś uczucia? Bo wiem, że psy tak.

Psy są mądre. Ptaki jakby trochę głupawe.

Ale, jak przekonałam się później, nie tak głupie, jak niektórzy ludzie. A przynajmniej ta jedna konkretna osoba. Piętnaście po piątej - wiedziałam, która jest godzina, bo stacja radiowa z muzyką poważną zaczęła właśnie nadawać wiadomości - Susan Boone powiedziała:

- Wystarczy. Parapet.

Wszyscy poza mną podnieśli się z ławek i ustawili swoje bloki na parapecie okna, rysunkami w stronę pokoju. Okna biegły wokół trzech ścian tego narożnego pomieszczenia - duże, trzymetrowe, jak w fabryce - a pod nimi były parapety tak szerokie, że dałoby się na nich usiąść. Pośpieszyłam, by ustawić mój blok obok innych, a potem wszyscy cofnęliśmy się i zaczęliśmy patrzeć na to, co narysowali pozostali.

Mój rysunek był po prostu najlepszy i w związku z tym poczułam się dość paskudnie. To przecież moja pierwsza lekcja, a już rysowałam lepiej niż cała reszta, nawet dorośli. Najbardziej zrobiło mi się żal Johna; jego rysunek to był po prostu jeden wielki chaos. Rysunek Gertie pełen był kanciastych brył i plam, rysunek Lynn wyglądał jak dzieło przedszkolaka, a Jeffrey zamiast owoców namazał coś dziwnego. Może UFO? Na pewno nie owoce.

Tylko praca Davida była w miarę normalna. Ale rysował za wolno i nie zdążył jej wykończyć. Ja zdążyłam narysować wszystkie owoce, a nawet dodałam jednego ananasa i kilka bananów, żeby trochę zrównoważyć kompozycję.

Miałam nadzieję, że Susan Boone nie będzie zanadto podkreślała, że mój rysunek tak bardzo przewyższa pozostałe. Nie chciałam, żeby ktokolwiek poczuł się przeze mnie źle.

- No cóż... - mruknęła.

A potem zbliżyła się do okna i zaczęła omawiać poszczególne prace.

Podchodziła do tego wszystkiego naprawdę szalenie dyplomatycznie. Miała tyle taktu, że tacie w pracy przydałyby się chyba jej usługi (ekonomiści świetnie sobie radzą z liczbami, ale kiedy przychodzi do kontaktów międzyludzkich wtedy, jak Rebecce, idzie im trochę

gorzej). Susan rozwodziła się nad tym, że Lynn ma dramatyczną kreskę, a Gertie świetnie potrafi rozmieścić na rysunku poszczególne elementy. Powiedziała, że John zrobił ogromne postępy, z czym wszyscy zdawali się zgadzać. Zaczęłam się zastanawiać, jak fatalnie musiał rysować, zanim zaczął brać lekcje. David „zastosował rewelacyjny kontrast”, a Jeffrey „doskonale operował detalem”.

Wreszcie podeszła do mojego rysunku. Korciło mnie, żeby wyslizgnąć się chyłkiem z pokoju. Mój rysunek był ewidentnie najlepszy. Wcale nie jestem zarozumiała, ale moje rysunki zawsze są najlepsze. Rysowanie to jedyne, co naprawdę umiem.

Okazało się jednak, że niepotrzebnie się martwiłam, jak zareaguje reszta grupy, kiedy Susan Boone będzie wyśpiewywać pochwały na moją cześć, bo kiedy stanęła przed moim rysunkiem, nie znalazła ani jednego miłego słowa. Popatrzyła uważnie, podeszła bliżej i przyjrzała mu się jeszcze dokładniej. Potem cofnęła się o krok i stwierdziła:

- No cóż, Sam, widzę, że narysowałaś, co wiesz. Pomyślałam, że to dość dziwna uwaga. Ale z drugiej strony, przecież tutaj wszystko od początku do końca było dziwne. Przyjemne - pomijając niezbyt sympatycznego kruka złodzieja włosów - ale dziwne.

- Hm - mruknęłam. - Możliwe.

- Ale ja nie prosiłam, żebyś rysowała to, co wiesz - powiedziała Susan Boone. - Prosiłam, żebyś narysowała to, co widzisz.

Zbita z tropu spojrzałam na stos owoców na stole, a potem znów - popatrzyłam na rysunek:

- A co ja niby zrobiłam? - powiedziałam. - Przecież narysowałam to, co widzę. To znaczy, co widziałam...

- Doprawdy? - spytała Susan Boone z elfim uśmiechem. - A widzisz na tym stole jakiegoś ananasa?

Nie musiałam patrzeć na stół, żeby to sprawdzić. Wiedziałam, że nie ma na nim żadnego ananasa.

- No, nie - odparłam - nie widzę. Ale...

- Nie. Ananasa tam nie ma. Ani tej gruszki.

- Chwileczkę - powiedziałam wciąż zmieszana, ale zdecydowana się bronić. - Tam są gruszki. Na stole są aż cztery gruszki.

- Owszem - zgodziła się Susan Boone. - Na stole są cztery gruszki. Ale żadna z nich nie jest tą gruszką. Tę gruszkę wzięłaś z wyobraźni. To jest suma tego, co wiesz o gruszkach - gruszka idealna - ale żadna z tych, które faktycznie miałaś przed sobą.

Nie miałam zielonego pojęcia, o czym ona właściwie mówi, ale Gertie i Lynn, John,

Jeffrey i David najwyraźniej ją rozumieli. Wszyscy pokiwali głowami.

- Nie rozumiesz, Sam? - Susan Boone podniosła mój rysunek i podeszła do mnie. Pokazała mi winogrona, które na nim umieściłam. - Narysowałeś tu parę pięknych winogron. Ale to nie są winogrona ze stołu. Winogrona ze stołu nie mają tak idealnego owalu, ani nie są tej samej wielkości. Narysowałeś tu tylko swoje wyobrażenie idealnych winogron, ale to nie są winogrona, które w tej chwili przed nami leżą.

Zamrugałam, patrząc na rysunek. Nie rozumiałam, o co jej chodzi. Naprawdę nie rozumiałam. To znaczy rozumiałam mniej więcej jej słowa, ale nie wiedziałam, o co ten cały krzyk. Moje winogrona wyglądały o wiele lepiej niż winogrona na rysunkach Innych osób. Czy to źle?

Co gorsza, czułam, że wszyscy patrzą na mnie ze współczuciem. Twarz zaczęła mnie palić. Taki już los rudzielca; przez jakieś dziewięćdziesiąt siedem procent czasu człowiek chodzi czerwony. I absolutnie nic nie można zrobić, żeby to ukryć.

- Rysuj to, co widzisz - dodała Susan Boone łagodnie. - A nie to, co wiesz, Sam.

A wtedy weszła Theresa, zdyszana po wspinaczce na schody, co sprowokowało Joego do następnej serii wrzasków:

- Cześć Joe! Cześć Joe!

Lekcja się skończyła. Myślałam, że padnę, tak mi ulżyło.

- Do zobaczenia w czwartek - zawołała za mną wesoło Susan Boone, kiedy zakładałam kurtkę.

Uśmiechnęłam się do niej, ale pomyślałam: „Zobaczysz mnie tu w czwartek, akurat... Po moim trupie!”

Oczywiście, nie wiedziałam wtedy, jak bliska byłam jasnowidzenia. No, w pewnym sensie.

Kiedy opowiedziałam o wszystkim Jackowi - to znaczy o tym, co się wydarzyło w Szkole Rysunku Susan Boone - on się tylko roześmiał.

Śmiał się! Jakby było z czego!

Trochę mnie to ubodło, ale widocznie było w tym coś śmiesznego.

- Sam - powiedział, potrząsając głową tak, że srebrny krzyż ankh, który nosi w jednym uchu, błysnął w świetle. - Nie możesz pozwolić, żeby establishment zwyciężył. Musisz walczyć z systemem.

Łatwo mu mówić. Ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu i waży ponad sto kilo. Trener naszej szkolnej drużyny futbolowej wytrwale się do niego wdzięczy, odkąd najlepszy skrzydłowy przeprowadził się do Dubaju.

Jack jednak nie chciał przykładać ręki do planów trenera Donnelly'ego, który marzył, by nasza szkoła przeszła szturmem przez okręgowe mecze eliminacyjne. Jack nie wierzy w sporty zespołowe, ale nie dlatego, że tak jak ja sprzeciwia się drenowaniu znacznej części funduszy, które można by przeznaczyć na sztuki piękne. Nie. Jack uważa, że sporty, tak jak zakłady Lotto, służą wyłącznie uspianiu czujności proletariatu fałszywą nadzieją na to, że któregoś dnia jednostce uda się wznieść ponad los pisany jego kumplom żłopiącym piwu i prowadzącym ciężarówkę.

Takiemu facetowi jak Jack bardzo łatwo jest walczyć z systemem.

Ja mam tylko metr pięćdziesiąt pięć i nie wiem, ile ważę, odkąd mama, obejrawszy reportaż o anoreksji pieniącej się wśród współczesnych nastolatek, wyrzuciła wagę. Poza tym nigdy nie udało mi się wspiąć po linie na WF - ie, bo po ojcu odziedziczyłam kompletny brak siły w górnej części ciała.

Jednak kiedy o tym wspomniałam, Jack zaczął się śmiać jeszcze głośniejsze, a ja pomyślałam sobie, że to trochę, no wiecie, niegrzeczne. Jak na mężczyznę, który powinien być moją pokrewną duszą. Nawet jeśli on jeszcze o tym nie wie.

Sam - powiedział - ja nie każę ci walczyć z systemem przy użyciu siły fizycznej. Powinnaś być nieco bardziej subtelna.

Siedział przy kuchennym stole i zajadał pączki w polewie czekoladowej, które Theresa podała nam na podwieczorek po szkole. Pączki to nie jest to, co zazwyczaj dostajemy na podwieczorek. Mama chce, żebyśmy jadły wyłącznie jabłka i krakersy - grahamki, piły mleko i inne takie. Ale Theresa, w przeciwieństwie do moich rodziców, nie przejmuje się



stopniami Jacka ani jego postawą polityczną, którą on lubi podkreślać przy użyciu wiatrówki. Więc kiedy Jack przychodzi w czasie jej obecności, zawsze robi się z tego impreza. Czasem nawet Theresa coś dla nas piecze. Raz zrobiła tort czekoladowy. Mówię wam, Lucy dostał się jedyny facet, który potrafi nakłonić Theresę do upieczenia tortu czekoladowego! Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

- Susan Boone ogranicza moją kreatywność - powiedziałam z godnością. - Chce mnie zmienić w jakiegoś artystycznego robota...

- No jasne. - Jack z rozbawioną miną nadgryzał kolejnego pączka. - Jak wszyscy nauczyciele. Spróbowałam użyć wyobraźni, dodałam ananasa i - bach! - pięść konformizmu od razu wylądowała nu twoim karku.

Kiedy Jack się do czegoś zapali, mówi z pełnymi ustami. Robił to właśnie teraz. Kawaleczki pączka pofrunęły nad stołem i trafiły w okładkę magazynu, który czytała Lucy. Opuściła „Cosmo”, popatrzyła na okruchy pączka, które przywarły do okładki, spojrzała na Jacka i powiedziała:

Kretynie, przestań robić pszczołkę.

A potem wróciła do artykułu na temat orgazmów.

Widzicie? Widzicie, o co mi chodzi, kiedy mówię, że ona jest ślepa na geniusz Jacka?

Ugryzłam pączka. Nasz stół kuchenny, przy którym zazwyczaj jadamy tylko śniadania i drobne przekąski, stoi w szklanym wykuszu na tyłach domu. Nasz dom jest stary ma ponad sto lat, jak większość domów w Cleveland Park. Stoi tu masa wiktoriańskich budowli z mnóstwem witrażowych okienek i tarasików pomalowanych na jasne kolory. Na przykład nasz dom jest w kolorach turkusowym, żółtym i białym.

Atrium od strony ogrodu zostało dobudowane do naszego domu dopiero w zeszłym roku. Ma szklany sufit, a stół kuchenny to również wielka, gruba, szklana talia. Zaczynało się już ściemniać i gdzie nie spojrzałam, widziałam własne odbicie w szybie. I wcale nie podobało mi się to, co zobaczyłam:

Niewysoką dziewczynę o bladej i piegowatej cerze, ubraną na czarno, z szopą jasnoczerwonych kręconych włosów, sterczących na wszystkie strony.

To, co ujrzałam po obu stronach swojego odbicia, podobało mi się jeszcze mniej:

Dziewczynę o delikatnych rysach twarzy bez jednego piega, w purpurowo - białym kostiumie cheerleaderki, której jasnoczerwone loki łagodnymi kilami spływały spod podtrzymującej je opaski.

I szerokiego w barach faceta, z błękitnymi oczami o przeszywającym spojrzeniu i długimi ciemnymi włosami, noszącego podarte dżinsy i wojskowy płaszcz z demobilu,

jedzącego pączki, jakby mógł nie doczekać następnego ranka.

A w środku siedziałam ja.

Na swoim zwykłym miejscu.

Raz widziałam film dokumentalny o kolejności narodzin i zgadnijcie, co tam powiedzieli:

Dziecko pierworodne (Lucy): szef. Zawsze dostaje to, czego chce. Ma największe szanse zostać prezesem wielkiej korporacji, dyktatorem małego państewka albo supermodelką (niepotrzebne skreślić).

Dziecko najmłodsze (Rebecca): pupilek. Zawsze dostaje to, czego chce. Ma największe szanse zostać wynalazcą leku na raka, gospodarzem talk - show, osobą, która podejdzie do statku - matki, którym przylecą do nas istoty pozaziemskie i powie: „Cześć, witamy na Ziemi” itd.

Dziecko środkowe (ja): zagubione w kosmosie. Nigdy nie dostaje tego, czego chce. Ma największe szanse jako nastolatek uciec z domu i tygodniami żywić się resztkami big maców wygrzebywanymi z koszy na tyłach MacDonalda, zanim ktokolwiek w ogóle zauważy jego zniknięcie. Takie życie jest mi pisane.

Chociaż, jeśli się nad tym zastanowić, moja leworęczność dowodzi, że kiedyś byłam prawdopodobnie jednym z bliźniąt. Tak przynajmniej mówił artykuł, który przeczytałam w poczekalni u dentysty. Według pewnej teorii większość mańkutów zaczynała właśnie jako bliźniak. Jedna na dziesięć ciąży zaczyna się jako ciąża bliźniacza. Jedna na dziesięć osób jest leworęczna.

Przeliczcie to sobie.

Przez jakiś czas myślałam, że mama nigdy mi nie powiedziała o zmarłej siostrze lub bracie bliźniaku, żeby nie ranić moich uczuć. Ale potem przeczytałam w Internecie, że w siedemdziesięciu procentach ciąży, które zaczynają się jako bliźniacze, jedno z dzieci znika. Ot, tak. Puff. To się nazywa syndrom znikającego bliźniaka i zazwyczaj matka nawet nie zdaje sobie sprawy, że nosiła dwoje dzieci, a nie jedno, bo to drugie znika na samym początku ciąży.

Nie, żeby to miało jakieś znaczenie. Bo nawet gdyby moje bliźniacze rodzeństwo przetrwało i tak byłabym środkowym dzieckiem. Tyle że miałabym tylko kogoś, z kim mogłabym podzielić to brzemię. I może kogoś, kto wybiłby mi z głowy branie się za niemiecki.

- No cóż - powiedziałam, opuszczając wzrok na serwetkę leżącą pod łokciami, żeby nie widzieć swojego odbicia w stole. - Co ja mam teraz zrobić? W szkole na lekcjach plastyki

nikt mi nie powiedział złego słowa, kiedy dodawałam różne rzeczy. Pozwalali mi dorysowywać, co tylko chciałam.

Jack parsknął.

- Szkoła - powiedział. - Aha, taaa.

Jack toczy odwieczną i zażartą wojnę z administracją naszej szkoły w sprawie pewnych obrazów, które zgłosił na wystawę plastyczną w lokalnym centrum handlowym. Pan Esposito, nasz dyrektor, był niezadowolony, że Jack zgłosił te prace w imieniu szkoły bo nigdy ich nawet na oczy nie widział. Więc kiedy je przyjęto, rozzłościł się, ponieważ tematyka odstawała raczej od tego, co on uznaje za „zgodne z poziomem Liceum imienia Adamsa”. Wszystkie te obrazy przedstawiały nastolatków w bejsbolówkach wałęsających się koło 7 - Eleven, Jack zatytułował je: *Studia nad wrogą postawą, Numery od jeden do trzy*, chociaż na ostatnim spotkaniu komitetu rodzicielskiego któryś zirytowany rodzic nazwał je *Studiami nad głupawką*.

Impresjoniści, przypominam często Jackowi, kiedy jest przygnębiony też doczekali się uznania dopiero po śmierci.

W każdym razie. Jacka i administrację liceum nie łączą zbyt ciepłe uczucia. Prawdę mówiąc, gdyby rodzice Jacka nie dawali największych składek na uczniowski system stypendialny, Jacka pewnie już dawno temu wyrzuciliby ze szkoły.

- Po prostu musisz znaleźć jakiś sposób, żeby postawić się tej całej Susan Boone - powiedział Jack. - To znaczy, nie wolno ci pozwolić, by dusiła w zarodku każdą twoją twórczą myśl. Musisz rysować to, co masz w sercu, Sam. Inaczej, po co w ogóle to robić?

- Myślałam - dodała Lucy znudzonym tonem, kartkując - że powinnaś rysować to, co wiesz.

- Powinno się pisać, to, co się wie. - Rebecca przy drugim końcu stołu podniosła oczy znad laptopa. - I rysować to, co się widzi. Każde dziecko o tym wie.

Jack popatrzył na mnie triumfalnie.

- Widzisz? - powiedział. - Widzisz, jakie to wszystko zaraźliwe? Tkwi nawet w podświadomości małych, jedenastoletnich dziewczynek.

Rebecca rzuciła mu gniewne spojrzenie. W kwestii Jacka Rebecca zawsze popierała rodziców.

- Hej - powiedziała. - Nie jestem mała. Jack ją zignorował.

- Gdzie byśmy byli, gdyby Picasso malował wyłącznie to, co widział? - drążył Jack. - Albo Pollock? Albo Miró? - Pokręcił głową. - Musisz pozostać wierna swoim przekonaniom, Sam. Rysuj z serca. Jeśli serce ci podpowiada: dodaj ananasa, to dodawaj ananasa. Nie

pozwól, żeby establishment mówił ci, co masz robić. Nie pozwól, żeby inni dyktowali ci, jak - i co - masz rysować.

Nie wiem, jak on to robi, ale jakimś cudem Jackowi zawsze udaje się trafić w dziesiątkę. Zawsze.

- Więc chcesz zrezygnować? - spytała Catherine, która zadzwoniła do mnie tego samego wieczoru, żeby przedyskutować naszą pracę domową z biologii. Praca domowa z biologii miała polegać na obejrzeniu filmu dokumentalnego o osobach cierpiących na zaburzenia oceny wyglądu swojego ciała. To tacy ludzie, którzy - tak jak Michael Jackson - myślą, że są jakoś strasznie oszpecceni, chociaż naprawdę wcale Lak nie jest. Na przykład jakiś człowiek do tego stopnia nienawidził swojego nosa, że rozciął go sobie nożem, usunął chrząstka nosową i zamiast niej wsadził kość z kurczaka.

Co tylko pokazuje, że nieważne, w jakie wpadłeś tarapaty, wszystko zawsze może się jeszcze skomplikować. I to bardzo.

- Nie wiem - odparłam w odpowiedzi na pytanie Catherine. Już zdążyliśmy szczegółowo przedyskutować kwestię kurzej kości. - Chcę. Ta cała grupa to same dziwadła.

- Tak - powiedziała Catherine. - Ale mówiłaś, że był jeden fajny facet.

Pomyślałam o znajomo wyglądającym Davidzie, u jego koszulce z Save Ferris, jego dużych dłoniach i stopach i o tym, że podobały mu się moje glany.

A także o tym, że widział, jak zostałam totalnie zniszczona. Rozdeptana przez Susan Boone jak mrówka.

- Jest fajny - przyznałam. - Ale nie taki fajny jak Jack.

- A kto jest? - spytała Catherine i westchnęła. - Chyba tylko Heath.

Otóż to, otóż to.

- Mama pozwoli ci rzucić te lekcje? - chciała wiedzieć Catherine. - No bo czy to czasem nie miała być kara za czwórkę z minusem z niemieckiego? Może wcale nie chodzi o to, żeby ci się podobało?

- Moim zdaniem to miało być dla mnie doświadczenie poznawcze - powiedziałam. - No wiesz, tak jak wtedy, kiedy rodzice Debbie Kinley wysłali ją na obóz przetrwania po tym, jak wypila całą wódkę na imprezie w domu Rodda Muckinfussa? Lekcje rysunku mają być chyba takim moim obozem przetrwania.

- No to nie możesz się wycofać - stwierdziła Catherine. - Więc co zamierzasz?

- Coś wymyślę - odparłam. Prawdę mówiąc, już wymyśliłam.

Dziesięć głównych powodów, dla których byłabym dla Jacka lepszą dziewczyną niż moja siostra Lucy:

10. Moja miłość i zrozumienie dla sztuki. Lucy o sztuce nie wie nie. Dla niej sztuką jest to, co kazali nam robić ze szczotek do szorowania butelek na letnim obozie skautowskim, na którym byliśmy razem.

9. Mając duszę artystki, jestem lepiej przygotowana do tego, by zrozumieć i znieść wahania nastrojów Jacka. Lucy po prostu pyta go: „Pogięło cię?”

8. Nigdy bym nie żądała, tak jak Lucy, żeby Jack zabierał mnie na jakieś idiotyczne, obrzydliwe, modne filmy dla nastolatków, na które tłumnie walą ludzie w wieku od szesnastu do dwudziestu czterech lat. Rozumiałabym, że osobowość jak wrażliwa, jak osobowość Jacka potrzebuje pokarmu w postaci dzieł kina niezależnego albo jakiegoś zagranicznego filmu z napisami. I wcale nie chodzi mi o filmy z Jackie Chanem.

7. To samo dotyczy głupieli książek, które Lucy każe czytać Jackowi. *Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus* to nie jest odpowiednia lektura dla takiego faceta jak Jack. *Dziewica i cygan* D.H. Lawrence'a byłaby bardziej stymulująca dla tak błyskotliwego umysłu niż te śmieszne poradniki Lucy, Chociaż właściwie nie czytałam *Dziewicy i cygana*. Wydaje mi się jednak, że jest to książka, która naprawdę mogłaby zainteresować Jacka i mnie. Na przykład, moglibyśmy ją sobie czytać głośno na zmianę na kocu w parku. Tak zawsze robią artyści na filmach, Kiedy tylko skończę czytać po raz setny *Podziemny krąg*, dam szansę *Dziewicy i cyganowi*, żeby się upewnić, czy jest naprawdę tak intelektualna, jak mi się wydaje.

6. Nie dałabym Jackowi na urodziny bokserek z ptaszkiem Tweetym, jak Lucy w zeszłym roku. Znalazłabym na prezent coś szalenie osobistego i romantycznego, na przykład pędzle z sobolowej sierści albo może oprawne w skórę wydanie *Romea i Julii*, czy jedną z opasek na nadgarstek Gwen Stefani albo coś w tym rodzaju.

5. Gdyby Jack kiedykolwiek spóźnił się, kiedy ma mnie zabrać na randkę, nie wrzeszczałabym na niego tak, jak to robi Lucy. Umiałabym zrozumieć, że artysta nie może się naginać do tak przyziemnych ograniczeń jak czas.

4. Nigdy nie zmuszałabym Jacka, żeby chodził ze mną do centrum handlowego. To znaczy, gdybym się tam kiedykolwiek wybierała, bo nigdy tego nie robię. Jack i ja chodzilibyśmy do muzeów, i nie mówię tu o Muzeum Aeronautyki i Kosmosu, do którego chodzą wszyscy, ani o Smithsonian, żeby oglądać głupie rubinowe pantofelki Doroty, ale o prawdziwych galeriach, gdzie wystawia się prawdziwą sztukę, na przykład do Hirschorn. Może nawet moglibyśmy zabierać ze sobą szkicowniki, siadać plecami do siebie na jednej z tych ławeczek i szkicować nasze ulubione obrazy, a ludzie podchodziliby i patrzyli, co

rysujemy i proponowaliby, że kupią nasze prace, a my odmawialibyśmy, bo byłyby one dla nas jak skarby i symbole naszej wielkiej miłości.

3. Gdybyśmy kiedykolwiek mieli się z Jackiem pobrać, nie należałabym na uroczysty ślub i huczne wesele, jak na pewno zrobi to Lucy. Wzięlibyśmy ślub na bosaka, w lesie niedaleko Walden Pond, dokąd tak wiele artystycznych dusz udaje się w poszukiwaniu natchnienia. A w podróż poślubną zamiast do Sandals na Jamajce czy gdzie tam, pojechalibyśmy po prostu do Paryża i zamieszkali na poddaszu.

2. Nigdy nie czytałabym magazynów, kiedy Jack siedzi przy naszym kuchennym stole i je pączki. Zabawiałabym go przyjazną, ale uduchowioną i intelektualną rozmową o sztuce i literaturze. A oto najważniejszy powód, dla którego byłabym dla Jacka lepszą dziewczyną niż Lucy:

1. Ofiarowałabym mu to pełne miłości wsparcie, którego tak rozpaczliwie potrzebuje, bo rozumiem, jak to jest, kiedy człowiek ugina się pod brzemieniem własnego geniuszu.

Na szczęście kiedy Theresa wiozła mnie w czwartek do pracowni Susan Boone, padał deszcz. Zmniejszyła dokładnie do zera szanse, że znajdzie miejsce do parkowania, odszuka na tylnym siedzeniu parasolkę, wysiądzie z samochodu i odprowadzi mnie pod drzwi pracowni.

Zamiast tego, zatrzymała się na samym środku Connecticut Avenue - więc wszystkie samochody za nami zaczęły trąbić - i powiedziała:

- jeżeli nie będzie cię tu dokładnie o wpół do szóstej, znajdę cię. Słyszysz? Wytropię cię jak myśliwy zwierzynę.

- Dobrze - odparłam, odpinając pas.

- Mówię poważnie, panno Samantho - powiedziała Theresa. - Punktualnie o wpół do szóstej. Albo zaparkuję na drugiego i będziesz musiała sama uregulować rachunek, jeżeli samochód zostanie odholowany.

- Jak chcesz - powiedziałam i wyszłam na deszcz. - Na razie. A potem pobiegłam do drzwi pracowni.

Tyle że, oczywiście, nie weszłam na strome schody. Jakżebym mogła? Muszę przecież walczyć z systemem, prawda?

Poza tym, przecież mnie tam przedwczoraj upokorzono. Czy naprawdę miałam wejść do środka tanecznym krokiem tak, jakby nigdy nic się nie stało?

Odpowiedź brzmiała: nie. To wykluczone.

Odczekałam więc w ciasnym holu mniej więcej minutę, a deszcz spływał z kaptura mojej goreteksowej kurtki. Stojąc tak, próbowałam obronić się przed ogarniającym mnie poczuciem winy. Wiedziałam, że bojkotując Susan Boone, zajmuję określone stanowisko, i tak dalej. No bo pokazywałam przecież, że jestem po stronie artystycznych buntowników całego świata.

Ale moi rodzice naprawdę płacili kupę pieniędzy za te lekcje rysunku. Słyszałam, jak tata narzekał, że kosztują miesięcznie prawie tyle, ile psycholog dla zwierząt. Susan Boone, jak się okazało, była dosyć znana. Z czego dokładnie była znana, nie wiedziałam, ale najwyraźniej za lekcje rysunku liczyła sobie słono.

Tak więc, chociaż walczyłam z systemem, nie czułam się za dobrze, wiedząc, że marnuję ciężko zarobione pieniądze moich rodziców.

Ale z drugiej strony jestem najtańszym dzieckiem w rodzinie. Na Lucy na przykład rodzice co miesiąc wydają fortunę. Ona wiecznie potrzebuje nowych ubrań, nowych

pomponów, nowych aparatów - ortodontycznych, nowych kosmetyków. Wszystko po to, żeby podtrzymać swój wizerunek jednej z piękniejszych uczennic Liceum imienia Adamsa.

A Rebecca, mój Boże! Samo chesne za naukę w Horizon wynosi mniej więcej tyle, ile produkt krajowy brutto jakiegoś niedużego państewka w trzecim świecie.

A ja? Ile mama i tata wydają co miesiąc na moje potrzeby? No cóż, dopóki nie doniesiono na mnie w sprawie portretów idoli, ani grosza, oprócz opłat za szkołę. Przecież mam donaszać po siostrze staniki, prawda? A w tym roku nawet nie potrzebowałam nowych ubrań; po prostu potraktowałam czarną farbą ciuchy z zeszłego semestru i *voilà!* Garderoba jak nowa.

W stosunku do innych dzieci jestem więc konkurencyjna pod względem wydatków. Nawet jem niedużo, bo nienawidzę prawie wszystkich potraw poza hamburgerami, bagietkami pani Chlebowej i deserami.

Więc nie powinnam czuć się winna, że chcę się urwać z lekcji rysunku. Naprawdę nie.

Ale kiedy tak stałam, owionął mnie znajomy zapach terpentyny i słyszałam, że gdzieś z wysoka dobiega cichutka muzyka klasyczna i - od czasu do czasu - wrzask kruka Joego. Nagle ogarnęła mnie dziwna ochota, żeby wspiąć się po tych schodach, podejść do mojej ławki i zacząć rysować.

Wtedy jednak przypomniałam sobie upokorzenie, jakiego tam doznałam. I to w dodatku na oczach tego faceta, Davida! No bo naprawdę, chociaż nie był taki fajny jak Jack - skądże - to w końcu jednak facet! I lubi Save Ferris! I powiedział, że podobają mu się moje glany!

Za żadne skarby nie wejdę na te schody. Muszę zająć konkretne stanowisko. Określić się w stosunku do systemu.

Odczekałam jeszcze trochę, modląc się, żeby nikt nie wszedł i nie powiedział na mój widok: „O, cześć, Sam. Nie wchodzisz na górę?”

Jakby ktokolwiek z tej grupy zapamiętał, jak mam na imię. Może jedna Susan Boone...

Ale nikt się nie pojawił. Kiedy upłynęły dwie minuty, ostrożnie otworzyłam drzwi i wyrzłam na zalaną deszczem ulicę.

Theresa zniknęła. Byłam bezpieczna. Mogłam wyjść.

Najpierw weszłam do Capitol Cookies. Jak miałam się oprzeć? W tym całym deszczu cukiernia wyglądała tak miło i kusząco, a tak się akurat złożyło, że miałam w kieszeni dolara sześćdziesiąt osiem - dokładnie tyle, ile kosztuje Czekoladowy Kąsek Kongresmana. Ciastko, które mi podali, wyjęte przed chwilą z pieca, było jeszcze ciepłe. Wsunęłam je do kieszeni kurtki. Do Static, dokąd zamierzałam wejść za chwilę, nie pozwalają wnosić jedzenia.



Tego popołudnia nie grali już Garbage. Puszczali The Donnas. Nie ska, ale też do przyjęcia. Podeszłam do miejsca, gdzie przy ścianach umieszczono kilka par słuchawek, żeby ludzie mogli przesłuchiwać płyty. Spędziłam miłe pół godziny, słuchając albumu Less Than Jake, na który miałam ochotę. Nie mogłam sobie teraz na niego pozwolić, odkąd mama ograniczyła moje fundusze na podobne cele.

Słuchając, kruszyłam ukradkiem ciastko w kieszeni, kawałeczki wsuwałam do ust i wmawiałam sobie, że to, co robię nie jest takie znów naganne. To znaczy, walka z systemem. Poza tym, popatrzcie na Catherine: przez całe lata rodzice zmuszali ją, żeby chodziła do szkoły niedzielnej, kiedy oni są na mszy. Ponieważ między Catherine a każdym z jej braci są mniej więcej dwa lata różnicy, każde z nich chodziło na religię do innej grupy i ona dopiero w tym roku zorientowała się, że kiedy mama odwozi ich na religię, Marco i Javier machają jej na do widzenia, a potem skradają się za róg do salonu gier. Dowiedziała się o tym dopiero wtedy, kiedy któregoś dnia jej klasę zwolniono wcześniej i poszła poszukać swoich braci, a ich nigdzie nie było.

Więc w zasadzie przez całe lata Catherine siedziała w szkółce i słuchała, że należy unikać pokus i tak dalej, tymczasem, jak się okazało, jej bracia - i na dobrą sprawę wszystkie co sprytniejsze dzieciaki, które chodzą do tego kościoła - siedzieli w salonie gier, walcząc o jak najwyższy wynik w jakiejś grze.

Więc co Catherine teraz robi? Macha na do widzenia mamie, tak samo jak Marco i Javier, a potem idzie z nimi do salonu gier i w poświęceni Delta Force odrabia lekcje z geometrii.

I czy chociaż ma wyrzuty sumienia z tego powodu? Nie. Dlaczego nie? Bo mówi, że jeśli Pan faktycznie jest ucieleśnieniem miłosierdzia, jak ją tego uczono, to zrozumie, że ona naprawdę potrzebuje dodatkowego czasu na naukę, inaczej obleje geometrię i nigdy nie uda jej się dostać na dobry uniwersytet i odnieść sukcesu w życiu.

Więc dlaczego ja miałabym się czuć źle, opuszczając lekcję rysunku? To w końcu tylko lekcja rysunku. Catherine za to zrywa się ze spotkań z Bogiem.

Gdyby moi rodzice jakimś mało prawdopodobnym zbiegiem okoliczności odkryli, co zrobiłam, z pewnością zrozumieliby, że ja tylko usiłowałam zachować swoją niezależność jako artystka. Oczywiście, że to rozumieją. Prawdopodobnie. Być może. W każdym razie, pewnego dnia, o ile w ujęciu wody pitnej żadnego miasteczka na Środkowym Zachodzie nie znajdą się polichlorowane bifenyle ani nie nastąpi poważne załamanie gospodarki któregoś z krajów Afryki.

Jeżeli nawet w Static kogokolwiek dziwiło, że piętnastoletnia rudowłosa dziewczyna,

ubrana od stóp do głów na czarno, kręci się po sklepie przez dwie godziny, przeglądając kompaktki, ale żadnego nie kupując, to nikt mi słowa na ten temat nie powiedział. Lalka za kontuarem, która miała takie właśnie nastroszone czarne włosy, jakie zawsze chciałam mieć, ale nigdy mi nie starczało odwagi, żeby sobie taką fryzurę zafundować, była zbyt zajęta flirtowaniem z jednym z pracowników, facetem w sztruksach i koszulce Le Tigre, żeby zwracać na mnie uwagę.

Inni klienci i też mnie ignorowali. Większość wyglądała na studentów uniwersytetu zabijających czas między zajęciami. Niektórzy mogli chodzić jeszcze do liceum. Jeden był dość mocno posunięty w latach (chyba po trzydziestce), nosił wojskowe ciuchy i miał sportową torbę. Przez jakiś czas kręcił się niedaleko mnie przy stoiskach ze słuchawkami i słuchał Billy'ego Joela. Zdziwiłam się, że takie miejsce jak Static w ogóle ma Billy'ego Joela, a jednak. Ten facet bez przerwy odtwarzał *Uptown Girl*. Mój tata też jest fanem Billy'ego Joela - bez przerwy puszcza go w samochodzie, co sprawia, że jazda z nim jest rozkoszą wariata - ale nawet on dawno już wyrósł z *Uptown Girl*.

Ciastko mi się skończyło w połowie drugiego albumu The Spitvalves. Sięgnęłam do kieszeni i nie znalazłam w niej nic oprócz okruszków. Zastanowiłam się, czy nie iść po następne, ale przypomniałam sobie, że jestem splukana. Poza tym pewnie zbliżało się już wpół do szóstej. Musiałam wyjść na zewnątrz i czekać, aż podjedzie po mnie Theresa.

Włożyłam kaptur i wyszłam na deszcz. Nie było już takiej regularnej ulewy jak wtedy, kiedy przyjechałam, ale stwierdziłam, że kaptur nie pozwoli ludziom wychodzącym ze Szkoły Rysunku Susan Boone rozpoznać mnie i zagadać: „Cześć, a gdzie ty się właściwie podziewałaś?”

Jakby komukolwiek z nich mogło mnie brakować.

Kiedy siedziałam w sklepie muzycznym, na dworze zaczęło się ściemniać. Wszystkie przejeżdżające ulicą samochody miały już włączone światła. I ruch znacznie się zwiększył, bo nadeszła godzina szczytu i wszyscy usiłowali dostać się do domów - do swoich najbliższych. A może tylko po to, żeby obejrzeć *Przyjaciół*. Wszystko jedno.

Stałam przy krawężniku naprzeciwko Kościoła Scjentologicznego, obserwując przez zmrużone powieki lekką mżawkę i światła zbliżające się z kierunku, z którego miała nadjechać Theresa. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie użalać się nad sobą. Stercę na deszczu, piętnastoletnia, leworęczna, ruda, bez chłopaka, niezrozumiana, średnie dziecko w rodzinie, wyrzutek bez jednego grosza przy duszy ponieważ urwałam się z lekcji rysunku, bo nie potrafię znieść krytyki. Co się stanie, jeżeli dorosnę i założę swój własny biznes, malując na przykład portrety idoli? Rzucę to, jeżeli nie odniosę natychmiastowego sukcesu? Schowam

się w Static? A może powinnam od razu się tym zająć i uprzedzając fakty, postarać się o pracę w sklepie? Właściwie to wcale nie najgorsze miejsce pracy. Założę się, że sprzedawcy mają zniżki na kompakty.

Kiedy tak stałam i robiłam sobie wyrzuty, że zbyt łatwo się poddaję, ten podstarzały zagorzały fan Billy'ego Joela wyszedł ze Static i zatrzymał się obok mnie, mimo że światło na przejściu zmieniło się już na zielone. Zerknęłam na niego kątem oka. Grzebał pod peleryną od deszczu, taką w panterkę. Zastanawiałam się, czy to nie złodziej sklepowy. Zauważyłam w Static, że mają tam Ścianę Wstydu. Wieszają na niej polaroidowe zdjęcia ludzi, którzy próbowali coś ukraść. Jeśli kiedykolwiek istniał idealny kandydat do wywieszenia na Ścianie Wstydu, to był to właśnie ten człowiek.

A kiedy po chwili zobaczyłam w mroku i deszczu mnóstwo migających czerwonych światełek, pomyślałam sobie: O, świetnie! jadą gliny. Pan Uptown Girl wpadł.

Okazało się jednak, że to nie gliniarze tylko część konwoju samochodów prezydenta. Najpierw jechał samochód przewodnik, czarny terenowy wóz z rzędem migających czerwonych światełek na dachu. Za nim następny, a z tyłu długa czarna limuzyna. Za limuzyną jechało jeszcze więcej terenowych samochodów z migającymi światełkami.

Zamiast cieszyć się, że zobaczę prezydenta - chociaż tak naprawdę nie można go zobaczyć, bo limuzyna nie specjalne okna i ludzie ze środka widzą, co dzieje się na zewnątrz, ale z zewnątrz nie można zajrzeć do środka, pomyślałam sobie: O cholera! Bo Theresa na pewno utknęła w korku gdzieś za konwojem, który poruszał się w żółwym tempie. Do chwili, kiedy wreszcie mnie odbierze, Theresa wpadnie w fatalny nastrój, a na dodatek w żaden sposób nie uda mi się uniknąć spotkania z Davidem, kiedy będzie wychodził od Susan Boone. Prawdopodobnie zobaczy, jak tam stoję i powie sobie: „Jezu, to ta dziwaczka!” i nigdy więcej się do mnie nie odezwie. Nie, żeby mi na tym zależało, bo jestem przecież naprawdę zakochana w chłopaku mojej siostry. Ale było mi miło, kiedy zwrócił uwagę na moje buty. Rzadko komu to się w ogóle zdarza.

A poza tym, kiedy się mieszka w Waszyngtonie, widok przejeżdżającego prezydenta nie jest niczym nadzwyczajnym, bo on wiecznie kręci się po okolicy.

Potem zdarzyła się strasznie dziwna rzecz. Pierwszy wóz z konwoju podjechał do mnie... i zatrzymał się. Po prostu stanął.

A przecież miał zielone światło.

Za pierwszym wozem z konwoju przystanął następny, potem limuzyna i tak dalej. Ruch za nimi został kompletnie zablokowany wzdłuż całej Connecticut Avenue. Faceci ze słuchawkami w uszach wyleźli z samochodów i ruszyli w stronę limuzyny.

Potem, ku mojemu niebotycznemu zdumieniu, prezydent Stanów Zjednoczonych wysiadł z limuzyny i z całą bandą facetów ze służb specjalnych, którzy tłoczyli się wokół niego z parasolami i rozglądali się, gadając do swoich walkie - talkie, ruszył prosto do Capitol Cookies!

Tak właśnie, wszedł sobie do Capitol Cookies, jakby to robił codziennie.

Nie wiedziałam, że prezydent lubi ciastka z tej cukierni. Są dobre, przyznaję, ale to nie jest najbardziej znana cukiernia na świecie. To znaczy, jest tylko ten jeden sklep, nawet nie sieć.

I można by się spodziewać, że będąc prezydentem, człowiek może załatwić sobie z właścicielem cukierni prywatną dostawę ciastek do domu, żeby nie musieć wychodzić z limuzyny na taki deszcz tylko po to, by kupić parę sztuk. No bo jeśli ja miałabym cukiernię i odkryłabym, że prezydent Stanów Zjednoczonych lubi moje ciastka, dbałabym, żeby dostawiał je regularnie.

Z drugiej strony, ludzie, którzy są właścicielami Capitol Cookies pewnie woleliby, żeby widziano, jak prezydent zagląda do ich cukierni. To przecież znakomita reklama.

I kiedy tak stałam w mroku i deszczu, a czerwone światła na dachu stojącego przede mną wozu świeciły mi prosto w oczy, zobaczyłam, że Pan Uptown Girl rozsuwa pelerynę.

Okazało się, że to, co pod nią chował, nie miało nic wspólnego z kradzieżami sklepowymi. Zupełnie nie. Chował pod nią wielki rewolwer. Wyciągnął go i wymierzył w stronę drzwi Capitol Cookies... Drzwi, z których wychodził właśnie prezydent.

Ludzi takich jak ja rzadko określa się mianem szczególnie dzielnych. Bronię w szkole dzieciaków, którym ktoś dokucza, ale robie to tylko dlatego, że z czasów, kiedy mieszkałam w Maroku, i z czasów tej całej afery z wadą wymowy pamiętam, jak to jest, kiedy ktoś się Ciebie czepia.

Ale to nie znaczy, że jestem dziewczyną, która rzuci się w objęcia ryzyka, nie myśląc o własnym bezpieczeństwie. Ostatni raz znalazłam się w sytuacji bezpośredniego zagrożenia zdrowia, kiedy pobiłyśmy się z Lucy o pilota od telewizora.

A już szczególnie nie lubię konfrontacji. Owszem, wybrałam stronę twórczej niezależności, bojkotując Susan Boone i tak dalej, ale w gruncie rzeczy byłam po prostu zbyt zażenowana, żeby tam wracać po tym, jak najadłam się wstydu.

Zresztą nieważne. Chwilę później zrobiłam coś tak dla mnie nietypowego, jakby to ktoś inny zawładnął na minutę moim ciałem. Wiem tylko, że w jednej chwili stałam i patrzyłam, jak Pan Uptown Girl wyciąga rewolwer, żeby strzelić do prezydenta...

...a w następnej wskoczyłam mu na plecy.

Okazuje się, że jeśli wskoczysz na plecy kandydatowi na zamachowca, a on się tego nie spodziewa, naprawdę może przez ciebie chybić. Tak więc kula, którą Pan Uptown Girl zamierzał posłać prosto w głowę prezydenta, poszybowała w stratosferę, nie robiąc nikomu krzywdy.

Jednak kiedy wskakujesz na plecy faceta, który trzyma broń, może się też zdarzyć coś innego. Na przykład okazuje się, że facet traci równowagę. Przewraca się do tyłu, przygniatając cię tak, że zupełnie tracisz oddech, kurtka podjeżdża w górę, a deszcz moczy ci spodnie i cała jesteś upaprana.

Poza tym, facet może wylądować na twoim prawym ramieniu i słyszysz wtedy trzask. Naprawdę bardzo cię boli i zaczynasz się zastanawiać: czy to jest to, co ja myślę?

Nie masz jednak czasu, by zastanawiać się nad tym zbyt długo, bo jesteś zbyt zajęta powstrzymaniem tego faceta od kolejnego wystrzału. Robisz to, wrzeszcząc: „Pistolet! Pistolet! On ma broń!”

I chociaż wszyscy już wiedzą, że facet ma broń, bo i tak słyszeli, jak ten głupi przedmiot wystrzelił po raz pierwszy, wydaje się, że twój krzyk działa, bo nagle otacza cię chyba ze dwudziestu agentów służb specjalnych, którzy mierzą ci prosto w twarz ze swoich pistoletów i wszyscy na raz wrzeszczą:

- Nie ruszać się! Wierzcie mi, ani drgnęłam.

Zanim się połapałam, zabrali ze mnie Pana Uptown Girl - ku mojej wielkiej uldze, bo kretyn był ciężki - a potem zaczęli podnosić z ziemi i mnie. Ktoś złapał mnie za rękę, na której wylądował ten uzbrojony gość i naprawdę głośno wrzasnęłam: „Au!”, ale wydawało się, że nikt mnie nie słyszy. Wszyscy mówili do tych swoich walkie - talkie rzeczy w rodzaju: „Orzeł jest cały. Powtarzam, orzeł jest cały”.

Tymczasem zaczęły wyć syreny. Ludzie wybiegli z pobliskich stoisk z burrito i barów, i zrobiło się zbiegowisko.

I nagle pojawiło się mnóstwo karetek i samochodów policyjnych, zupełnie nie wiadomo skąd. Hamowały z piskiem opon, rozbryzgując wodę z kałuż.

Wyglądało to zupełnie jak scena z jakiegoś filmu z Bruce'em Willisem. tylko bez ścieżki dźwiękowej.

A potem jeden z agentów służb specjalnych zaczął grzebać w moim plecaku, drugi schylił się i obszukał mnie, poczynając od kostek u nóg - jakbym tam mogła chować nóż

myśliwski albo coś w tym rodzaju - trzeci zaś przekopywał kieszenie mojej kurtki, nawet nie spytawszy mnie o pozwolenie (i skończyło się na tym, że jego wysiłki nagrodziło znalezisko w postaci garści okruchów ciastka z Capitol Cookies).

Pociągnął mnie też jeszcze raz za prawą rękę.

- Au! - wrzasnęłam, tym razem głośniejszym głosem niż przedtem. Potem agent, który przeszukiwał mi kieszenie, powiedział:

- Ta chyba nie ma broni.

- Oczywiście, że nie mam broni! - krzyknęłam. - Chodzę dopiero do drugiej licealnej!

Nie mogłam powiedzieć niczego głupszego, bo, oczywiście, są tacy ludzie z drugich klas liceum, którzy mają broń. Tyle że oni nie uczą się w takim liceum jak moje. Ale ja nie myślałam wtedy jasno. W gruncie rzeczy, byłam bliska łez. No cóż, też byście byli bliscy też, gdybyście:

a) Byli mokrzy od stóp do głów.

b) Mieli najprawdopodobniej złamaną rękę - co samo w sobie nie jest jeszcze taką wielką tragedią. To nie ta ręka, którą maluję. Zyskałam niepodważalny wykręt od turnieju siatkówki, do udziału w którym trener Donnelly chce wszystkich zmusić. Niestety, naprawdę bardzo mnie bolało.

c) Prawie nic nie słyszeli, nawet tych wrzeszczących wkoło ludzi, a to dlatego, że rewolwer Pana Uptown Girl wystrzelił tuż obok waszego ucha i prawdopodobnie nieodwracalnie uszkodził wam słuch.

d) Znaleźli się na muszce ze dwudziestu pistoletów. Nawet jeden by wystarczył.

A poza tym:

e) Zaczynali micy coraz większe szanse na to, że rodzice odkryją waszą ucieczkę z lekcji rysunku.

Przecież tylko jedna z tych rzeczy wystarczyłaby, żeby zdenerwować człowieka. A mnie spotkało wszystkie pięć naraz.

Potem podszedł do mnie jeden taki trochę starszy agent. Wyglądał nieco mniej przerażająco niż pozostali, może dlatego, że schylił się i jego twarz znalazła się na wysokości mojej. Miło, że pomyślał.

Powiedział do mnie bardzo poważnie:

- Będziesz musiała pójść z nami, panienko. Chcemy zadać ci parę pytań na temat twojego kumpla.

Wtedy dopiero do mnie dotarło: oni myśleli, że Pan Uptown Girl i ja byliśmy w zмовie! Myśleli, że razem usiłowaliśmy zabić prezydenta!

- To nie jest mój kumpel! - zakwiliłam. Już nie byłam bliska łez. Ryczałam jak bóbr i było mi wszystko jedno. Padał deszcz, cała przemokłam, ręka potwornie mnie bolała, w uszach mi dzwoniło, a służby specjalne uważały mnie za jakąś międzynarodową terrorystkę.

Kurczę, no fakt, płakałam.

- Ja go nigdy przedtem na oczy nie widziałam! - Dostałam czkawki. - Wyciągnął pistolet i chciał zastrzelić prezydenta, i ja mu wskoczyłam na plecy i on mi upadł na rękę, i teraz mnie strasznie boli, i ja chcę do do - o - o - mu!

To było naprawdę zenujące. Płakałam jak dziecko. Gorzej niż dziecko. Płakałam tak, jak Lucy tego dnia, kiedy ortodonta powiedział jej, że będzie musiała nosić aparat przez kolejne sześć tygodni.

I wtedy zdarzyło się coś niezwykłego. Ten starszy agent objął mnie ramieniem, powiedział coś do innych agentów, a potem odprowadził mnie na bok, w stronę jednej z karetek. Sanitariusze otworzyli tylne drzwi ambulansu, a agent i ja wsiedliśmy do środka.

W ambulansie było fajnie. Mogłam sobie usiąść na niskim stołeczku, osłonięta od deszczu i chłodu. Wewnątrz prawie nie było słyhać syren i całego zamieszania. Sanitariusze też byli mili. Dali mi suchy koc, żebym się nim owinęła, bo moja kurtka była cała w błocie. Byli tacy sympatyczni i tak fajnie żartowali, że przestałam płakać.

Naprawdę, powiedziałam sobie, nie jest tak źle. Wszystko się jeszcze ułoży.

No cóż, dopóki moi rodzice nie dowiedzą się, że uciekłam z rysunku. W tej kwestii chyba nic się nie ułoży.

Ale może wcale nie muszą się o tym dowiadywać? Może agenci służb specjalnych sprawdzą mnie, przekonają się, że nie jestem członkiem żadnej grupy terrorystycznej usiłującej skupić uwagę mediów na swojej Sprawie i puszcza mnie wolno? Theresa pewnie wciąż tkwi w korku. Zanim tu podjedzie, wszystko się już może uspokoi, będę mogła wsiąść do samochodu, a kiedy mnie zapyta: „Działo się coś dzisiaj na lekcji rysunku?”, odpowiem: „Och nie, nic”, I w ten sposób nawet nie skłamię.

Pielęgniarze pytali, gdzie mnie boli. Zrobiło mi się trochę głupio, że się pieszczę z tym ramieniem jak dziecko, ale biorąc pod uwagę dramatyczne okoliczności - no wiecie sami, próba zamachu na prezydenta i tak dalej - pokazałam im nadgarstek. Miałam trochę satysfakcji, kiedy zobaczyłam, że strasznie spuchł i ucieszyłam się, że nie płakałam bez powodu.

Kiedy sanitariusze badali moją rękę, obejrzałam się na agenta służb specjalnych. Wypełniał jakiś formularz. Moje nazwisko przepisał z legitymacji szkolnej, wyjętej z portfela, który trzymam w plecaku. Nie chciałam mu przeszkadzać, ale naprawdę musiałam

się dowiedzieć, ile czasu to wszystko potrwa. Zagadnęłam więc:

- Hm, przepraszam pana? Agent podniósł wzrok.

- Tak, kołku? - zapytał.

Najwyraźniej nie wiedział, że nikt nie mówi do mnie „kotku”, nawet mama. Przestała tak mówić, odkąd w Maroku przyłapała mnie na próbie spuszczenia w klozecie kart kredytowych taty (zemsta za to, że zmusili mnie do przeprowadzki do obcego kraju, którego języka nie znałam).

Ten „kotek” zbił mnie z tropu. Zrezygnowałam z pytania, ile czasu to wszystko potrwa, żeby nie wydać się niegrzeczna. Przecież agent tylko wykonywał swoją pracę. No więc, po paru sekundach desperackiego zastanawiania się, o co innego mogłabym spytać, powiedziałam;

- Hm, czy prezydent dobrze się czuje?

Agent służb specjalnych uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Prezydent ma się dobrze, słonko - odparł. - Dzięki tobie.

- Och - powiedziałam. - Super. Więc, hm, jak pan uważa, czy będę mogła niedługo już sobie pójść?

Sanitariusze wymienili spojrzenia. Mieli rozbawione miny.

- Nie z taką ręką - powiedział jeden z nich. - Masz złamany nadgarstek, mała. Będzie trzeba zrobić ci prześwietlenie, żeby sprawdzić, czy to skomplikowane złamanie. Na razie stawiam dziesięć do jednego, że będziesz musiała nosić śliczny bielutki gips, na którym zbierzesz podpisy wszystkich swoich fanów.

Fanów? O czym ten człowiek mówi?!

I przecież ja nie mogę mieć gipsu! Gdybym miała na ręku gips, rodzice z miejsca chcieliby wiedzieć, jak to się stało, że złamałam nadgarstek i wtedy musiałabym się przyznać, że urwałam się z lekcji rysunku.

Chyba że... Chyba że skłamałabym i powiedziała, że się przewróciłam. Tak. Przewróciłam się i spadłam ze schodów w pracowni Susan Boone, A jeśli oni zechcą ją o to spytać?

O Boże. Wpadłam jak śliwka w kompot.

- A nie mogłabym... - Naprawdę chwyciłam się jak tonący brzytwy, ale byłam zrozpaczona. - Nie mogłabym po prostu iść jutro do swojego lekarza? Naprawdę, ręka prawie mnie już nie boli.

Pielęgniarze i agent popatrzyli na mnie, jakbym spadła z księżyca. No dobra, ręka spuchła mi do grubości uda i pulsowała jak serce podczas operacji, którą oglądałam na



Learning Channel. Ale naprawdę nie bolała zbyt mocno. Tylko kiedy się poruszałam.

- Chodzi tylko o to, że przyjeżdża po mnie nasza gospodyni - wyjaśniłam głupawo. - A jeśli zabierzecie mnie do szpitala i nie zjawię się w umówionym miejscu, to ona dostanie szału.

Facet ze służb specjalnych powiedział:

- A może dasz nam numer telefonu, pod którym mógłbym złapać twoich rodziców - ? Bo żebyś mogła otrzymać niezbędną pomoc medyczną, musimy się najpierw z nimi skontaktować.

O Boże! Wtedy oni na pewno dowiedzą się, że uciekłam z rysunku!

Ale czy ja miałam jakiś wybór? Żadnego.

- Posłuchajcie - powiedziałam cicho. - Nie trzeba wspominać moim rodzicom o tym wszystkim. To znaczy, oczywiście, musicie im o tym powiedzieć, ale nie mówcie, że uciekłam z lekcji rysunku i wałęsałam się po Static, To znaczy, nie musicie opowiadać im tej części, prawda? Bo mnie wystarczą te kłopoty, które już i tak mam.

Pacan ze służb specjalnych patrzył na mnie i mrugał oczami, jakby nie miał pojęcia, o czym ja opowiadam. No bo, oczywiście, nie miał. Niby skąd? Lekcje rysunku? Static?

Ale najwyraźniej uznał, że lepiej mi się nie sprzeciwiać, bo może głowę też sobie uszkodziłam podczas upadku.

- Poczekamy, zobaczymy - powiedział po chwili namysłu. No cóż, zawsze to lepsze niż nic. Dałam mu numery telefonów do mamy i taty do pracy, a potem zamknęłam oczy i oparłam głowę o ścianę karetki.

A co mi tam, pomyślałam. Mogło być gorzej.

Na przykład, mogłabym mieć kość z kurczaka zamiast nosa.

Dziesięć głównych niepodważalnych dowodów na to, że zmiana toru pocisku wystrzelonego w kierunku czaszki prezydenta Stanów Zjednoczonych wpływa na życie człowieka:

10. Karetka, którą cię wiozą, dostaje eskortę policyjną na całą drogę do szpitala. A konkretnie, do Szpitala Uniwersytetu imienia George'a Waszyngtona. Tego samego, do którego zawieziono prezydenta Reagana po zamachu na jego życie. 9. Zamiast czekać na pielęgniarkę w izbie przyjęć, jak wszyscy inni pacjenci, od razu wjeżdżasz do środka, omijając licznych członków gangów ulicznych krwawiących z ran ciętych, rodzące kobiety, ludzi z ołówkami w oczodołach, i tym podobne. 8. Wszędzie, gdzie cię kierują wewnątrz szpitala, idą za tobą mężczyźni w czarnych garniturach z tymi dynksami w uszach. 7. Kiedy dają ci szpitalną koszulę, bo twoje ubranie jest mokre, a ty nie zgadzasz się jej założyć, bo jest

rozcięta z tyłu od góry do dołu, dają ci jeszcze jedną, żebyś mogła nosić jedną rozcięciem do tyłu, a drugą rozcięciem do przodu. Poza tobą nikt w całym szpitalu nie dostaje dwóch koszul. 6. Dają ci pojedynczy pokój z uzbrojoną ochroną przy drzwiach, mimo że dolega ci wyłącznie złamany nadgarstek. 5. Kiedy lekarz przychodzi cię zbadać, mówi: „A więc to ty jesteś dziewczyną, która uratowała prezydenta!” 4. Kiedy z potwornym zażenowaniem odpowiadasz: „Ależ skąd...”, lekarz stwierdza: „Słyszałem co innego. Jesteś bohaterką narodową!” 3. Kiedy ci komunikuje, że masz nadgarstek złamany w dwóch miejscach i będziesz musiała nosić gips aż do łokcia przez sześć tygodni, nie daje ci lizaka na pocieszenie, tylko prosi o autograf. 2. Kiedy czekasz, aż faceci od gipsowania przyjdą i opatrzą ci rękę, włączasz swój prywatny odbiornik telewizyjny i widzisz, że na wszystkich kanałach są wiadomości. Na antenę wchodzi Tom Brokaw i mówi, że usiłowano dokonać zamachu na prezydenta. I jeszcze dodaje, że zamach heroicznie udaremniła pojedyncza obywatelka. A na koniec pokazują zdjęcie z twojej legitymacji szkolnej. To zdjęcie, na którym przymknęłaś oczy dokładnie w chwili, kiedy fotograf zwolnił migawkę.

To, na którym twoje włosy wyglądają wyjątkowo niechlujnie i są nieprawdopodobnie potargane.

To, którego nigdy nikomu nie pokazujesz, bo się boisz, że będą z ciebie szydzić i wytykać cię palcami.

A to najważniejszy powód, dla którego zaczynasz się orientować, że twoje życie raz na zawsze się zmieniło:

1. Kiedy widzisz w ogólnokrajowej telewizji swoje obrzydliwe szkolne zdjęcie i strasznie głośno wrzeszczysz, trzydziestu agentów służb specjalnych wpada do twojego pokoju z pistoletami w dłoniach i dopytuje się, czy nic ci się nie stało.

Nawet wtedy niezupełnie to jeszcze do mnie docierało. No bo, przecież wiedziałam, rozumiecie, wiedziałam, że wskoczyłam Panu Uptown Girl na plecy i powstrzymałam go przed wystrzałem z pistoletu w stronę, w którą zamierzał wystrzelić.

Ale nie dotarło do mnie, że tym czynem uratowałam życie przywódcy wolnego świata.

A przynajmniej nie dotarło to do mnie, póki rodzice nie wpadli do mojego pokoju szpitalnego, kiedy już założono mi gips (i kiedy obejrzałam swoją twarz we wszystkich głównych sieciach telewizyjnych łącznie z CNN, Headline News, a nawet rozrywkowym Entertainment Tonight). Oboje byli potwornie przerażeni.

- Samantha! - zawołała mama, biorąc mnie w ramiona i urażając przy tym moją złamaną rękę. Na ból której, chciałabym dodać, nikt mi nie dał nawet aspiryny Moim zdaniem dziewczyna, która uratowała życie prezydentowi, zasługuje na jakiś środek przeciwbólowy, ale widocznie się mylę. - O mój Boże, tak się martwiliśmy!

- Cześć, mamó - powiedziałam słabo, no, wiecie, tak jak człowiek, który udaje, że jest chory, jeszcze się nie zorientowałam, czy faceci ze służb specjalnych wygadali, że urwałam się z lekcji rysunku, więc nie wiedziałam, w jak poważnych kłopotach się znalazłam. Pomyślałam sobie, że jeśli będę strasznie zboląa, to mi na razie odpuszczą.

Ale oni chyba nie mieli zielonego pojęcia, że uciekłam z lekcji u Susan Boone.

- Samantha! - powtórzyła mama, siadając na krawędzi łóżka i odsuwając mi włosy z czoła. - Nic ci nie jest? To tylko ta ręka? Dokucza ci coś jeszcze?

- Nie - odparłam. - Tylko ręka. Czuję się dobrze. Naprawdę. Ale wciąż na wszelki wypadek mówiłam słabym głosem.

Nie musiałam się wysilać. Oboje nie mieli zielonego pojęcia o tym, że urwałam się z lekcji rysunku. Po prostu cieszyli się, że nic mi nie jest. Tata nawet zdobył się na żarcik:

- Jeżeli chciałaś, żebyśmy zwracali na ciebie więcej uwagi, Sam, wystarczyło poprosić. Naprawdę nie musiałaś rzucać się na przelatujące kule.

Cha, cha, cha.

Faceci ze służb specjalnych dali nam jakieś pięć minut na to łzawe powitanie, zanim dobrali się do mnie. Okazuje się, że chcieli mnie wypytać o różne rzeczy, ale ponieważ jestem nieletnia, musieli poczekać z przesłuchaniem, aż przyjadą rodzice. Oto mała próbka tego, o co mnie pytali:

SŁUŻBY SPECJALNE: Czy znasz tego człowieka, który trzymał rewolwer?

JA: Nie, nie znam.

SŁUŻBY SPECJALNE: Czy on coś do ciebie mówił?

JA: Nie, nie odezwał się do mnie ani słowem.

SŁUŻBY SPECJALNE; W ogóle? Nic nie mówił, kiedy pociągnął za spust?

JA: Na przykład?

SŁUŻBY SPECJALNE: Na przykład: „To za Margie”, czy coś takiego.

JA: A kto to jest Margie?

SŁUŻBY SPECJALNE: To tylko taki przykład. Nie ma żadnej Margie.

JA: W ogóle nic nie mówił.

SŁUŻBY SPECJALNE: Zauważyłaś w nim coś niezwykłego? Coś, co zwróciło twoją szczególną uwagę? Co by go wyróżniło spośród innych ludzi w tłumie?

JA: Miał pistolet.

SŁUŻBY SPECJALNE: A poza tym?

JA: No cóż, chyba bardzo lubi piosenkę *Uptown Girl*.

I tak dalej. Przesłuchanie trwało całymi godzinami. Godzinami! Musiałam opisać, co zaszło między mną a Panem Uptown Girl chyba z pięćset razy. Mówiłam, póki nie ochrypłam. Wreszcie ojciec stwierdził:

- Słuchajcie, panowie, rozumiem, że usiłujecie dojść do sedna tej całej sprawy, ale nasza córka ma za sobą szalenie traumatyczne przeżycia i musi trochę odpocząć.

Agenci zachowali się wtedy bardzo przyzwoicie. Podziękowali mi i poszli sobie..., ale dwóch zostało tuż za drzwiami mojego pokoju i nie chciało odejść. Tata mi to powiedział, kiedy przyniósł mi mcroyala, bo zupełnie nie mogłam przełknąć szpitalnego obiadu, na który składał się jakiś gulasz z groszkiem i marchewką.

Jakby ludzie w szpitalu już i tak nie byli ciężko chorzy. Daje im się do jedzenia coś takiego?

Nie byłam szczęśliwa, kiedy okazało się, że mam zostać w szpitalu na noc. Przecież dolegał mi wyłącznie złamany nadgarstek! Jednak faceci ze służb specjalnych trochę nalegali. Powiedzieli, że to dla mojego be z piecze listwa.

- Nie rozumiem - stwierdziłam. - Przecież złapaliście tego faceta.

Ale oni wyjaśnili, że Pan Uptown Girl (rue nazywali go w ten sposób, mówili „podejrzany”) skorzystał z prawa do milczenia, a oni nie mieli pewności, czy nie należy do jakiejś organizacji terrorystycznej, która mogłaby chcieć zemścić się na mnie za to, że zepsułam im plan zgładzenia prezydenta.

Oczywiście, moja mama wystraszyła się, zadzwoniła do Theresy i kazała jej

sprawdzić, czy zamknęła frontowe drzwi, ale facet ze służb specjalnych powiedział, żebyśmy się nie martwili, bo dla naszej ochrony już rozstawili paru agentów dookoła domu. Ci agenci, jak się później dowiedziałam, powstrzymywali także hordy dziennikarzy od pchania się na naszą frontową werandę. Co trochę wytrąciło z równowagi Lucy, z którą rozmawiałam przez telefon krótko przed północą.

- O Boziu! - westchnęła. - Ja tylko chciałam przekazać ludziom z MSNBC jakieś twoje korzystniejsze zdjęcie. No bo o ni ciągle pokazują tę obrzydliwą fotkę z twojej legitymacji. Mówiłam im: „Kretyni, ona jest o wiele ładniejsza niż na tym zdjęciu!” i chciałam im dać tamto, które zrobiła babcia podczas Gwiazdki - no wiesz, to, na którym jesteś w sukience z Esprit. Ona była laka śliczna, zanim nie ufarbowałaś jej na czarno. No, nieważne. W każdym razie otworzyłam drzwi i wyszłam na werandę z tym zdjęciem, a tu zaczynają błyskać te wszystkie flesze i ludzie wrzeszczą: „Jesteś jej siostrą? Powiedz nam, jak się czuje siostra narodowej bohaterki!” i już się szykowałam, żeby im powiedzieć, że czuję się świetnie, kiedy dwaj faceci w cywilu wepchnęli mnie z powrotem do środka, mówiąc, że to dla mojego bezpieczeństwa.

I co jeszcze?! ja się pytam, czy pokazywanie tego twojego obrzydliwego zdjęcia w całej telewizji służy mojemu bezpieczeństwu?! No bo, naprawdę, ludzie pomyślą sobie, że jestem spokrewniona z jakimś potworem. Bo tak właśnie wyglądasz na tamtym zdjęciu, Sam, bez obrazy. I wierz mi, nikomu z nas niedobrego z tego nie przyjdzie.

Dobrze było wiedzieć, że niezależnie od tego, co się wydarza, jedno zostaje niezmienione: moja siostra Lucy.

No więc zmusili mnie, żebym została na noc w tym głupim szpitalu. Na obserwacji. Ale jestem pewna, że wcale nie o to chodziło. Jestem pewna, że wciąż jeszcze sprawdzali, czy nie należę do jakiejś radykalnej grupy antyrządowej i chcieli mieć mnie na oku, w razie gdybym usiłowała zbiec i dołączyć do towarzyszy.

Kręciłam się i wierciłam, bo nie mogłam się wygodnie ułożyć. Zwykle śpię na boku, ale po stronie, na której sypiam, mam gips, a na gipsie nie mogłam spać, bo był twardy i mnie uwierał. Poza tym, kiedy obciążałam chore ramię, zaczynało mnie boleć. I brakowało mi Maneta, To zabawne, on jest przecież taki kudłaty i cuchnący... Właściwie nie powinnam zatęsknić za jego śmierdzącą obecnością w łóżku, tymczasem okropnie mi go brakowało.

Wreszcie udało mi się trochę zdrzemnąć, aż tu moja mama - która najwyraźniej nie miała najmniejszych problemów z zaśnięciem na sąsiednim łóżku i obudziła się rano świeża jak kwiatek - wstała i rozsunała zasłony, wpuszczając do środka światło poranka. A potem powiedziała tonem, który mocno niewyspanemu człowiekowi z bardzo bolącą ręką mógł się

wydać nieco irytujący:

- Dzień dobry śpioszku.

Zanim jednak zdążyłam zapytać, jaki on tam niby dobry ten dzień, mama dokończyła zaskoczonym głosem, ciągle patrząc przez okno:

- O... mój... Boże...

Wstałam i poszłam zobaczyć, dlaczego mama tak się rozmodliła. Doznałam szoku, bo na chodniku przed szpitalem stało ze trzysta osób i patrzyło w górę w okno mojego pokoju. Kiedy tylko się w nim ukazałam, rozległ się krzyk i wszyscy ci ludzie zaczęli pokazywać mnie palcami, machać plakatami i krzyczeć.

Moje imię. Wykrzykiwali moje imię.

Mama i ja popatrzyłyśmy na siebie w osłupieniu, a potem znów spojrzałyśmy na dół. Stały tam samochody stacji telewizyjnych z wielkimi michami anten satelitarnych na dachach, dookoła biegali reporterzy z mikrofonami, a wszędzie mnóstwo było policji, która usiłowała opanować cały ten tłum. Ludzie najwyraźniej zebrali się w nadziei, że chociaż rzucą okiem na dziewczynę, która uratowała życie prezydentowi.

Mo cóż, faktycznie udało im się rzucić na mnie okiem, bo, chociaż byłam ze trzy piętra wyżej, musieli mnie zauważyć. Pewnie dlatego, że miałam na sobie dwie koszule, a na głowie wielki kołtun czerwonych włosów. Ale co mi tam. Przynajmniej sobie na mnie popatrzyli.

- Hm... - mruknęła mama, kiedy stałyśmy obok siebie, patrząc na cały ten bałagan na dole. - Chyba powinnaś... bo ja wiem? Pomachać im?

Wydało mi się, że to rozsądna propozycja, więc uniosłam zdrową rękę i pomachałam.

Rozległo się jeszcze więcej okrzyków i wiwatów. Znów pomachałam. Chciałam tylko sprawdzić, czy rzeczywiście chodziło o mnie, ale nie było żadnych wątpliwości - ci ludzie wiwatowali. Wiwatowali na moją cześć. Moją, Samantha Madison, uczennicy drugiej klasy liceum, z pasją rysujące portrety idoli.

To było niesamowite. Jakbym była Elvisem czy kimś takim. Kiedy pomachałam po raz drugi, do pokoju weszła pielęgniarka i powiedziała:

- Doskonale, już wstałaś. Tak sobie pomyślałyśmy, słysząc ten rejwach. - A potem dodała ze słonecznym uśmiechem: - Przyszło dla ciebie trochę drobiazgów. Chyba nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy je tu wnieśli?

Nie czekając na odpowiedź, przytrzymała drzwi, a do pokoju zaczęli napływać strumieniem posłańcy w pasiastych strojach z bukietami kwiatów - jednym większym od drugiego - aż każdy kawałek płaskiej powierzchni, łącznie z podłogą, został zakryty różami,

stokrotkami, słonecznikami, orchideami, goździkami i kwiatami, których nazw nie znałam. Kwiaty wylewały się z wazonów i napełniły pokój słodko - mdlącym zapachem.

Przyniesiono nie tylko kwiaty. Były też całe wiązki balonów, całe tuziny balonów czerwonych, niebieskich, białych, różowych, balonów w kształcie serc, metalicznie srebrzystych z napisami **Dzięki!** i **Życzymy zdrowia!** A potem wjechały pluszowe misie, przynajmniej ze dwadzieścia, najrozmaitszych rozmiarowi kształtów, z kokardkami na szyjach i napisami w łapkach: **Uśmiechnij się i bądź dzielna jak prawdziwy miś!** oraz; **Dziękujemy ci, misiaczku!**

Poważnie, Patrzyłam, jak ludzie wchodzi i układają to wszystko w stosy i byłam w stanie pomyśleć tylko: moment. Momencik. Zaszła jakaś pomyłka. Nie znam nikogo, kto by chciał mi przesyłać misie z napisem: **Dziękujemy ci, misiaczku!** Naprawdę. Nawet dla żartu.

Ale one dalej wjeżdżały, było ich coraz więcej i więcej. Pielęgniarki, widziałam to wyraźnie, uważały, że to szalenie zabawne. Nawet faceci ze służb specjalnych, którzy stali w drzwiach, chyba się uśmiechali za tymi .swoimi lustrzankami.

Tylko moja mama była chyba tak samo zaskoczona, jak ja. Podbiegała do każdego nowego bukietu, otwierała dołączone do nich bileciki i zdumiona czytała ich treść:

*Dziękujemy ci za ten akt wielkiej odwagi. Z poważaniem. Prokurator Generalny Stanów Zjednoczonych.*

*Potrzebujemy więcej Amerykanek podobnych do ciebie! Burmistrz Waszyngtonu.*

*Dla anioła. który zstąpił na ziemię. Obywatele Cleveland w stanie Ohio.*

*Z wyrazami podziwu dla Twojej odwagi pod ogniem z broni palnej. Premier Kanady.*

*Jesteś wzorem dla nas wszystkich... Dalajlama.*

To już było przegięcie. Dalajlama uważa, że ja jestem wzorem? Hm, mało prawdopodobne. Zwłaszcza biorąc pod uwagę ilość wołowiny, jaką pochłonęłam w czasie swojego życia.

- Na dole jest o wiele więcej - poinformował posłaniec w pasiastym ubranku.

Mama podniosła wzrok znad wizytówki cesarza Japonii.

- Och?

- Wciąż jeszcze prześwietlamy rentgenem koperty i przeszukujemy owoce i słodczyce - dodał jeden z agentów.

- Prześwietlacie? - powtórzyła mama jak echo. - Ale po co? Wzruszył ramionami.

- Sprawdzamy czy nie ma brzytw, albo innych niebezpiecznych przedmiotów.

Czegokolwiek. Tak na wszelki wypadek.

- Ostrożności nigdy za wiele - zgodził się drugi. - Na świecie jest mnóstwo świrów.

Mama zrobiła taką minę, jakby humor jej się trochę popsuł. Straciła całą swoją kwiatową świeżość poranka.

- Och - powtórzyła słabo.

Zaraz potem przyszedł tata. Holował za sobą Lucy, Rebeccę i Theresę. Theresa stuknęła mnie w głowę za to, że wczoraj napędziłam jej takiego stracha.

- Wyobraź sobie, jak ja się poczułam - powiedziała - kiedy policjant stwierdził, że nie mogę jechać dalej po ciebie, bo była jakaś strzelanina. Myślałam, że nie żyjesz!

Rebecca podchodziła do całej sprawy bardziej filozoficznie:

- Sam nie należy do grupy najbardziej zagrożonej śmiercią na skutek przemocy z użyciem broni palnej - to znaczy mężczyzn w przedziale od piętnastu do trzydziestu czterech lat - więc nie martwiłam się zanadto.

Jednak spośród nich wszystkich to Lucy najbardziej chciała się ze mną widzieć. W dodatku na osobności.

- Chodź no tu - powiedziała, wepchnęła mnie do łazienki zatrzasnęła na sobą drzwi.

- Złe wieści - powiedziała cicho i szybko, tym samym tonem, jakim przemawia do koleżanek z drużyny cheerleaderek, kiedy czuje, że nie zademonstrowały wystarczającego ducha sportowego, ustawiając ludzką piramidę. - Podśluchałam, jak główny administrator szpitala pytał tatę, kiedy będziesz gotowa na konferencję prasową.

- Konferencję prasową? - Ciężko usiadłam na krawędzi muszli klozetowej. Przez sekundę myślałam, że naprawdę zemdleję. - Żartujesz ze mnie, prawda?

- Oczywiście, że nie - powiedziała Lucy rzeczowo. - Jesteś bohaterką narodową. Wszyscy oczekują, że udzielisz wywiadu. Ale nie przejmuj się. Starsza siostra Lucy czuwa nad wszystkim.

Z tymi słowami wstawiła do umywalki swoją sportową torbę. Cokolwiek było w środku - a byłam dziwnie pewna, że jest tam cała zawartość naszej wspólnej łazienkowej szafki na kosmetyki - groźnie zabrzęczało.

- Zacznijmy od podstaw - powiedziała. - Zróbmy coś z tymi włosami.

Tylko dlatego, że byłam osłabiona po nieprzespanej nocy i miałam gips na rękę, udało się Lucy odnieść zwycięstwo. Nie miałam siły się z nią szarpać. Raz wrzasnęłam, ale chyba agenci służb specjalnych niczego nie usłyszeli, bo tym razem nie wdarli się do środka z bronią w rękę, żeby mnie ratować.

A trzeba by całego oddziału komandosów, żeby powstrzymać Lucy. Czekala na ten moment od dnia, kiedy osiągnęłam dojrzałość płciową. Wreszcie udało jej się dopaść mnie w sytuacji, w której nie miałam siły się bronić. Przyniosła nie tylko kompletny zestaw gardero-



by, ale także cały arsenał kosmetyków i najwyraźniej miała zamiar wszystkie na mnie zastosować, kiedy stałam uwięziona w kabinie prysznic, a ręki w gipsie wystawała mi na zewnątrz jak gałąź drzewa.

- To jest *awapuhi* - poinformowała mnie Lucy, wylewając mi na głowę coś, co lekko pachniało owocami. - To specjalny hawajski wyciąg z imbiru. Używaj go do mycia włosów. A to morelowy peeling do ciała...

- Lucy! - wrzasnęłam, kiedy *awapuhi* dostało mi się do oczu, bo mając tylko jedną wolną rękę nie mogłam go sobie wyplukać. - Co ty ze mną wyrabiasz?!

- Ratuje ci skórę - wyjaśniła Lucy. - Powinnaś mi dziękować.

- Dziękować? Za co? Za to, że mnie raz na zawsze oślepiasz jakimś hawajskim wyciągiem z imbiru?

- Nie. Za to, że próbuję zrobić z ciebie coś choć trochę przypominającego istotę ludzką. Czy ty w ogóle masz pojęcie, jakie to dla mnie upokarzające, kiedy ludzie dzwonią do mnie - całą noc wydzwaniali! - z pytaniem: „Hej, to twoja siostra? A co jej jest? Czy ona należy do jakiejś sekty?”

Kiedy otworzyłam usta, żeby zaprotestować przeciwko temu niesprawiedliwemu oskarżeniu, Lucy tylko wcisnęła mi do nich trochę pasty Aquafresh. Zakrztusił ani się, a ona ciągnęła:

- Słuchaj, masz używać tej odżywki. To specyfik, który stosują w stajniach, szykując konie na wystawę.

- Nie jestem koniem! - Z mydłem w oczach wciąż nie widziałam Lucy, ale i tak zamachnęłam się na nią gipsem.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedziała Lucy. - Ale naprawdę potrzebujesz tego wszystkiego, Sam. Uznaj, że to, hm... Kosmetyczna interwencja w nagiej potrzebie. - Lucy sięgnęła do kabiny i wepchnęła mnie z powrotem pod strumień wody. - Spłucz i powtórz, bardzo proszę.

Do chwili, kiedy Lucy ze mną skończyła, zostałam jak jeszcze nigdy w życiu wyszorowana, oskubana, złuszczone i wysuszona suszarką o dużej sile dmuchu.

Ale muszę przyznać, że wyglądałam całkiem nieźle. To znaczy, czułam się bardzo urażona uwagą o kosmetycznej interwencji, jednak pod skrupulatnym nadzorem Lucy - i przy zastosowaniu nakładki na suszarkę - moje włosy wkrótce straciły sztywność miedzianego drutu i zamiast sterczeć mi pionowo z czubka głowy, zaczęły opadać łagodnymi falami na ramiona. I chociaż nie udało jej się całkowicie ukryć moich piegów, zrobiła coś takiego, że przestały tak bardzo rzucać się w oczy.

Nie miałam jej za złe hawajskiego ekstraktu z imbiru, morelowego peelingu i odżywki do włosów dla koni. Zniosłam tusz na rzęsach, podkład i błyszczek do ust.

Ale stawiałam zdecydowany opór, kiedy wyjęła z torby jasnoniebieski! bluzkę i pasującą do niej spódnicę.

- Nie ma mowy - powiedziałam tak stanowczo, jak stanowczy może być człowiek ubrany wyłącznie w niezbyt duży szpitalny ręcznik. - Zniosę twoją szminkę. Zniosę twój eyeliner. Ale nie założę twojego ubrania.

- Sam, nie masz wyboru. - Lucy już podawała mi bluzkę. - Wszystkie twoje ciuchy są czarne. Nie możesz pokazać się centralnym stanom Ameryki ubrana całkiem na czarno. Ludzie cię wezmą za czcicielkę szatana. Raz w życiu ubierzesz się jak normalny człowiek i zrobisz to z uśmiechem.

I przy słowach „zrobisz to z uśmiechem”, obezwładniła mnie. Chciałabym zaznaczyć, że miała nade mną niesprawiedliwą przewagę, bo:

a) Jest ode mnie pięć centymetrów wyższa i pięć kilo cięższa.

b) Jej ruchów nie ograniczała ręka w gipsie.

c) Nie musiała martwić się, że ręcznik jej spadnie.

d) Ma za sobą wiele lat studiowania w czasopiśmie „Glamour” działu mody, co daje jej opiniom na ten temat nadludzką siłę przekonywania.

Naprawdę. To jedyne powody, dla których się poddałam. Liczył się też jeszcze jeden fakt; Lucy nie przyniosła mi moich własnych ubrań, a te które miałam na sobie wczoraj, zostały zabrane przez służby specjalne do analizy, bo najwyraźniej zostały na nich ślady prochu z pistoletu Pana Uptown Girl.

Kiedy wreszcie wyłoniłam się z łazienki, miałam na sobie ubranie mojej siostry, kosmetyki mojej siostry i środki do włosów mojej siostry. W ogóle nie przypominałam samej siebie. Ani troszeczkę.

Ale nie miałam pretensji. Naprawdę. Bo też wcale nie czułam się sobą. A wszystko przez brak snu, tych ludzi z plakatami pod szpitalem, misie z napisami *Dziękujemy ci, misiaczku!*, ale także przez to całe *awapuhi* i resztę.

Więc kiedy wyszłam z łazienki, czułam się nieswojo. Właściwie, myślałam sobie, bardziej dziwnie już być nie może.

I wtedy właśnie moja mama, która stała wśród tych wszystkich kwiatów i balonów z dziwnie podenerwowaną miną, powiedziała:

- Hm, Samantha, masz gościa.

Obróciłam się i zobaczyłam, że na środku pokoju stoi prezydent Stanów

Zjednoczonych.

Wprawdzie mieszkam w Waszyngtonie od urodzenia - pomijając rok, który spędziliśmy w Maroku - rzadko jednak zdarza mi się widywać prezydenta Stanów Zjednoczonych osobiście (a odkąd się urodziłam było ich już czterech).

Och, widywałam go, kiedy przejeżdżał ulicami w konwoju samochodów i, oczywiście, w telewizji. Ale poza wczorajszym spotkaniem przed Capitol Cookies, nigdy nie widziałam prezydenta z bliska.

Więc kiedy go zobaczyłam w moim szpitalnym pokoju, obok mamy i taty, Lucy, Rebecki, Theresy, agentów służb specjalnych, w otoczeniu wszystkich tych kwiatów, balonów i całej reszty...

No cóż, poczułam się dość dziwnie.

Na dodatek, obok stała jego żona, Pierwsza Dama. Jej też nigdy jeszcze nie widziałam na żywo. Oglądałam ją tylko w telewizji albo na okładce „Good Housekeeping”, gdzie demonstrowała ciasteczka czekoladowe, które wygrały jakiś konkurs. Z bliska oboje wydawali się więksi niż w telewizji.

No cóż, to oczywiste, ale byli też... Sama nie wiem.

Starsi. I prawdziwsi. Na przykład widać było, że mają zmarszczki i siwe włosy.

- Więc to ty jesteś tą młodą damą, która uratowała mi życie.

Tak brzmiały pierwsze słowa, które powiedział do mnie prezydent swoim niskim głosem, którego muszę słuchać właściwie co wieczór, kiedy rodzice każą mi przełączyć telewizor z *Simpsonów* na wiadomości.

A co ja odpowiedziałam? Co odpowiedziałam prezydentowi Stanów Zjednoczonych?!  
Odpowiedziałam:

- Yhym.

Usłyszałam za sobą pełne satysfakcji westchnienie Lucy, Musiała poczuć ulgę, że w porę zmieniła mój wizerunek. Kilka minut wcześniej miałabym jeszcze fryzurę, jak po wstaniu z łóżka.

Najwyraźniej Lucy nie była zmartwiona, że zachowuję się jak idiotka. Obchodziło ją jedynie, żebym jak idiotka nie wyglądała.

- No cóż, po prostu musiałem wstąpić tu i zapytać, czy wolno mi będzie uściśnąć rękę najdzielniejszej dziewczyny na świecie - oznajmił prezydent donośnie.

A potem wyciągnął do mnie rękę.

Gapiałam się na tę rękę bez ruchu. Nie żeby różniła się czymś od dłoni innych ludzi... tylko... no cóż... rzecz w tym, że ta dłoń należała do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ale właściwie nie dlatego gapiałam się na nią. Gapiałam się, bo zastanawiałam się nad słowami prezydenta o „najdzielniejszej dziewczynie na świecie”.

I co ciekawe, chociaż wiele liścików przeczytanych mi przez mamę, dołączonych do kwiatów; balonowi misiów, mówiło mniej więcej to samo, dopiero teraz zaczęłam się nad tym zastanawiać.

Rzecz w tym, że to po prostu nieprawda. Wcale nie zachowałam się dzielnic. Człowiek jest dzielny, kiedy robi coś, bo wie, że to jest właściwe, chociaż boi się, bo może przez to ucierpieć. Tak było ze mną, kiedy stanęłam w obronie Catherine, gdy Kris Parks zaczęła czepiać się jej ubrań w stylu *Domku na prerii*, choć wiedziałam, że Kris w następnej kolejności dobierze się do mnie. Wtedy byłam naprawdę dzielna.

Ale mój skok na plecy Pana Uptown Girl nie był dowodem dzielności, bo ja się wcale nie zastanawiałam nad jego konsekwencjami. Zrobiłam to bezmyślnie. Zobaczyłam rewolwer, zobaczyłam prezydenta i skoczyłam. To wszystko.

Nie jestem najdzielniejszą dziewczyną na świecie. Jestem tylko dziewczyną, która miała pecha, że znalazła się tuż obok faceta zamierzającego dokonać zamachu na prezydenta. Nie zrobiłam niczego, czego nie zrobiłby na moim miejscu ktoś inny. Niczego.

Nie wiem, jak długo gapiałabym się na dłoń prezydenta, gdyby Lucy nie szturchnęła mnie w plecy. Ona ma okropnie długie paznokcie, które opiłowuje w szpic prawie co wieczór.

Nie dałam po sobie poznać, że mnie zabolalo i powiedziałam:

- Jejku, dziękuje.

I też wyciągnęłam rękę.

Tyle że, oczywiście, prawa, tę w gipsie. Wszyscy zaczęli się śmiać, jakby to był jakiś fantastyczny żart. Prezydent uściskał W końcu moją lewą rękę, tę bez gipsu.

Pierwsza Dama też przywitała się ze mną i powiedziała, że byłoby miło, gdybym przyszła kiedyś z rodziną do Białego Domu na obiad, kiedy „trochę już się to wszystko uspokoi”, bo naprawdę chcieliby okazać mi wdzięczność za to, co zrobiłam.

Na obiad? W Białym Domu? Ja?

Dzięki Bogu, że mama przejęła ster i powiedziała, że jesteśmy zachwyceni i, oczywiście, chętnie zjemy kiedyś obiad z Pierwszą Rodziną.

A potem Pierwsza Dama odwróciła się i zauważyła, że w drzwiach ktoś stoi. Jej twarz rozjaśniła się jeszcze bardziej i powiedziała:

- Ach, David się znalazł. Czy mogę przedstawić państwu mojego syna, Davida?

Do pokoju wszedł David, syn prezydenta.

Który przypadkiem okazał się Davidem z moich lekcji rysunku u Susan Boone.  
Davidem od Save Ferris. Davidem od „fajnych glanów”.

I nareszcie zrozumiałam, dlaczego wydawał mi się jakiś znajomy.

No cóż, skąd niby miałam wiedzieć, że on jest synem prezydenta Stanów Zjednoczonych? Wcale nie wyglądał jak facet, którego przywykłam oglądać w wiadomościach; geniuszek, wlokący się za rodzicami w trakcie kampanii wyborczej. Tamten facet nigdy nie nosił koszulki z Save Ferris, nie mówiąc już o wojskowych butach. Tamten facet w ogóle nie wyglądał na zainteresowanego sztuką i zawsze ubierał się w kujońskie garnitury. Na ogół miał taką minę, jakby interesowało go, co miał do powiedzenia jego tata. A jego tata zazwyczaj gadał takie rzeczy, że znudzona przełączałam telewizor na inny program... Chociaż wiem, że jako obywatelka tego kraju i mieszkanka tej planety powinnam być o wiele bardziej uświadomiona politycznie.

Kiedy tata Davida został prezydentem, a David zaczął chodzić do szkoły tu, w Waszyngtonie, za każdym razem, kiedy pokazywali go w wiadomościach, miał na sobie ten idiotyczny mundurek, jaki muszą nosić na co dzień ludzie uczący się w Horizon: spodnie khaki (dla dziewczyn spódnica), biała koszula, granatowy blezer, czerwony krawat.

I chociaż David ze swoimi ciemnymi kręconymi włosami i zielonymi oczami bez wątplenia wyglądał w tym mundurku o wiele lepiej niż większość uczniów Horizon, to i tak wypadal, no wiecie, jak skończony geniuszek. Temu facetowi na pewno nie groziło, że co miesiąc będzie trafiał na okładkę jakiegoś pisma dla nastolatk, jak Justin Timberlake. Chyba że latem zacznie uprawiać windsurfing w zatoce Chesapeake, najlepiej bez koszulki.

Kiedy tak stałam i gapiłam się na niego, trudno mi było uwierzyć, że to ten sam facet, który zaledwie kilka dni wcześniej powiedział, że podobają mu się moje buty.

Ale z drugiej strony, może trochę przesadzam. Bo wiecie, kiedy go zobaczyłam z bliska, a nie na ekranie telewizora, na którym macha ręką w drzwiach samolotu, albo uchwyconego na zdjęciu, kiedy zerka na ojca ze swojego miejsca z boku jakiegoś podium w Kentucky, o wiele bardziej przypominał mi tego wyluzowanego faceta w koszulce z Save Ferris, któremu podobały się moje glany, niż geniuszkowatego syna prezydenta.

Trudno mi było stwierdzić, które z nas zdziwiło się bardziej, widząc to drugie. David był całkiem zbity z tropu, ale chyba nie z powodu tego dziwnego zbiegu okoliczności. No wiecie, że znamy się z lekcji rysunku. Właściwie to wcale nie było takie dziwne. Przecież prezydent właśnie dlatego znalazł się w okolicy, bo chciał odebrać Davida po lekcji. A do cukierni wstąpił tylko dlatego, że widocznie jest łakomczuchem...

Nie, David przyglądał mi się nie dlatego, że nie mógł sobie przypomnieć, skąd mnie

zna. Wydaje mi się, że on raczej usiłował zrozumieć, co się ze mną stało. No bo ostatnim razem, kiedy mnie widział, byłam ubrana na czarno, miałam wojskowe buty w stokrotki, włosy jak kłęb miedzianego drutu i zero makijażu. A teraz stałam tutaj w spódnicy mojej siostry i mokasynach od Cole Haan, miałam ułożone włosy, a moje usta wyglądały, jakby prosiły się o pocałunek. Taki przynajmniej efekt obiecywał napis na tubce błyszczczyka, którym Lucy dokładnie wysmarowała mi wargi.

Nic dziwnego, że się na mnie gapił. Wyglądałam zupełnie jak Lucy!

- Uh - zająknął się David, o co wcale nie miałam do niego pretensji. - Cześć.

Moja odpowiedź była niezwykle cięta i dowcipna:

- Hm. Tak. Cześć.

Mama Davida popatrzyła na mnie, potem na niego i znów na mnie. Wreszcie odezwała się zaciekawiona:

- To wy się znacie?

- Tak - mruknął David i uśmiechnął się. To był miły uśmiech. Nie tak miły jak uśmiech Jacka, ale całkiem sympatyczny. - Samantha chodzi ze mną na rysunek do Susan Boone.

I wtedy do mnie dotarło.

„Samantha chodzi ze mną na rysunek do Susan Boone”.

Ten facet mógł wszystko schrząnąć i wygadać, że urwałam się z lekcji rysunku.

No, ale dobra, w razie czego nie będzie chyba wielkiego problemu. Najwyżej się dowiedzą. I co z tego? Uratowałam życie prezydentowi. Jeżeli to nie jest wystarczający powód do ułaskawienia więźnia, to ja już nic nie wiem.

Zresztą, z rodzicami ten numer najprawdopodobniej przejdzie. Nie są szczególnie gorliwymi zwolennikami ostrej dyscypliny.

Ale nigdy, ale to przenigdy, ten numer nie przejdzie z Thesą, której dałam słowo honoru, że się z lekcji nie urwę. Przy całym szacunku, jakim darzy prezydenta kraju, który tak bardzo pokochała, z chwilą, w której usłyszy, że ją oszukałam, moje życie skończy się i to przez duże „S”. Skończą się pączki z czekoladą na podwieczorek. Od tej pory będę wsuwała dietetyczne batoniki i herbatniki z płatków owsianych, Theresa potrafi wybaczyć wszystko - złe stopnie, spóźnienia, zgubione prace domowe, bioto po spacerze do parku rozniesione po całej świeżo umytej kuchennej podłodze - ale kłamstwo?!

Nie ma mowy. Nawet gdyby to było kłamstwo w dobrej sprawie, takiej jak zachowanie mojej niezależności jako artystki.

I dlatego właśnie zaraz potem rzuciłam Davidowi błagalne spojrzenie, marząc bez



większej nadziei, że mimo wszystko zrozumie.

Nie wiedziałam, jakim cudem miałby zrozumieć. Bo chociaż nie nosił mundurka z Horizon, ale i tak miał koszulę zapiętą pod samą szyją i spodnie w kancik. Wyglądał na faceta, który nigdy, ale to nigdy w życiu nie sprzeciwił się rodzicom, a co dopiero swojej niezwykle surowej gosposi. Więc niby jak miałby się domyślić?

Niemniej, jeśli istniała jakaś szansa, minimalna szansa na przekonanie go, jak agentów służb specjalnych, żeby nie wspomniał o mojej wczorajszej nieobecności na lekcji...

- Ach, więc posyłacie ją do Susan Boone? - spytała wesoło moją mamę Pierwsza Dama. - Czy Susan nie jest po prostu cudowna? David ją uwielbia. - Dotknęła ramienia syna gestem zadziwiająco mamowatym jak na kobietę, która jest żoną najważniejszego człowieka w wolnym świecie. - Tak bardzo się cieszę, że David zwlekał wczoraj wieczorem z wyjściem z pracowni. Kto wie, co by się mogło stać, gdyby wyszedł wtedy, kiedy...

Nie udało jej się dokończyć zdania. Chyba chciała powiedzieć, że nie wiadomo, co by się stało, gdyby David wyszedł w chwili, kiedy Pan Uptown Girl zaczął strzelać. Ale tak naprawdę, nic by się nie stało. Bo ja tam byłam. I powstrzymałam zamachowca.

Davidzie, proszę cię, przesyłałam mu w myślach ten komunikat tak intensywnie, jak tylko mogłam. Proszę, nie mów nic o tym, że mnie tam wczoraj nie było. Proszę, chociaż raz w swoim zapiętym na ostatni guzik koszuli życiu syna polityka spróbuj otworzyć umysł i usłysz moją prośbę. Wiem, że ci się uda. Kochasz Save Ferris tak samo jak ja, więc może potrafimy odbierać nawzajem swoje myśli. Davidzie, nic nie mów. Nie mów ani...

- Dobrze wiem, co pani czuje - powiedziała mama, wyciągając dłoń i dotykając mojego ramienia dokładnie w taki sam sposób, w jaki Pierwsza Dama dotknęła przed chwilą ramienia Davida. - Nawet nie chcę myśleć, co by się mogło stać, gdyby agenci służb specjalnych nie rozbroili go tak szybko...

- Wiem - odparła Pierwsza Dama. - Są wspaniali, prawda? Zadziwiające, ale wyglądało na to, że rozmowa zaczyna oddalać się od tematu Susan Boone. Usłyszałam jeszcze tylko jedną zadziwiającą informację. Otóż John - ten facet w średnim wieku, który w ogóle nie umie rysować i który nosił - jak mi się zdawało - aparat słuchowy, okazał się ochroniarzem Davida. Poczulałam się trochę niesamowicie.

Jednak bardziej niesamowicie musiał poczuć się David, kiedy wszedł do pokoju szpitalnego dziewczyny, która uratowała jego ojca przed planowanym zamachem i przekonała się, że to tylko ja.

Tyle że kiedy pierwszy szok minął, David w ogóle nie wyglądał na przejętego. Wydawało mi się nawet, że całkiem nieźle się bawi. Na przykład, próbował się nie

uśmiechać, ale nie mógł się powstrzymać. Pewnie myślał o tym ananasie. Na samo wspomnienie poczułam, że na policzki wypełza mi gorący rumieniec.

O mój Boże. Ten głupi ananas. Dlaczego ja? Tłumaczyłam sobie, że miałam pełne prawo dorysować ananasa. Ten ananas, pomyślałam, wziął się z potrzeby serca, dokładnie tak, jak to ujął Jack.

Ale jeśli to prawda, dlaczego tak okropnie się zawstydziałam?

Wreszcie, po trwającej chyba ze dwadzieścia minut, pełnej skrępowania pogawędce, prezydent, jego żona i David wyszli i znów zostaliśmy sami.

Mama odetchnęła głęboko i ciężko usiadła na moim łóżku, które pośpiesznie posłała, kiedy byłam pod prysznicem.

- To wszystko jest nie z tej ziemi. Czy tylko ja mam takie wrażenie? - spytała.

Theresa była w jeszcze większym szoku niż pozostali.

- Nie do wiary - pomrukiwała. - Przed chwilą poznałam prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Nawet Rebecca musiała przyznać, że było to ciekawe doświadczenie.

- W głowie mi się nie mieści, że zapomniałam zapytać prezydenta o sprawę Strefy 51 - stwierdziła z żalem. - Naprawdę chciałabym wiedzieć, dlaczego rząd uważa, że trzeba przed nami ukrywać prawdę o wizytach istot pozaziemskich.

Lucy wyciągnęła z rozmowy o wiele mniej ezoteryczne wnioski niż Rebecca.

- Obiad w Białym Domu - powiedziała. - Jak sądzicie, mogłabym zabrać Jacka?

- Nie! - odparli zgodnie i głośno rodzice. Lucy westchnęła dramatycznie.

- Niech będzie. To nawet lepiej, że pójdę bez niego. Będę mogła poplirtować sobie z tym całym Davidem. Jest świetny.

Widzicie? Sami widzicie, że Lucy nie zasługuje na takiego faceta jak Jack. Z sykiem zaczerpnęłam powietrza, przepełniona oburzeniem w imienin Jacka...

- Przepraszam bardzo, czy ty czasem nie masz już chłopaka? - spytałam z przekąsem.

Lucy spojrzała na mnie tak, jakbym oszalała.

- Co z tego? - odparzyła. - Czy to znaczy, że już nie mogę nawet spojrzeć na innego faceta? A może zauroczyło cię spojrzenie zielonych oczu Davida? I ten tyłeczek...

- Wystarczy - przerwał tata. - Żadnych tyłeczków. Póki jestem obecny w tym pokoju, nikt nie będzie dyskutował o żadnych tyłeczkach. Kiedy mnie nie ma, też.

- Popieram - dodała mama.

Zgodziłam się z całego serca. Wyobraźcie sobie tylko - Lucy przygląda się tyłkom innych facetów, chociaż już ma Jacka i może sobie na niego patrzeć, ile chce!

Ale ona wydawała się kompletnie nieświadoma własnego egoizmu i braku lojalności. Wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Jak sobie chcecie.

A potem podeszła do okna...

- Nie podchodź do okna! - wrzasnęłyśmy mama i ja.

Było już jednak za późno. W tłumie rozległ się potężny krzyk. Lucy, w pierwszej chwili spłoszona, szybko doszła do siebie i zaczęła machać, jakby wyobrażała sobie, że jest co najmniej papieżem.

- Halo! - zawołała, chociaż w żaden sposób nie mogli jej usłyszeć. - Halo, małe ludziki! Cześć, Peter Jennings! Cześć, Katie Couric!

Właśnie w tej chwili otworzyły się drzwi i do Lucy podeszła jakaś dama w bluzce z falbanką przy szyi. Przedstawiła się jako pani Rose, kierowniczka administracyjna szpitala.

- Panno Madison? Jest pani gotowa na konferencję prasową? Lucy obróciła się na pięcie i szeroko otworzyła oczy.

- To nie ja - wyjąkała. - To ona.

I jednym ze szpiczastych paznokci pokazała w moją stronę. Pani Rose popatrzyła na mnie.

- Och - westchnęła. - No dobrze. Jesteś gotowa, kochanie? Chcą ci zadać tylko parę pytań. To potrwa najwyżej pięć minut. A potem będziesz mogła iść do domu.

Popatrzyłam na rodziców. Starali się dodać mi otuchy uśmiechem. Spojrzałam na Theresę. To samo. Spojrzałam na Lucy.

- Cokolwiek się zdarzy, nie dotykaj włosów - powiedziała. - Raz wreszcie udało mi się ułożyć je idealnie. Nie potargaj ich.

Spojrzałam znów na panią Rose.

- Jasne - powiedziałam. - Chyba jestem gotowa.

Dziesięć najważniejszych rzeczy, których należy unikać podczas konferencji prasowej: 10. Jeśli reporter „New York Timesa” spyta cię, czy byłaś przerażona, kiedy Larry Wayne Rogers (Pan Uptown Girl) wyciągnął rewolwer spod peleryny przeciwdeszczowej, prawdopodobnie lepiej mu nie mówić, że wręcz odwrotnie, poczułaś ulgę, bo wydawało ci się, że zamierza wyciągnąć coś innego.

9. To, że podają ci wodę, nie znaczy, że trzeba ją od razu wypić. Zwłaszcza jeżeli pijąc, trafiasz obok ust, bo wargi masz strasznie śliskie od błyszczyka i cała woda wylewa się na przód bluzki twojej siostry.

8. Kiedy reporter „Indianapolis Star” pyta cię, czy zdajesz sobie sprawę, że Lany

Wayne Rogers usiłował zastrzelić prezydenta, bo chciał zaimponować pewnej sławnej osobie, na punkcie której od lat miał obsesję - tu znaczy byłej żonie Billy'ego Joela, modelce Christie Brinkley, dla której Billy napisał piosenkę *Uptown Girl* - prawdopodobnie lepiej jest nie wzdychać: „Co za palant!” Zamiast tego, powinnaś wyrazić troskę i zainteresowanie poważnym społecznym problemem chorób psychicznych.

7. Kiedy korespondent CNN chce wiedzieć, czy masz chłopaka, zręcznie jest powiedzieć: „W tej chwili nie”, zamiast zrobić to, co ja, czyli zakrztusić się własną śliną.

6. Gapić się uparcie na czubek głowy Barbary Walters i zastanawiać się, czy to naprawdę jej własne włosy, czy jakiś rodzaj kosmicznego hełmu? Tak, to niezbyt dobry pomysł.

5. Kiedy Matt Lauer wstaje i zadaje pytanie, prawdopodobnie lepiej jest nie kwiczeć do mikrofonu: „Hej! Ja pana znam! Moja mama jest w panu śmiertelnie zakochana!”

4. Jeżeli pasemko włosów przylepi ci się do błyszczyka na ustach, lepiej chyba byłoby odsunąć włosy dłonią, niż próbować je zdmuchnąć, sapiąc jak główna bohaterka filmu *Uwolnić orkę*.

3. Kiedy reporter z „Los Angeles Timesa” pyta cię, czy to prawda, że właśnie spotkałaś się z prezydentem i jego rodziną, i prosi cię o wrażenia z tego spotkania, należałoby wydusić z siebie coś więcej niż „Hm, w porządku”.

2. Uwaga ogólna: jeśli uratowałaś życie przywódcy wolnego świata, większość ludzi naprawdę chce o tym posłuchać i, niestety, nie interesuje ich szczegółowy opis twojego psa.

A oto najważniejsza rzecz, o której nie wolno zapomnieć na konferencji prasowej:

1. Wziąć okulary przeciwsłoneczne. Inaczej oślepniesz od błysku fleszy i będziesz widziała wyłącznie rozmazane fioletowe plamy. A kiedy zejdziesz z podwyższenia, potkniesz się, bo nie będziesz wiedziała, dokąd idziesz i wyłądujesz na kolanach prezenterki lokalnych wiadomości, Candace Wu.

Oto, co się dzieje, kiedy powstrzymasz szaleńca przed zabiciem prezydenta Stanów Zjednoczonych: wszyscy chcą zostać twoimi przyjaciółmi.

Naprawdę.

I nie chodzi mi tylko o balony z życzeniami powrotu do zdrowia, ani pluszowe misie z napisem *Dziękujemy ci, misiaczku!* (wszystkie przekazałam oddziałowi dziecięcemu, zanim opuściłam szpital). Kiedy wróciłam do domu, na sekretarce naszego telefonu było sto sześćdziesiąt siedem wiadomości. Spośród nich tylko jakieś dwadzieścia zostawili ludzie, których znam i lubię, jak na przykład babcia czy Catherine. Całą resztę nagrali reporterzy, albo takie osoby jak Kris Parks, która chyba zupełnie zapomniała o historii z zajęciami u logopedy.

- Cześć, Sam - zaświergotała tym swoim obłudnym tonem. - To ja, Kris! Dzwonię tylko zapytać, czy nie miałabyś ochoty wpaść do mnie na imprezę w przyszłą sobotę. Rodzice wyjeżdżają na Arubę, więc zrobimy sobie niezły melanz! Jeżeli nie przyjdiesz, impreza się nie uda...

Nie wierzyłam własnym uszom. To znaczy, spodziewałabym się, że Kris Parks będzie przynajmniej próbowała rozegrać to trochę subtelniej. Od trzeciej klasy nie zaprosiła mnie na żadną imprezę, a teraz usiłuje zachowywać się tak, jakbyśmy nigdy nie przestały być przyjaciółkami. To niesłychane. Lucy jednak nie podzielała mojego oburzenia. Powiedziała tylko:

- Fajnie, impreza u Kris, Wezmę Jacka. Na co rodzice odpowiedzieli zgodnie:

- Wybij to sobie z głowy:

A potem dodali, że nie wolno nam chodzić na imprezy, gdzie przynajmniej jedno z rodziców gospodarza nie kontroluje sytuacji. Zwłaszcza z Jackiem, którego przyłapano na kąpieli na golasa w basenie Klubu Sportowego Chevy Chase w czasie zeszłorocznego przyjęcia bożonarodzeniowego. (Ryderowie są członkami tego klubu, więc incydent udało się jakoś zatuszować. Niestety, nie na tyle skutecznie, żeby nie dotarł do uszu moich rodziców. Przypuszczam, że byliby znacznie szczęśliwsi, gdyby Lucy spotykała się z facetem, który nigdy nie sprzeciwia się autorytetom i bezmyślnie akceptuje to, co mu się wbija do głowy, jak większość ludzi z naszego pokolenia).

Lucy nie zmartwiła się specjalnie, kiedy rodzice oświadczyli, że nie wolno jej zabrać Jacka na imprezę do Kris. Zamiast tego podeszła do okna, żeby jeszcze raz pomachać

reporterom zgromadzonym na trawniku przed domem.

Jednak wiadomość od Kris Parks wcale nie należała do najbardziej niewiarygodnych. Zadzwoniła do nas także chyba połowa reporterów obecnych na konferencji prasowej, z pytaniem, czy mogą otrzymać wyłączność na przeprowadzenie ze mną wywiadu. Redakcje wszystkich telewizyjnych wiadomości - łącznie z *60 Minut*, *48 Godzin*, *Dateline* i *20/20* - chciały zrobić program z moim udziałem i prosiły o jak najszybszy kontakt telefoniczny.

Już leczę! Jakby tym, co można o mnie powiedzieć, dało się zapełnić całą godzinę. Jak do tej pory moje życie to jedno długie pasmo upokorzeń. Jeżeli jednak chcą zagłębiać się w szczegóły mojego seplenienia i tego, jak wyleczyłam się z niego dzięki irracjonalnemu pragnieniu rzucenia Kris Parks prosto w oczy wszystkich brzydkich słów na „r”, to proszę uprzejmie. Wydawało mi się jednak, że bardziej interesuje ich coś w stylu: „triumf ducha”.

Poza tym były telefony od producentów napojów chłodzących. Poważnie. Coca - Cola i Pepsi chciały wiedzieć, czy jestem zainteresowana podpisaniem kontraktu na wspieranie ich marek. Na przykład, miałabym stanąć przed kamerą i powiedzieć: „Pijcie colę jak ja, a też będziecie mogli rzucić się na szalonego fana Christie Brinkley i dać sobie złamać nadgarstek”.

Wreszcie, co trochę wtrąciło mnie z równowagi, znalazła się wiadomość, której najbardziej się obawiałam. Miałam nadzieję, że akurat tej wiadomości nie będzie. Myliłam się jednak bardzo.

Bo wiadomość numer 164, nagrana aż za dobrze znajomym głosem, brzmiała następująco:

- Samantha? Cześć, tu Susan Boone. No wiesz, z pracowni rysunku. Samantho, byłabym ci wdzięczna, gdybyś oddzwoniła, jak tylko otrzymasz tę wiadomość. Chciałabym z tobą pomówić o paru sprawach.

Spanikowałam. Już po mnie. Wszystkie prośby zanoszone do facetów ze służb specjalnych na nic się zdały. Już się nie wywinę. Zginęłam.

Musiałam oddzwonię do Susan Boone tak, żeby nikt nie podsłuchał, kiedy będę (tak przypuszczałam) wiła się jak piskorz. W rezultacie musiałam kręcić się po domu i trochę odczekać, bo tata dzwonił do firmy telekomunikacyjnej i zmieniał nasz numer telefonu na nowy, zastrzeżony. Musieliśmy to zrobić, bo niektóre z tych stu sześćdziesięciu siedmiu wiadomości były nieco zbyt wylewne, o ile rozumiecie, o co mi chodzi. Jakies typy w rodzaju Larry'ego Wayne'a Rogersa - obecnie bezpiecznie odizolowanego w więzieniu o zastrzonym rygorze w oczekiwaniu na postawienie w stan oskarżenia - które naprawdę, ale to naprawdę bardzo chciały mnie poznać. Najwyraźniej nie zniechęcało ich moje okropne zdjęcie ze

szkolnej legitymacji.

Faceci ze służb specjalnych doradzili nam, żebyśmy zmienili numer telefonu i zastanowili się nad zainstalowaniem systemu alarmowego. Wciąż kręcili się na zewnątrz, głównie po to, żeby powstrzymać natrętów, a paru policjantów z obsługi metra kierowało ruchem na naszej ulicy, który nagle stał się pięciokrotnie większy niż normalnie. Ludzie odkryli, gdzie mieszkam i przejeżdżali bardzo wolno obok naszego domu, próbując zobaczyć mnie chociaż przelotnie. Nie pytajcie, dlaczego. Rzadko robię coś interesującego. Przez większość czasu po prostu siedzę w swoim pokoju, jem chipsy i rysuję autoportrety z Jackiem. Pewnie ci ludzie chcą zobaczyć, jak wygląda prawdziwa żywa bohaterka.

Bo tym właśnie teraz jestem, czy mi się to podoba, czy nie. bohaterką.

Co, jak się okazuje, jest po prostu innym określeniom człowieka, który znalazł się w niewłaściwym miejscu w jak najbardziej niewłaściwym czasie.

W każdym razie, kiedy tata uporaj się już z urzędem telekomunikacyjnym, oddzwoniłam do Susan Boone. Jednak dopiero po naradzie z Catherine.

- Obiad? - Catherine tylko tyle zdołała wykrztusić. - Przyjmujesz na siebie kulę przeznaczoną dla prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki i za to dadzą ci jakiś marny obiad?

- Nie przyjął na siebie żadnej kuli - przypomniałam jej. - A to będzie obiad w Białym Domu. I czy możemy ograniczyć się do właściwego tematu? Co mam powiedzieć Susan Boone?

- Każdy może sobie zjeść obiad w Białym Domu, jeśli tylko ma dość pieniędzy. - Catherine była naprawdę zde gustowana. - Sądziłam, że dostaniesz coś więcej niż jedzenie. Powinni przynajmniej odznaczyć się medalem za odwagę, czy coś w ten deseń.

- No cóż - odparłam - może dostanę medal przy obiedzie. A teraz, co mam powiedzieć, kiedy zadzwonię do Susan Boone?

- Samantha - wycodziła Catherine - medali nie rozdaje się przy obiedzie. W tym celu organizuje się specjalną uroczystość. A ty ocalałaś życie prezydentowi. Twoja nauczycielka rysunku nie przejmie się ucieczką z jednej głupiej lekcji.

- Nie wiem, Cath - westchnęłam. - To znaczy, Susan Boone bardzo poważnie traktuje sztukę. Mogła dzwonić, żeby na przykład wyrzucić mnie z zajęć.

- Myślałam, że z radością z nich wylecisz... Myślałam, że nie cierpisz tych lekcji. Myle się?

Czy ja ich nie cierpię? - zastanawiałam się. Właściwie nie miałam nic przeciwko rysowaniu. To było przyjemne. I ten moment, kiedy David powiedział, że podobają mu się

moje buty...

Ale cała reszta - chwile, w których Susan usiłowała pozbawić mnie prawa do twórczej ekspresji i powstrzymać od rysowania tego, co dyktuje mi serce, upokarzając mnie i zawstydzając przed tymi wszystkimi ludźmi, włącznie z synem prezydenta Stanów Zjednoczonych - była mocno dołująca.

Zdecydowałam, że wcale nie byłoby tak źle wylecieć z lekcji rysunku u Susan Boone.

Jak tylko skończyłam rozmowę z Catherine, wykręciłam numer Susan Boone. Chciałam mieć to już za sobą.

- Hm, cześć - odezwała się niepewnie, kiedy podniosła słuchawkę. - Tu Samantha Madison.

- Och, witaj - powiedziała Susan Boone. W tle słyszałam znajome krakanie. Więc kruk Joe nie mieszkał w pracowni, ale podróżował tam i z powrotem ze swoją właścicielką, Nieźle się żyje temu wielkiemu, brzydkiemu, kradnącemu ludziom włosy ptaszysku. - Dobrze, że dzwonicz, Samantho.

- Hm, nie ma sprawy - odparłam. A potem wzięłam długi wdech i skoczyłam na głęboką wodę: - Proszę posłuchać, naprawdę mi przykro z powodu tego dnia. Nie wiem, czy pani słyszała, co się stało...

Susan Boone zaczęła chichotać.

- Samantho, na południe od bieguna północnego nie ma już ani jednej istoty ludzkiego rodzaju, która nie słyszałaby, co wczoraj zaszło przed moją pracownią.

- Och - westchnęłam tylko.

A potem spróbowałam jak najprędzej wyrzucić z siebie kłamstwo, które wymyśliłam. Gdybym bida Jackiem, pewnie powiedziałabym jej całą prawdę - no wiecie, że nie cierpię tych prób ograniczenia mojej artystycznej niezależności.

Ale skoro nie jestem Jackiem, walnęłam po prostu pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy:

- Wie pani, chodzi o to, że opuściłam lekcję, bo naprawdę strasznie łało i cała przemokłam, wie pani, więc wstąpiłam do Static, żeby się trochę osuszyć przed zajęciami, a potem... sama nie wiem jak to się stało, ale chyba zwyczajnie straciłam poczucie czasu i zanim się zorientowałam...

- Nieważne, Samantho - przerwała ku mojemu zdziwieniu Susan Boone. Przyznaję, że to nie było najbardziej kunsztowne kłamstwo, ale tylko tyle udało mi się wymyślić na poczekaniu. - Pomówmy o twojej ręce.

- Mojej ręce? - Popatrzyłam na gips. Tak się do niego przyzwyczaiałam, że miałam



wrażenie, że noszę go od zawsze.

- Tak. Czy złamałaś tę rękę, którą rysujesz?

- Hm. Nie.

- Dobrze. No więc widzimy się na zajęciach we wtorek? Dopadła mnie wtedy niemiła myśl: Susan Boone chce, żebym była żywą reklamą dla jej szkoły. Tak samo jak Coca - Cola i Pepsi.

Niby dlaczego miałam tak nie myśleć? Przecież za pierwszym razem, kiedy byłam u niej na lekcji, bynajmniej nie wychodziła ze skóry, żeby mnie zapewnić, jaką to jestem świetną artystką.

- Pani Boone, proszę posłuchać... - zaczęłam, zastanawiając się, jak u licha, zdołam powiedzieć to, co mam jej do powiedzenia. A zamierzałam wspomnieć jej, że usiłowała zdusić moją kreatywność i uświadomić, gdzie byśmy wszyscy byli, gdyby kiedyś ktoś tak potraktował Picassa. Nie chciałam jej przy tym urazić. Bo wiecie, pomijając tę całą historię z ananasek, wydawała mi się całkiem miłą.

- Susan - przerwała.

- Słucham?

- Mów do mnie Susan.

- Hm. Dobrze. Susan, naprawdę wydaje mi się, że w najbliższych dniach nie będę miała czasu na lekcje rysunku.

Jeśli nawet nie było szansy, że to podziała, warto było spróbować. No i lepsze to niż prawda. No bo przecież przy tych wszystkich reporterach koczujących na naszym trawniku, gliniarzach patrolujących naszą ulicę i palantach zostawiających porąbane wiadomości na naszej automatycznej sekretarce, rodzice najprawdopodobniej na śmierć zapomną o lekcjach rysunku. W tych okolicznościach czwórka z minusem z niemieckiego nie robiła chyba już takiego wrażenia...

- Sam - odezwała się Susan Boone rzeczowo. - Masz spory talent, ale nigdy nie nauczysz się rysować naprawdę dobrze, jeżeli nie przestaniesz tyle myśleć i nie zaczniesz patrzeć. A jedyny sposób, żeby się nauczyć patrzeć, to dać sobie na to trochę czasu.

Nauczyć się patrzeć? Przepraszam bardzo? Może Susan Boone wydaje się, że to moje oczy, a nie ręka ucierpiała podczas tego drobnego incydentu przed jej pracownią?

Zbyt późno zorientowałam się, do czego ona zmierza. A zmierzała dokładnie do tego, przed czym przestrzegał mnie Jack! Usiłowała zamienić mnie w jakiegoś robota do malowania! Zmusić, żebym zaczęła rysować oczami, a nie sercem!

Ale zanim zdążyłam powiedzieć coś w rodzaju: „Nie, dziękuję, pani Boone. Nie mam

ochoty dać się pani przerobić na jakiś kolejny artystyczny automat”. Susan dodała:

- Zatem widzimy się we wtorek, albo obawiam się, że będę musiała powiedzieć twoim rodzicom, jak bardzo wczoraj żalowaliśmy, że cię nie ma.

No to już było poniżej pasa. Zdecydowanie poniżej pasa. Zwłaszcza jak na królową elfów.

- Hm - mruknęłam. To tyle jeśli chodzi o moją walkę z systemem. Bojowy nastrój się ulotnił. - No to chyba przyjdę.

A Susan Boone odparła:

- Świetnie.

I odłożyła słuchawkę. Tuż przed kliknięciem usłyszałam, jak Joe woła w tle:

- Dobry ptak! Dobry ptak!

Miała mnie w ręku. Po prostu miała mnie w ręku, a co więcej, wiedziała o tym. Kto by pomyślał, że królowa elfów może być taka przebiegła?!

No i będę musiała tam wrócić, chociaż wszyscy ludzie z grupy wiedzą, że z ostatnich zajęć po prostu się urwałam. I prawdopodobnie wiedzą też, dlaczego. No wiecie, chodzi mi o to publiczne upokorzenie podczas oceniania prac.

Boże! Jakie to wszystko niesprawiedliwe!

Wciąż siedziałam i kręciłam głową nad moim losem, kiedy do pokoju weszła Lucy Jak zwykle bez pukania.

- Dolara - powiedziała.

Od razu powinnam była wiedzieć, że wpadłam w tarapaty, bo Lucy miała ze sobą podkładkę, blok i pisak. Poza tym założyła swój najbardziej oficjalny kostiumik: zieloną plisowaną mini z białą bluzką i bezrękawnikiem.

- Umówiłam cię na jutro na lunch i zakupy z dziewczynami w Georgetown - powiedziała, przeglądając notatki. - Wieczorem ty, Jack i ja idziemy obejrzyć nowego Adama Sandlera. Będziesz musiała się pokazać i w kinie, i na pizzy w Luigi's po seansie. Dalej, w niedzielę mamy późne śniadanie z całą paczką, a potem mecz. W niedzielę wieczorem jest obiad u prezydenta. Od tego nie zdołamy się wykręcić, już sprawdzałam, Ale jeśli po obiedzie zostanie trochę czasu, może uda nam się znaleźć kogoś, kto nas znów podrzuci do Luigi's. Ot, zajrzemy zobaczyć, co się dzieje. Niektórzy ludzie z paczki przychodzą tam w niedzielę wieczorem wspólnie odrabiać lekcje. W poniedziałek - i teraz słuchaj mnie uważnie, Sam, to ważne - w poniedziałek zaczniemy promować twój nowy wizerunek. Będziesz musiała wstawać przynajmniej godzinę wcześniej niż do tej pory. Mówię serio, dosyć wylegiwania się do ostatniej chwili, zakładania pierwszej lepszej rzeczy, która ci się nawinie, a potem

wpadania do szkoły w takim stanie, jakby to była instytucja opieki społecznej, gdzie nikt nie zwróci uwagi na to, jak wyglądasz. Będziesz musiała zacząć się do tego solidnie przykladać. Poza tym, przynajmniej pół godziny zajmie nam codziennie rano doprowadzanie do porządku twoich włosów. Popatrzyłam na nią, mrugając z niedowierzaniem.

- O. Czym. Ty. Mówisz - powiedziała bardzo powoli, bo język nagle zupełnie mi skołowaciał.

Lucy wzniosła oczy do nieba, a potem rzuciła się na łóżko obok mnie i Maneta.

- O twoim nowym kalendarzu imprez towarzyskich, głuptasie - powiedziała. - Od dzisiaj sama zajmę się wszystkimi twoimi publicznymi wystąpieniami, dobra? Nie musisz się niczym przejmować. Nie, żeby to było takie proste. Nie zrozum mnie źle, ale - spójrzmy prawdzie w oczy - twoje notowania są dość niskie, I wcale nie podnosi ich to, że się wiecznie włączysz z Catherine. Jest miła i tak dalej, ale kompletnie nie ma stylu! Poradzimy sobie z tym jakoś, wiesz, jeśli tylko przestaniesz z nią rozmawiać w szkole i tak dalej. A teraz, jedno chciałabym wiedzieć: czy ty wszystkie swoje ubrania ufarbowałam na czarno? Jesteś pewna, że nic nie zostało?

- Wynocha z mojego pokoju - powiedziałam.

Nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę. Naprawdę nie wierzyłam. Lucy odrzuciła na plecy pasmo długich jedwabistych włosów.

- Słuchaj, Sam, daj spokój. Nie bądź wredna. Taka okazja nie zdarza się często. Naprawdę musisz ją chwycić, kiedy się pojawia. Wiesz, jak ten „mosiężny pierścień”, czy co tam, o którym zawsze opowiada tata. Chociaż powiem ci szczerze, jeśli jakiś facet będzie mi chciał dać mosiężny pierścionek, natychmiast mu powiem: „Cześć, spadaj”.

- Lucy! - wrzasnęłam, ciskając w nią butem podniesionym z podłogi. - Wynos się z mojego pokoju!

Lucy uchyliła się przed butem, a potem wystąpiła z obrażoną miną.

- Boże - powiedziała. - I próbuj tu wyświadczyć komuś przysługę. Poczekaj, już nigdy ci nie pomogę.

A potem, ku mojej wielkiej uldze, wyszła zamaszystym krokiem, zostawiając mnie sam na sam z całym moim brakiem popularności.

Dziesięć rzeczy, na których Gwen Stefani nigdy w życiu nie dałaby się przyłapać: 10. Gwen Stefani nigdy, ale to przenigdy nie pozwoliłaby swojej siostrze wybierać dla siebie ubrań. Gwen Stefani dorobiła się własnego, indywidualnego i jedyne w swoim rodzaju stylu. Gwen znajduje w najtańszych sklepach urocze małe bluzeczki i nadaje im sportowy i luzacki wygląd, na przykład zawiązując je nad pępkiem. Gwen nigdy, ale to nigdy nie

nosiłaby granatowych, szarych albo beżowych spodni, które jej siostra kupiła dla niej w Banana Republic, wydając na to trzysta sześćdziesiąt pięć dolarów:

9. Gdyby siostra Gwen powiedziała jej, że musi rzucić swoją najlepszą przyjaciółkę dlatego, że matka tamtej ubiera ją w fatalne ciuchy, Gwen prawdopodobnie tylko zaśmiałaby się lekceważąco, a nie rzucała w siostrę butem.

8. To wysoce nieprawdopodobne, żeby Gwen Stefani w porze psiego spaceru wymknęła się tylnym wyjściem w bluzce z kapturem, okularach słonecznych i spodniach khaki swojego ojca z podwiniętymi nogawkami, usiłując uciec reporterom tkwiącym przed drzwiami jej domu. Gwen odważnie wyszłaby do reporterów i skorzystała z ich niezmordowanego zainteresowania jej osobą, żeby wypromować muzykę ska.

7. Bardzo wątpię, żeby Gwen Stefani zarumieniła się, gdyby mężczyzna, którego potajemnie kocha - a który przypadkiem byłby chłopakiem jej siostry - powiedział jej, że fajnie wygląda w podwiniętych spodniach swojego ojca.

6. Ponadto, Gwen Stefani ma za bardzo zintegrowaną osobowość, żeby kiedykolwiek zakochiwać się w chłopaku swojej siostry.

5. Prawdopodobnie, gdyby Gwen Stefani uratowała życie prezydentowi Stanów Zjednoczonych, nie ukrywałaby się w domu, wstydząc się hord ludzi, którzy chcieliby jej powiedzieć, jaka była dzielna. Gwen napisałaby o tym piosenkę, niesamowicie dowcipną i autoironiczną. W klipie prezydentem byłby jej eks, Tony Kanał, a ten dziwny goły perkusista zagrałby Larry'ego Wayne'a Rogersa. Ale i tak ta piosenka nigdy by się nie wspięła powyżej piątego miejsca na żadnej liście przebojów, bo ska jest poważnie niedoceniane w środkowych stanach USA.

4. Gdyby Kris Parks zadzwoniła do Gwen Stefani, tak jak do mnie, i powiedziała: „Och. cześć, Gwen. To jak, przyjdiesz? No wiesz, na moją imprezę w przyszłą sobotę”, Gwen prawdopodobnie powiedziałaby coś dowcipnego i uroczego, a nie to, co powiedziałam ja, to znaczy: „Skąd masz mój nowy numer?” Zapomniałam, oczywiście, że moja siostra Lucy przemailowała nasz nowy numer do wszystkich ludzi ze szkoły, w obawie, że w przeciwnym razie może ją ominąć jakieś niezwykle ważne towarzyskie wydarzenie z tych, które mają nastąpić w najbliższy weekend. Na przykład pizza u Luigi's albo całonocne oglądanie filmów Madonny w domu Debbie Kinley.

3. Wydaje mi się, że gdyby ktokolwiek usiłował stłamsić twórcze zapędy Gwen, nigdy by się na to nie zgodziła, nawet pod groźbą szantażu.

2. Gwen Stefani nie spędziłaby nigdy niedzielnego popołudnia na pisaniu listu do chłopaka swojej siostry, wymieniając w nim wszystkie powody, dla których powinien być z

nią, a nie z jej siostrą, a potem na darcie tego listu na drobne kawałeczki i spuszczeniu ich w sedesie. Zamiast tego zajęłaby się odrabianiem lekcji z niemieckiego dostarczonych jej przez najbliższą przyjaciółkę.

A podstawowa rzecz, której Gwen Stefani przenigdy by nie zrobiła?

1. Nie założyłaby na obiad w Białym Domu granatowego kostiumiku kupionego przez jej mamę u Ann Taylor.

Byłam w Białym Domu wiele razy. To znaczy, jeżeli mieszkasz w okolicy Waszyngtonu, gdzieś tak od trzeciej klasy zaczynają cię praktycznie raz na rok wozić tam na wycieczki. A potem zmuszają jeszcze do pisania głupich wypracowań na ten temat. No wiecie: *Moja wycieczka do Białego Domu*. Tego typu rzeczy.

Byłam we wszystkich pomieszczeniach udostępnianych zwiedzającym: w Sali Złotej, w Bibliotece, w Pokoju Chińskim, w Sali Map, w Pokoju Wschodnim, w Pokoju Zielonym, w Pokoju Niebieskim, w Pokoju Czerwonym, bla, bla, bla.

Ale w niedzielę wieczorem po raz pierwszy w życiu byłam w Białym Domu nie na wycieczce, tylko jako gość.

Dziwnie się czułam. Cała nasza rodzina czuła, jak niesamowita jest cała ta sytuacja. Może poza Rebeccą. Ale ona dostała właśnie nowe książki *Star Trek* zamówione w Amazon.com, więc trudno się dziwić.

Poza tym podejrzewam, że Rebecca ukrywa, iż w gruncie rzeczy jest robotem i nie grożą jej ludzkie emocje. . Poza nią wszyscy dostali głupawki. Odgadłam, że mama jest szczególnie zdenerwowana, bo założyła perły i swoją najbardziej bojową garsonkę, tę, którą wkłada wyłącznie do sądu, i odebrała tacie telefon komórkowy oraz palmtopa, żeby podczas obiadu nie próbował skorzystać ani z jednego, ani z drugiego. Theresa - która, jako ważny członek naszej rodziny też została zaproszona - miała na sobie najlepszą niedzielną sukienkę, a tego stroju obowiązkowo dopełniały purpurowe szpilki z błyszczącymi klamerkami. Wcale też na nas nie wrzeszczała, nawet kiedy Manet wpadł z ogrodu i strząsnął krople deszczu prosto na świeżo wyprany dywan w salonie. Nawet Lucy spędziła jakieś dwie godziny więcej niż zwykle na dopieszczaniu urody i wyglądała jak honorowy gość programu V.I.P., a nie osoba zaproszona na zwyczajny, rodzinny obiad do ludzi, którzy na dobrą sprawę są naszymi sąsiadami, bo mieszkają zaledwie o jedną przecnicę od nas.

Lucy odezwała się dopiero, kiedy ruszaliśmy z podjazdu. Nie było to łatwe zadanie, bo wciąż kręciły się tam hordy reporterów, którzy usiłowali sfotografować każdy nasz ruch. Szczególnie upodobali sobie takie numery jak skok na dach naszego samochodu, żeby dobrze uchwycić tatę, który, na przykład, jedzie do 7 - Eleven po mleko.

- Pamiętaj, cokolwiek będzie się działo, Sam - powiedziała Lucy - nie próbuj chować pod talerz jedzenia, które ci nie smakuje.

- Lucy! - Już i tak byłam wystarczająco zdenerwowana. Naprawdę nie potrzebowałam,

żeby jeszcze mi dokładała. - Boże! Wiem, jak mam się zachowywać na uroczystym obiedzie, dobra? Nie jestem dzieckiem.

Rzecz w tym, że w domu, kiedy mamy na obiad coś, czego nie lubię, po prostu oddaję to pod stołem Manetowi, który je wszystko - marchewkę, bakłażana, groszek, melona, kiełbaski drobiowe. Pierwsza Rodzina nie ma psa. Są kociażkami. Koty są fajne, ale na nic się nie przydadzą takiemu niejadkowi jak ja. Szczerze wątpiłam, czy Pierwszy Kot zechce przeżuć różyczki kalafiora, które podsunę mu pod stołem.

No więc, pytanie brzmiało: co mam zrobić, jeżeli podzą brokuły (trzymajcie mnie!), albo jeszcze gorzej, coś z pomidorami albo z rybą, dwoma rzeczami, których naprawdę nie znoszę, a które zazwyczaj pojawiają się na co wystawniejszych przyjęciach. Wiedziałam, że nie wolno mi wpychać jedzenia pod talerz, Przypuśćmy, że ktoś go podniesie i zobaczy schowane pod nim jedzenie... To byłoby niemal tak upokarzające, jak narysowanie ananasa tam, gdzie żadnego ananasa być nie powinno.

Dziwnie się czułam, kiedy skręciliśmy w Pennsylvania Avenue. Zazwyczaj część alei przed Białym Domem jest zamknięta dla ruchu samochodowego. Do ogrodzenia otaczającego dom prezydenta od frontu da się podejść wyłącznie na piechotę.

Ale ponieważ byliśmy specjalnymi gośćmi, pozwolono nam podjechać prosto do takiej dużej zapory, która blokuje ulicę. Stała tam grupka policjantów, którzy sprawdzili nasze tablice rejestracyjne i prawo jazdy taty, a potem opuścili zapórę, żebyśmy mogli nad nią przejechać.

A potem znaleźliśmy się na Pennsylvania Avenue numer 1600, bo taki jest właśnie adres Białego Domu.

Ale nie byliśmy tam jedynymi ludźmi, skądże. Po pierwsze, wkoło kręciło się mnóstwo policji, pieszo, konno i na motocyklach. Stali tam i rozmawiali, ciekawie przyglądając się naszemu samochodowi. Lucy do nich machała, a większość policjantów odmachiwała w odpowiedzi.

Jednak nie tylko gliny kręciły się przed Białym Domem. Byli tam goście, którzy sprzedawali koszulki i czapeczki z napisem FBI i inni, z wyciętymi z kartonu postaciami prezydenta naturalnych rozmiarów, obok których można stanąć i zrobić sobie zdjęcie.

I mimo że było już po zmierzchu, kręciło się tam mnóstwo turystów, całe rodziny, które prosiły się nawzajem o zrobienie sobie fotki przed wysokim czarnym ogrodzeniem z kutego żelaza, które otacza dom prezydenta.

Byli też protestujący. Niektórzy najwyraźniej sterczeli tam już od dawna, bo zdążyli zbudować sobie małą wioszkę z namiotów i szałasów z dykty, przed którymi ustawili

transparenty opisujące ich Sprawę. Bombie atomowej - Nie! - głosił jeden. KTO BOMBĄ WOJUJE, TEN OD BOMBY GINIE, przestrzegał inny. Muszę przyznać, że jak na radykałów, stanowili niezbyt ciekawą zbieraninę.

Ale z drugiej strony, było dość zimno i trochę mżyło. Komu by się chciało protestować w takich warunkach?

No i wreszcie byli tam reporterzy. Tłum reporterów. Prawie tylu, ilu stało przed naszym domem, kiedy wyjeżdżaliśmy. Tyle że Biały Dom wyznaczył dla reporterów tłoczących się na trawniku przed budynkiem osobne miejsce. Mieli tam wielkie reflektory i takie mównice z mikrofonami, po jednym dla każdej stacji. Kiedy zobaczyli nasz samochód zbliżający się do Bramy Północnozachodniej - tam kazali nam jechać policjanci z pierwszej barykady - reporterzy rzucili się naprzód, a kamerzyści silnymi reflektorami oświetlili auto.

- Tam jest! - Słyszałam, jak wołają, mimo że wszystkie cztery okna w samochodzie były zamknięte. - To ona! Kręć! Kręć!

Nie tylko reporterzy usiłowali fotografować samochód i nas w środku. Wszyscy turyści zebrani przed ogrodzeniem odwrócili się, słysząc jakieś zamieszanie i też zaczęli pstrykać nam zdjęcia. To było trochę tak, jakbyśmy podjechali limuzyną na ceremonię rozdania Oscarów. Tyle że siedzieliśmy w volvo kombi i nigdzie nie było widać czerwonego chodnika.

Z małego domku za bramą wyszło dwóch facetów w mundurach i obejrzało się przez ramię na hordy nacierających reporterów. Jeden wystąpił naprzód, żeby odciąć im drogę, a drugi machnięciem ręki kazał nam wjechać przez powoli otwierającą się bramę.

Jednocześnie mama odwróciła się do nas i powiedziała cicho i stanowczo:

- Lucy, będę ci wdzięczna, jeżeli chociaż raz w życiu nie będziesz przez cały posiłek mówiła o ubraniach. Rebecca, wiem, że chciałabyś zadać prezydentowi parę pytań na temat tajemnic Roswell, ale zwracam się do ciebie z osobistą prośbą, żebyś tego nie robiła. A teraz ty, Samantha, Proszę cię. Błagam cię, nie wybrzydzaj przy jedzeniu. Jeżeli coś ci nie smakuje, po prostu zostaw to na talerzu. Nie siedź i nie dłub w tym widelcem przez pół godziny.

Pomyślałam, że tu niesprawiedliwe. Kiedy poprzesuwasz jedzenie na talerzu, większość ludzi myśli, że chociaż trochę zjadłaś.

W końcu przejechaliśmy przez bramę, obok reporterów, ich kamer i fleszy, pod same frontowe drzwi Białego Domu.

Kiedy znajdziesz się przed nim, nawet od strony tego żelaznego ogrodzenia na Pennsylvania Avenue, dom, w którym mieszka prezydent wydaje się w gruncie rzeczy dość



mary. To dlatego, że Rotunda, ten okrągły fragment z kolumnami, który wystaje ze ściany Białego Domu, tak naprawdę mieści się na tyłach budynku. Od frontu, od strony podjazdu, nie wygląda to ani trochę imponująco. Mówiąc szczerze, ile razy widziałam Biały Dom od tej strony, zawsze myślałam: „Jak oni zdołali zmieścić te wszystkie pokoje na takiej małej przestrzeni?”

Ale kiedy zobaczysz zdjęcia budynku od tyłu, to znaczy te, które zawsze pokazują w wiadomościach i na filmach, wtedy mówisz sobie: „Aha! Więc tak to zrobili!”

Kiedy się zatrzymaliśmy, mężczyzna w mundurze, który stał przy drzwiach, wyprężył się na baczność, a drugi zszedł, żeby otworzyć drzwi samochodu mojej mamie.

Po chwili drzwi domu otworzyły się i ukazała się w nich Pierwsza Dama i powiedziała: „Dzień dobry!” i „Prosimy do środka!” Tuż za nią stanął prezydent, który potrząsnął dłonią taty i zapytała: „Jak się masz, Richardzie?”, na co mój tata odparł: „Dobrze, dziękuję panie prezydencie”.

Potem prezydent i jego żona wprowadzili nas do wnętrza Białego Domu tak zwyczajnie, jakbyśmy tylko wpadli na grilla w ogródku. Tyle że na grilla w ogródku nie trzeba wbijać się w cienkie rajstopy, ani granatowy kostiumik od Ann Taylor. Muszę przyznać, że chociaż wszyscy byli bardzo gościnni, czułam się dość niezręcznie. I to nie tylko ze względu na ten głupi gips, ani na to, że Lucy znów zmusiła mnie do użycia odżywki dla koni, więc moje włosy wydawały się nienaturalnie gładkie. Nawet nie dlatego, że miałam dziwne przeczucie, iż na moim talerzu na pewno wyląduje jakiś kalafior.

Nie, dostawałam kota, bo niezależnie od tego, jak swobodnie zachowywał się prezydent i jego żona, byliśmy w Białym Domu.

I nie w części, którą udostępnia się zwiedzającym, ale w tej prywatnej, rodzinnej. Nigdy jej się nie widuje, chyba że w telewizji, a nawet wtedy nie są to prawdziwe pokoje, tylko fantazje scenografa na temat ich możliwego wyglądu. Wystrój wewnątrz w gruncie rzeczy przypominał mi tanie hoteliki ze śniadaniem, jak te, w których zatrzymaliśmy się kiedyś w Vermont. Ale potem pomyślałam sobie, że może jestem niesprawiedliwa, bo prezydent i jego rodzina mieszkają, tu dopiero niecały rok i może nie mieli jeszcze czasu się urządzić.

A poza tym, przecież to nie jest ich prawdziwy dom.

Potem znaleźliśmy się w salonie i Pierwsza Dama mówiła: „Usiądźcie, proszę” i „Pozwólcie, zrobię wam po drinku”. Usiadłam i wtedy wszedł David...

Wyglądał prawie dokładnie tak, jak tego dnia w pracowni Susan Boone! Tym razem miał na sobie koszulkę z Reel Big Fish, ale i tak można było pomyśleć, że ten drugi David, facet od spodni w kancik, w ogóle nie istnieje.

- Och, Davidzie... - powiedziała jego mama z niesmakiem. - Chyba prosiłam cię, żebyś się przebrał do obiadu.

Ale David tylko uśmiechnął się szeroko i sięgnął po garść solonych orzeszków, które stały w miseczce na stoliku przede mną.

- Ależ ja się przebrałem do obiadu - powiedział. Zauważyłam, że wybrał tylko orzeszki cashew, a zostawił brazylijskie. W pełni popieram. Brazylijskie są obrzydliwe.

Obiad już na nas czekał. Jedliśmy go w jednej z imponujących jadalni. Widziałam, że Lucy była z tego bardzo zadowolona, bo jasnobłękitny kostium lepiej pasował do wystroju tego oficjalnego pomieszczenia niż do nieoficjalnego saloniku. Theresa też była pod wrażeniem. Zastawy stołowej. Talerze miały szczerozłote brzegi. Theresa mówiła, że nie można wkładać talerzy ze złotym brzegiem do zmywarki, trzeba je myć ręcznie. Myśl, że ktoś będzie musiał zmywać po niej talerz, wprawiła Theresę w wyśmienity humor.

Byłam chyba jedyną nieszczęśliwą osobą w całym pokoju. Bo kiedy tylko usiedliśmy, zorientowałam się, że wpadłam w poważne tarapaty. Na początek zaserwowali nam sałatkę, w której były spore „miniaturkowe” pomidorki. Na szczęście sos był smaczny, po prostu zwyczajny sałatkowy winegret, więc wyjadłam sałatę i miałam nadzieję, że nikt nie zauważy, że pomidory zostały.

Tyle że, niestety, siedziałam na honorowym miejscu, po prawej stronie prezydenta, a on to zauważył. Pochylił się do mnie i powiedział:

- Wiesz co, te pomidory sprowadzono aż z Gwatemali. Jeśli ich nie zjesz, może dojść do jakiegoś międzynarodowego konfliktu.

Byłam prawie pewna, że żartuje, ale mnie nie było do śmiechu. Nie chciałam, żeby ktokolwiek sobie pomyślał, że nie doceniam zaproszenia na ten miły obiad.

No więc, zrobiłam tak: kiedy nikt nie patrzył, zsunęłam pomidory z talerza prosto na serwetkę, którą trzymałam na kolanach.

Manewr przebiegł zadziwiająco sprawnie, więc kiedy podano następne danie i okazało się, że to zupa z małży, zjadłam wszystko rzadkie, a potem, kiedy nikt nie patrzył, małże też upuściłam na serwetkę.

Przy deserze miałam już w serwetce około pół kilograma jedzenia, łącznie z filetem z flądry nadziewanej mięsem kraba, mieszanką warzywną z groszku, marchewki i małych cebulek, garstką faszerowanych ziemniaków i kawałkiem cebulowej grzanki.

Nietrudno było ukryć to całe jedzenie tak, żeby nikt tego nie zauważył, bo dorośli zajęli się szalenie ożywioną dyskusją na temat sytuacji ekonomicznej w Afryce. W żaden sposób nie udało mi się wymigać jedynie od zjedzenia pomidora wyciętego w różę, którym

przybrano półmisek z faszerowanymi ziemniakami, bo Pierwsza Dama wzięła go i zsunęła na mój talerz.

- Różyczka dla różyczki - powiedziała z miłym uśmiechem.

Co miałam robić? Musiałam to zjeść. Wszyscy na mnie patrzyli. Przelknęłam pomidorową różę jak umiałam najszybciej, na jeden kęs, a potem wypiłam chyba pół szklanki wody z lodem, bo tylko to dostali do picia nieletni. Kiedy odstawiłam szklanę, zobaczyłam, że Rebecca, która zaczęła mi się z wielkim napięciem przyglądać w chwili, gdy Pierwsza Dama położyła pomidora na moim talerzu, wykonała niespodziewany gest: podniosła dłonie i udała, że klaszcze. Czasami zdarza się, że robi coś sympatycznego i wtedy zaczynam podejrzewać, że może mimo wszystko nie jest robotem.

Mniej więcej w tym momencie zorientowałam się, że stało się coś okropnego - moja serwetka zaczęła przeciekać. Całe to jedzenie jeszcze nie zdążyło popłamić mi spódnicy ale mogło to nastąpić łąda chwila. Nie miałam innego wyjścia: musiałam przeprosić i wyjść do łazienki. Niby od niechcienia, zabrałam ze sobą serwetkę. Luźno zwinęłam ją w dłoni, jakbym zapomniała, że ją tam trzymam.

Gdziekolwiek się nie ruszysz w Białym Domu, wszędzie stoi pełno agentów służb specjalnych. To są w gruncie rzeczy bardzo sympatyczni panowie i panie. Po wyjściu z jadalni zapytałam jedną z agentek, gdzie jest najbliższa łazienka, a ona innie tam zaprowadziła. Kiedy już bezpiecznie zamknęłam się w środku, wrzuciłam obiad do toalety i spuściłam wodę. Czułam się kiepsko, marnując tyle jedzenia, kiedy - sami wiecie - w Appalachach i Afryce ludzie głodują.

Ale co miałam zrobić? Byłabym niegrzeczna, gdybym po prostu zostawiła wszystko na talerzu.

Problem serwetki upapranej sosem z kraba rozwiązałam bez trudu, bo w łazience pełno było małych ręczniczków, stał też połączony kosz na tu zużyte. Umyłam ręce i wytarłam w parę ręczników, a potem wrzuciłam je do kosza, przykrywając serwetkę. Ktokolwiek będzie opróżniał ten kosz, pomyśli sobie, że wrzuciłam ją tam przez roztargnienie.

Rozmyślałam z satysfakcją o tym, jak sprytnie sobie ze wszystkim poradziłam - tyle tylko że, no wiecie, praktycznie umierałam z głodu, bo w żołądku miałam niemal wyłącznie różyczkę z pomidora - kiedy w drodze powrotnej do jadalni wpadłam na Davida. Jak się okazało, szedł do tej samej łazienki, którą właśnie opuściłam.

- Och - powiedział, kiedy mnie zobaczył. - Cześć.

- Cześć - odparłam.

A potem - bo dziwnie się czułam w towarzystwie syna prezydenta - chciałam się jak najszybciej ulotnić.

Ale nie zdążyłam, bo David uśmiechnął się tym swoim lekkim uśmieszkiem i powiedział:

- No dobra. A przy okazji, co zrobiłaś z serwetką?

Nie wierzyłam własnym uszom. Wpadłam! Wpadłam jak śliwką w kompot! Poczułam, że rumienię się aż po same cebulki włosów potraktowanych odżywką dla koni, Ale grałam dalej. Udawałam, że nie wiem, o czym mówi. - Z serwetką? - spytałam, myśląc, że przy swoich rudych włosach i szkarłatnej twarzy przypominam zapewne dużą salaterkę lodów truskawkowych. - Z jaką serwetką?

- Tą, w której schowałam cały obiad - powiedział rozbawiony David. Jego oczy były bardziej zielone niż zwykle. - Mam nadzieję, że nie próbowałaś spuścić jej w ubikacji. Instalacje w tym domu są dosyć stare. Wiesz, mogłabyś spowodować niezłą powódź.

Zalać Biały Dom - to jak najbardziej w - moim stylu.

- Nie spuściłam serwetki w ubikacji - powiedziałam szybko i zerknęłam nerwowo na agentkę służb specjalnych, która stała w pobliżu. - Włożyłam ją do kosza z brudnymi ręcznikami. Spuściłam tylko jedzenie.

Nagle dopadła mnie przerażająca myśl.

- Ale tego było dość dużo. Naprawdę uważasz, że kanalizacja mogła się zapchać?

- Nie wiem - odparł z poważną miną. - Ten filet z flądry był całkiem spory.

Coś w wyrazie jego twarzy - być może sposób, w jaki uniósł brew, podobnie jak Manet unosi ucho, kiedy ma ochotę na zabawę - pozwoliło mi się domyślić, że sobie ze mnie żartuje.

Chociaż nie wiem, co go tak rozśmieszyło. Ja się naprawdę wystraszyłam, że wywołam awarię kanalizacji w Białym Domu.

- To nieładnie z twojej strony - powiedziałam szeptem, żeby agentka służb specjalnych po drugiej stronie korytarza mnie nie usłyszała.

Nawet nie zastanawiałam się nad tym, że - no wiecie - David był Pierwszym Synem i tak dalej. Po prostu się wściekłam. Zawsze się mówi o rudych, że łatwo tracą nad sobą panowanie. Jeżeli jesteś ruda i się wściekniesz, możesz się założyć, że ktoś od razu powie coś w rodzaju: „Ooo, na rudzielca to trzeba uważać. Wiecie, one wszystkie mają temperamencik”.

Co zazwyczaj doprowadza mnie tylko do jeszcze większej wściekłości.

Oczywiście, spuściłam w ubikacji większość jedzenia, które podała mi na obiad mama Davida. Może właśnie dlatego byłam taka wściekła... Dlatego, że David złapał mnie na takim marnotrawstwie. Tak, byłam wściekła, ale także okropnie zawstydzona.

Ale bardziej jednak wściekła. Obróciłam się więc na pięcie i ruszyłam z powrotem do

jadalni.

- Ach, daj spokój - powiedział David ze śmiechem, odwracając się i dołączając do mnie. - Musisz przyznać, że to było dość zabawne. To znaczy, rozumiesz, naprawdę cię nabrałem. Prawie mi uwierzyłaś, że kanalizacja może eksplodować.

- Nieprawda - powiedziałam, chociaż dokładnie tak sobie wcześniej pomyślałam. I o nagłówkach w prasie następnego dnia: DZIEWCZYNA, KTÓRA URATOWAŁA ŻYCIE PREZYDENTOWI, POWODUJE AWARIĘ KANALIZACJI W BIAŁYM DOMU, SPUSZCZAJĄC CAŁY SWÓJ OBIAD W TOALECIE.

- Owszem, tak myślałaś - upierał się David. Był ode mnie dużo wyższy i musiał stawiać tylko jeden krok na moje dwa. - Ale powinienem wiedzieć, że nie znasz się na żartach.

Stałam jak wryta i odwróciłam się gwałtownie, żeby na niego popatrzeć. Był naprawdę wysoki - wyższy niż Jack - więc musiałam zadrzeć głowę, żeby popatrzeć w te zielone oczy, które tak podobały się Lucy. Nawet do głowy by mi nie przyszło spoglądać w stronę innych części jego ciała, które zdążyła skomentować.

- Co masz na myśli, mówiąc, że nie znam się na żartach? - zapytałam. - W ogóle, skąd ty możesz wiedzieć, czy ja się znam na żartach, czy nie? Prawie mnie nie znasz!

- Wiem, że jesteś typem wrażliwej artystki - odparł David z tym samym przemądrzałym uśmieszkiem, który rzucił swojej mamie („przebrałem się do obiadu”).

- Nie jestem - zaprzeczyłam energicznie, chociaż, oczywiście, jestem wrażliwa. W gruncie rzeczy sarna nie wiem, dlaczego w ogóle usiłowałam się wypierać. Ale po prostu on to powiedział tak, jakby to było coś złego.

A przecież nie ma nic złego w artystycznej wrażliwości. Jack Ryder jest tego żywym dowodem.

- Och, doprawdy? - powiedział David. - Więc jak to się stało, że nie wróciłaś już do pracowni po Incydencie Ananasowym?

Dokładnie tak to powiedział. Wielkimi Literami, Incydent Ananasowy.

Czułam, że znów się czerwienię. Nie mogłam uwierzyć, że to wywleka. Zero współczucia.

- Nie ulega wątpliwości, że jesteś naprawdę dobrą artystką - ciągnął David. - Tylko wiesz, masz trochę taką... gorącą głowę. - Skinął głową w stronę jadalni. - I jesteś trochę wybredna jeśli chodzi o jedzenie. Zgłodniałaś?

Popatrzyłam na niego jak na wariata. W gruncie rzeczy, byłam całkiem pewna, że on jest wariatem.

Chociaż z drugiej strony przyznawał, że jestem całkiem niezłą artystką, więc może aż tak jeszcze nie oszalał.

Zanim zdążyłam zaprzeczyć i powiedzieć, że nie jestem głodna, odezwał się za mnie mój żołądek, wydając z siebie najbardziej zawstydzające pod słońcem, burzące dźwięki, jasno informując, że ma w sobie wyłącznie przybranie z pomidora i że dłużej tego tolerować nie będzie.

David nawet nie udawał, jak normalny człowiek, że nic nie słyszał. Zamiast tego powiedział:

- Tak myślałem. Posłuchaj, właśnie zamierzałem sprawdzić, czy nie uda mi się zorganizować jakiegoś normalnego jedzenia. Idziesz ze mną?

Teraz byłam już pewna, że zwariował. Nie tylko dlatego, że wstał od stołu i wyszedł w środku posiłku, żeby poszukać czegoś do zjedzenia, ale także dlatego, że chciał, żebym poszła szukać tego jedzenia razem z nim. Ja! Dziewczyna, którą przed chwilą złapał na wyrzucaniu obiadu do sedesu.

- ja... - zaczęłam kompletnie ogłupiała - to znaczy my... No, nie możemy tak po prostu sobie wyjść. W środku obiadu. W Białym Domu.

- A czemu nie? - zapytał, wzruszając ramionami. Zastanowiłam się nad tym. Było przecież mnóstwo powodów, dla których nie powinniśmy tego robić. Po pierwsze dlatego, że to niegrzeczne. A po drugie dlatego... dlatego, że tak się po prostu nie robi. Wspomniałam o tym, ale na Davidzie nie zrobiło to specjalnego wrażenia.

- Jesteś głodna, prawda? - spytał.

A potem, ruszając korytarzem wyłożonym perskim dywanem, dodał:

- Chodź. Sama wiesz, że masz na to ochotę.

Nie wiedziałam, co robić. Z jednej strony, ten obiad został wydany dla mnie i wiedziałam, że jako gość honorowy nie mogę po prostu zjeść i zniknąć. Poza tym, Pierwszy Syn był ewidentnie stuknięty. Czy miałam ochotę włóczyć się po nieznanym mi domu w towarzystwie wariata?

Z drugiej strony, umierałam z głodu. A on naprawdę powiedział, że jestem dobrą artystką...

Popatrzyłam na agentkę służb specjalnych, żeby zobaczyć, co ona o tym myśli. Uśmiechnęła się do mnie i zrobiła taki ruch ręką, jakby zamykała sobie usta na kluczyk i go wyrzucała. No cóż, zdecydowałam, że skoro ona nie uważa, że to zły pomysł, a przecież jest dorosła - dość odpowiedzialna, żeby nosić przy boku broń - to może faktycznie wszystko jest w porządku...

Odwróciłam się i szybko ruszyłam za Davidem, który był już w połowie korytarza.

Wcale się nie zdziwił, widząc mnie u swojego boku. Zamiast tego powiedział, jakby ciągnął jakąś prowadzoną w równoległym świecie rozmowę:

- I co się stało z butami?

- Butami? - powtórzyłam jak echo. - Jakimi butami?

- Tymi, które nosiłaś, kiedy cię po raz pierwszy spotkałem. Ze stokrotkami z korektora.

Buty, które mu się podobały. Ha.

- Mama nie pozwoliła mi ich założyć - powiedziałam. - Uważała, że nie są odpowiednie na obiad w Białym Domu. - Popatrzyłam na niego spod oka. - Żadne z moich ubrań nie nadawało się na obiad w Białym Domu. Musiałam kupić nowe. - Niepewnie pociągnęłam za rękaw granatowego kostiumiku. - To też.

- A jak ja się czuję twoim zdaniem? - spytał David. - Codziennie muszę jeść obiad w Białym Domu.

Popatrzyłam kwaśno na jego koszulkę.

- Tak, ale najwyraźniej nie każą ci się przebierać.

- Nie do obiadu. Ale przez całą resztę czasu muszę zakładać dziwne rzeczy.

Wiedziałam jednak, że to nieprawda.

- Nie przebierałeś się na lekcję rysunku.

- Od czasu do czasu mam taryfę ulgową - odparł z tym swoim uśmiechem.

W uśmiezkach Davida kryło się coś tajemniczego. Przez większość czasu wydawało się, że śmieje się z jakiegoś sobie tylko znanego żartu. Te uśmiezki sprawiały, że człowiek chciał zostać dopuszczony do sekretu. To znaczy, do żartu. Ile razy Jack myślał o czymś zabawnym, natychmiast wszystkim to opowiadał. Jakies trzy czy cztery razy, żeby mieć pewność, że każdy usłyszał.

David wydawał się zupełnie zadowolony, zatrzymując swoje dowcipne myśli dla siebie.

Co było trochę irytujące. Bo skąd miałam wiedzieć, czy nie śmieje się akurat ze mnie?

Potem David nacisnął jakiś guzik przy drzwiach i otworzyła się winda. Chyba nie powinnam się dziwić, że w Białym Domu jest jakaś winda, ale się zdziwiłam. To pewnie dlatego, że na moment zapomniałam, gdzie jestem i wydawało mi się, że to zwyczajny dom. Poza tym, na wycieczkach nigdy nam windy nie pokazywano.

Weszliśmy do środka i David nacisnął guzik. Drzwi się zamknęły i winda ruszyła na dół.



- No i? - odezwał się. - Czemu się urwałaś?

Nie miałam pojęcia, o czym mówi. Chociaż powinnam.

- Urwałam się?

- No wiesz. Z lekcji rysunku, po Incydencie Ananasowym. Przełknęłam głośno ślinę.

- Myślałam, że już to sobie wyjaśniliśmy - powiedziałam. - Mówiłeś, że to moja wrażliwa dusza artystki i tak dalej.

Drzwi windy rozsunęły się. David pokazał mi, żebym poszła przodem.

- Tak, ale chciałem usłyszeć twoją wersję wydarzeń. Tak, założę się, że chciał.

Zdecydowanie nie zamierzałam zrobić mu tej przyjemności. Wiedziałam, że tylko by sobie ze mnie kpił. I w efekcie, kpiłby także z Jacka. A tego bym nie zniosła.

Zamiast tego powiedziałam lekko:

- Nie sądzę, żeby Susan Boone tak samo jak ja patrzyła na kwestię artystycznej niezależności.

David spojrzał na mnie, a jedna brew znów podjechała mu w górę. Tyle że tym razem byłam dziwnie pewna, że nie był rozbawiony.

- Doprawdy? - zapytał. - Jesteś tego pewna? Bo ja uważam, że Susan Boone jest bardzo luzacka w tych sprawach.

Jasne. Bardzo luzacka. Tak luzacka, że szantażem zmusza mnie do powrotu na zajęcia.

Ale nie powiedziałam tego głośno. Wydawało mi się, że niegrzecznie byłoby kłócić się z kimś, kto być może za chwilę da ci jeść.

Poszliśmy kolejnym korytarzem, tym razem bez dywanu i ozdób. Potem David otworzył jakieś drzwi i znaleźliśmy się w wielkiej kuchni.

- Cześć, Carl - powiedział do faceta w czapce szefa kuchni, który z przejęciem nakładał bitą śmietanę do pucharków z mussem czekoladowym. - Masz tu coś dobrego do przegryzienia?

Carl podniósł oczy znad swoich dzieł, rzucił na mnie okiem i zawołał:

- Samantha Madison! Dziewczyna, która uratowała świat! jak się masz?

W kuchni było mnóstwo innych ludzi zajętych zmywaniem i odkładaniem różnych naczyń na miejsce. Theresa, jak widziałam, pomyliła się w sprawie obrzeżonych złotem talerzy. Jak najbardziej można je było wkładać do zmywarki i w gruncie rzeczy dokładnie to robiła właśnie służba kuchenna Białego Domu. Ale, kiedy mnie zobaczyli przerwali i zgromadzili się wkoło, żeby podziękować mi za uratowanie ich szefa przed kulką w łeb.

- Czego brakowało tej flądrze? - Chciał wiedzieć Carl, kiedy już odebrałam gratulacje od jego podwładnych. - Rozumiesz, nadziałem ją prawdziwym krabem z Maryland. Kupiłem

ją dziś rano. Była świeżutka.

David podszedł do olbrzymich rozmiarów lodówki i otworzył drzwi.

- Była chyba po prostu za bardzo, no wiesz... - Jak na faceta, który chodzi do Horizon, David z pewnością nie przemawiał jak urodzony geniuszek. - Znajdzie się tu jeszcze jakiś hamburger z tych, co byty na lunch?

Na dźwięk słowa hamburger rozpromieniłam się, Carl to dostrzegł i powiedział:

- Chcesz hamburgera? Ta dama chce hamburgera. Samantha Madison, zrobię ci takiego hamburgera, jakiego w życiu nie jadłaś. Usiądź tu sobie. Nie ruszaj się. Jak zobaczysz tego hamburgera, to ci skarpetki pospadają.

Wprawdzie miałam na sobie rajstopy, ale uznałam, że nie należy o tym wspominać. Usiadłam na stolku, który wskazał mi Carl. David usiadł obok i patrzyliśmy, jak Carl, poruszając się tak szybko, że niemal rozmazywały mu się kontury, rzucił dwa ogromne hamburgery na płytę kuchennego grilla i zaczął je dla nas smażyć.

Dziwnie było tak siedzieć w kuchni Białego Domu. Dziwnie było siedzieć w kuchni Białego Domu z synem prezydenta. Dla mnie dziwny byłby zresztą już sam fakt, że siedzę gdzieś z jakimś chłopakiem, bo nie jestem wśród chłopaków specjalnie popularna. Przecież ja to nie Lucy. Do mnie nie dzwoni co pięć minut inny facet... A ściśle rzecz biorąc, w ogóle żaden nie dzwoni.

Ale ten chłopak i to miejsce sprawiały, że czułam się potwornie niezręcznie. Nie mogłam się zorientować, dlaczego David jest taki... no cóż, miły - tylko takim słowem mogłam to opisać. To znaczy, wmawianie mi, że mogłam zapchać toaletę w Białym Domu nie było specjalnie miłe, ale zachował się bardzo przyzwoicie, proponując mi hamburgera, kiedy umierałam z głodu.

To na pewno dlatego, że uratowałam jego tatę. No, bo niby z jakiego innego powodu? Był mi wdzięczny za to, co zrobiłam. To zrozumiałe. Dlatego się stand.

Niezrozumiałe było jednak, dlaczego starał się aż tak bardzo.

Moje zdziwienie wzrosło, kiedy Carl postawił przed nami dwa talerze - na każdym leżał wielki hamburger i sterta złotych frytek - i powiedział: *Bon appétit*, moi drodzy, a David wziął nasze talerze i rzucił:

- Chodź.

Chwytnąjąc dwie puszkę coli, które Carl wyjął z wielkiej lodówki, ruszyłam za Davidem korytarzem w stronę windy.

- Dokąd idziemy? - zapytałam.

- Zobaczysz - odparł David.

Zazwyczaj taka odpowiedź by mnie nie zadowoliła. Ale nie powiedziałam już nic więcej, bo byłam w szoku. Jakiś chłopak jest dla mnie miły! Jedyne dziecko, które bywało dla mnie choć trochę miłe, to Jack.

Ale Jack musi być miły, bo jestem siostrą jego dziewczyny. Poza tym, oczywiście, sekretnie mnie pożąda. Możliwe nawet, że jedynym powodem, dla którego wciąż jeszcze jest z Lucy to nieświadomość, że odwzajemniam jego miłość. Gdybym kiedyś zdołała zdobyć się na to, żeby powiedzieć mu o swoich uczuciach, wszystko by się zmieniło...

Ale David nie musiał być dla mnie miły. Więc dlaczego to robił? Przecież nie dlatego, że mnie lubił, no wiecie, jako dziewczynę. Bo, hm... Ludzie, przecież piętro wyżej siedziała Lucy. Jaki facet przy zdrowych zmysłach wolałby siedzieć ze inną niż z nią? Przecież to tak, jakby woleć Skippera od lalki Barbie.

Kiedy wyszliśmy z windy, zamiast skręcić do jadalni, David ruszył w przeciwną stronę, do drzwi na przeciwległym krańcu korytarza. Za nimi, jak się wkrótce przekonałam, było bardzo eleganckie pomieszczenie - salon z wysokimi oknami, które wychodziły na trawnik pod Białym Domem, opadający w stronę widocznego w oddali obelisku Waszyngtona strzelającego oświetloną iglicą w nocne niebo.

- Jak ci się tu podoba? - spytał David, stawiając talerze na małym stoliku tuż przy oknie i przysuwając dwa głębokie fotele.

- Hm - powiedziałam, bo nadal tyłam w szoku i miałam mnóstwo podejrzeń w związku z tym, że nieco dziwny, ale bardzo fajny facet, chce zjeść ze mną hamburgera. Ze mną, Samantha Madison. - W porządku.

Usiedliśmy, skąpani w światłach oświetlających od zewnątrz Rotundę. Może byłoby to romantyczne, gdyby nie agent służb specjalnych stojący tuż za drzwiami. Ach i jeszcze gdyby David choć trochę interesował się mną jako kobietą, a zdecydowanie tak nie było. Traktował mnie wyłącznie jak dziewczynę, która ocaliła życie jego ojca, i która lubi rysować ananasy tam, gdzie ich nie ma.

A nawet gdyby mnie lubił, no wiecie, w romantyczny sposób, to jeszcze zostawał ten drobny fakt, że jestem całkowicie i nieodwołalnie zakochana w chłopaku mojej siostry.

Nieważne. Byłam tak głodna, że było mi właściwie wszystko jedno, czy David jest dla mnie miły wyłącznie dlatego, że jest mu mnie na przykład żal.

Od pierwszego kęsa wiedziałam jedno: Carl miał rację. Usmażył najlepszego hamburgera, jakiego jadłam w życiu. Pochłonęłam mniej więcej połowę, zanim wzięłam drugi oddech.

David, który obserwował mnie z osłupieniem na twarzy - w tych rzadkich chwilach,

kiedy trafiam na coś, co mi smakuje, jestem naprawdę skłonna iść na całość - powiedział:

- Lepiej?

Nie mogłam odpowiedzieć, bo zawzięcie żułam. Uniosłam tylko kciuk ręki w gipsie.

- I co, boli cię?

Przełknęłam wielki kawał mięsa, który miałam w ustach. Naprawdę chciałabym być wegetarianką. Poważnie. Ludzie się spodziewają, że artyści są o wiele bardziej wrażliwi na cierpienie innych istot, nawet jeżeli należą do rogacizny. Ale hamburgery są po prostu takie pyszne. Nigdy bym się ich nie wyrzekła.

- Już nie tak bardzo - odparłam.

- Jak to się stało, że nikt ci się nie podpisał? - dopytywał się.

- Oszczędzam go - wyznałam, spuszczać wzrok na przyjemnie dużą powierzchnię białego gipsu wokół mojego nadgarstka - na lekcje rysunku.

Zrozumiał, o co mi chodzi. Nikt inny tego nie rozumiał, poza Jackiem. Tylko prawdziwi artyści potrafią pojąć siłę przyciągania czystego białego podłoża.

- Och, jasne - powiedział ze zrozumieniem. - To będzie super. Na co się zdecydujesz? Jakiś motyw hawajski? Pewnie z mnóstwem ananasów...

Rzuciłam mu kwaśne spojrzenie.

- Chyba wybiorę tematykę patriotyczną - odparłam.

- Och - westchnął. - Naturalnie. Cóż mogłoby lepiej pasować? Zwłaszcza że jesteś Madisonówną i tak dalej.

- A co jedno ma z drugim wspólnego? - zaciekałam się.

- James Madison - powiedział David, znów unosząc brwi. - Czwarty prezydent. Jakiś krewny, prawda?

- Och - odparłam, czując się jak idiotka. - On. Tak. Nie, chyba nie.

- Naprawdę? - zdziwił się David. - Jesteś pewna? Bo ty i jego żona Dolley macie wiele wspólnego.

- Ja i Dolley Madison? - roześmiałam się. - Na przykład?

- No cóż, ona też ocaliła prezydenta.

- Och, niby jak? - śmiałam się dalej. - Dała staremu Jamesowi na przeczyszczenie, czy co?

- Nie - odparł David. - Ocaliła portret George'a Waszyngtona z pożaru, kiedy Brytyjczycy podpalili Biały Dom w czasie wojny 1812 roku.

Chwila, momencik. Brytyjczycy spalili kiedyś Biały Dom? Kiedy to się stało?

Najwyraźniej w czasie wojny, o której jeszcze się nie uczyłam. Historię Stanów będę

miała dopiero w trzeciej klasie.

- Kurde. Super - powiedziałam całkiem szczerze.

Na lekcjach historii nigdy nie opowiadają ci o takich fajnych zdarzeniach jak Pierwsze Damy ratujące obrazy. Zamiast tego słyszysz wyłącznie o tych głupich Pielgrzymach\* i starym nudnym Aaronie Burrze\*\*.

- Jesteś pewna, że to nie wasz krewny? - zapytał znowu David.

- Całkiem pewna - odparłam z żalem.

Fajnie byłoby naprawdę być spokrewnioną z kimś, kto zrobił coś tak dzielnego, jak uratowanie dzieła sztuki z pożaru. Naprawdę, tak super, że słów brak. Czy byliśmy spokrewnieni z Dolley Madison? No bo mama często podkreślała, że musiałam odziedziczyć artystyczny temperament po rodzinie ze strony ojca, skoro z jej strony żadnych artystów nie było. Madisonowie najwyraźniej już od wieków byli wielkimi miłośnikami sztuki.

Tylko ta cecha musiała przeskoczyć kilka pokoleń, bo jestem jedyną osobą w rodzinie, która umie rysować.

Nagle David wstał i podszedł do okna.

- Chodź tu i popatrz - powiedział, odsuwając zasłonę. Podeszłam do niego z zaciekawioną i stwierdziłam, że pokazuje mi parapet. Był pomalowany na biało, jak cała reszta sztukaterii w tym pokoju.

Ale głęboko w warstwach farby zostały wyryte słowa. Patrząc z bliska, odcyfrowałam kilka z nich: Amy... Chelsea... David...

- Co to jest? Pamiątkowy parapet Pierwszych Dzieciaków?

- Coś w tym rodzaju - odparł David.

A potem wyjął z kieszeni džinsów mały szwajcarski scyzoryk i zaczął wydrapywać coś w drewnie. Nie powiedziałabym ani słowa, gdybym nie zobaczyła, że zaczął od litery S.

- Hej - powiedziałam, zaniepokojona. Jestem wielkomięską buntowniczką i tak dalej, ale wandalizm, kiedy nie służy dobrej sprawie, pozostaje tym, czym jest. Wandalizmem. - Co ty robisz?

- Spokojnie - powiedział David z szerokim uśmiechem. - Kto na to zasługuje bardziej niż ty? Nie dość, że prawdopodobnie jesteś spokrewniona z jednym prezydentem, to jeszcze uratowałaś życie drugiemu.

Obejrzałam się nerwowo na drzwi, za którymi na pewno stał agent służb specjalnych.

---

\* Pielgrzymi (*Pilgrims*) - grupa purytanów, którzy w 1620 roku przybyli z Anglii do Ameryki na statku „Mayflower” (przyp. tłum.).

\*\* Aaron Burr - wiceprezydent Stanów Zjednoczonych w latach 1801 - 1805 (przyp. tłum.).

No bo, dajcie spokój, syn prezydenta czy nie syn prezydenta, to było niszczenie publicznej własności. Nie byle jakiej publicznej własności, ale Białego Domu. Jestem pewna, że za zbezczeszczenie Białego Domu można trafić do więzienia.

- Davidzie - powiedziałam, zniżając głos, żeby nikt mnie nie usłyszał. - Nie trzeba.

Zajęty swoim dziełem - doszedł już do litery A - David nie odpowiedział.

- Naprawdę - szeptałam. - To znaczy, jeżeli chcesz mi podziękować za to, że uratowałam ci ojca, hamburger wystarczy.

Ale było za późno, bo już zaczynał literę M.

- Pewnie sobie wyobrażasz, że skoro twój tata jest prezydentem, to nic ci za to nie zrobią.

- Niewiele mogą - odparł, wciąż dłubiąc scyzorykiem. - W końcu jestem jeszcze nieletni. - Odsunął się na chwilę, żeby spojrzeć na swoje dzieło. - Proszę. Co o tym myślisz?

Popatrzyłam na swoje imię, tuż obok imion Amy Carter i Chelsea Clinton, nie wspominając już o Davidzie. Miałam nadzieję, że do Białego Domu nie wprowadzi się w następnej kolejności jakaś wielodzietna rodzina, bo na parapecie nie było już prawie miejsca.

- Myślę, że jesteś szalony - odpowiedziałam, zgodnie z prawdą. Trochę szkoda, bo wydawał się taki fajny.

- Och - jęknął David, składając scyzoryk i wsuwając go do kieszeni. - To naprawdę boli, zwłaszcza z ust dziewczyny, która spuszcza flądrę nadziewaną krabem w toalecie i lubi rzucać się na obcych uzbrojonych ludzi.

Patrzyłam na niego przez chwilę, kompletnie osłupiała.

A potem zaczęłam się śmiać. Nic na to nie mogłam poradzić. No cóż, to było naprawdę zabawne.

David też się śmiał. Staliśmy tam we dwojkę, zaśmiewając się, kiedy wszedł agent służb specjalnych i powiedział:

- Davidzie, ojciec cię szuka.

Przestałam się śmiać. Znow przyłapaną! Spojrzałam z poczuciem winy na parapet - jeszcze większe wyrzuty sumienia budziły we mnie puste talerze, na których leżały niedawno hamburgery.

Ale nie miałam czasu na rozmyślanie nad moimi grzeszkami, bo musieliśmy szybko wracać do jadalni. No bo przecież prezydent Stanów Zjednoczonych nie może czekać.

Okazało się jednak, że czekał na nas nie tylko prezydent. Kiedy David i ja weszliśmy do jadalni, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu wszyscy zgromadzeni zaczęli klaskać.

Najpierw nie mogłam się zorientować, dlaczego. Może gratulowali nam tego, że

David i ja wreszcie znaleźliśmy drogę powrotną z łazienki? Nie mogli przecież wiedzieć o hamburgerach, chyba że Carl powiedział im o tym, kiedy serwowano mus czekoladowy - ...

Ale okazało się, że klaskali z zupełnie innego powodu. Dowiedziałam się tego, kiedy wracałam na swoje miejsce, a mama zatrzymała mnie i wstała, żeby mnie mocno uściskać.

- Och, kotku, czy to nie wspaniale? - spytała. - Prezydent przed chwilą mianował cię nastoletnią ambasadorką przy ONZ!

Niespodziewanie ten fantastyczny, dopiero co zjedzony hamburger przewrócił mi się w żołądku.

No wiec, dokąd wtedy poszliście? - zapytała mnie Lucy chyba po raz setny.

- Donikąd - warknęłam. - Odczep się.

- Ja tylko pytam - jęknęła Lucy. - Nie mogę ci zadać zwykłego pytania? Nie musisz od razu tak się rzucać. Oczywiście, chyba że robiłaś coś, no wiesz, czego nie powinnaś robić.

Faktycznie robiłam coś, czego nie powinnam. Tylko Lucy chyba miała na myśli coś zupełnie innego. Ja po prostu jadłam hamburgery z synem przywódcy wolnego świata i pozwoliłam wydać swoje imię na parapecie okna w Białym Domu.

- Chodzi mi tylko o to, że oboje wyglądaliście tak... - Lucy uważnie oglądała swoje usta w lusterku puderniczki. Spędziła tego ranka całe pół godziny, obrysowując je kredką - to znaczy usta - świadoma, że dzisiaj, mojego pierwszego dnia w szkole po tej całej sprawie z uratowaniem prezydenta, mnóstwo ludzi będzie pewnie robić jej zdjęcia.

Mnóstwo ludzi robiło jej zdjęcia - i mnie też - kiedy wyszliśmy z domu i ruszyliśmy do samochodu (agent służb specjalnych zasugerował, żebyśmy lepiej przez kilka najbliższych tygodni nie korzystały ze szkolnego autobusu, więc odwoziła nas Theresa). Zatem i w tej sprawie Lucy miała rację.

Nie miała jednak racji co do tego, że cokolwiek jest między mną a Davidem.

- Wyglądaliście na bardzo zaprzyjaźnionych - dokończyła, zamykając puderniczkę. - Nie sądzisz, że wyglądali na bardzo zaprzyjaźnionych, Thereso?

Theresa, która nie jest najlepszym kierowcą na świecie i którą kompletnie wytrącili z równowagi fotografowie rzucający się na maskę samochodu i usiłujący zrobić mi zdjęcie, w odpowiedzi rzuciła tylko kilka hiszpańskich przekleństw, bo samochód przed nami właśnie zajechał jej drogę.

- Mnie się wydaje, że wyglądaliście na bardzo zaprzyjaźnionych - powiedziała Lucy. - Bardzo, ale to bardzo.

- Nie ma mowy o żadnej przyjaźni - odparłam. - Po prostu wpadliśmy na siebie w drodze powrotnej z łazienki. To wszystko.

Rebecca, siedząca na przednim siedzeniu, zauważyła:

- Ja wyczułam między wami *frisson*. Taki dreszczyk. Lucy i ja obie spojrzałyśmy na nią, jakby oszalała.

- Co?

- *Frisson* - odparła Rebecca. - Dreszcz nieodpartego wzajemnego zainteresowania.



Wyczulam go wczoraj między tobą i Davidem.

Byłam wstrząśnięta. Bo, oczywiście, nic takiego nie miało miejsca. Tak się składa, że kocham się w Jacku, a nie w Davidzie. Tylko że tego nie mogłam przecież powiedzieć na głos.

- Nie było żadnego *frisson*. Absolutnie żadnego *frisson*. Skąd ty w ogóle wytrzasnęłaś takie słowo?

- Och - westchnęła Rebecca. - Z jednego z romansideł Lucy. Czytam je, bo usiłuję poprawić swoje kontakty międzyludzkie. A między tobą i Davidem definitywnie wystąpiło *frisson*.

Niezależnie od tego. ile razy zaprzeczałam istnieniu jakiegokolwiek *frisson*, i Rebecca i Lucy twierdziły, że to widziały. Co w ogóle nie ma sensu, bo przecież takie dreszcze, jeżeli nawet istnieją, na pewno nie są do wykrycia ludzkim okiem.

A chociaż David jest fajny i tak dalej, ja absolutnie, na sto procent jestem oddana Jackowi Ryderowi, który - no dobra - chyba nie odwzajemnia mojego uczucia. Ale kiedyś zmieni zdanie. Któregoś dnia Jack się opamięta, a kiedy to się stanie, będę przygotowana.

David był dla mnie miły dlatego, że uratowałam jego ojca. To wszystko. To znaczy, gdyby one usłyszały, jak mi dokuczał w tej sprawie z ananasem, darowałyby sobie całą gadaninę o *frisson*.

Nieważne. Wyglądało na to, że wszyscy uparli się, żeby zamienić moje życie w piekło; siostry reporterzy koczujący na trawniku, producenci pewnych marek napojów chłodzących, którzy ciągle dostarczali nam do domu skrzynki próbek swoich produktowe moja własna rodzina. Nawet prezydent Stanów Zjednoczonych.

- Czym konkretnie zajmuje się nastoletni ambasador przy ONZ? - zapytała mnie Catherine tego samego dnia.

Stałyśmy w kolejce po lunch. Odkąd pamiętam, każdego powszedniego dnia stoimy w tej kolejce, z wyjątkiem dni nauczyciela, wakacji, świąt państwowych i tego roku, który spędziłam w Afryce.

Ale w przeciwieństwie do poprzednich okazji, dzisiaj wszyscy, którzy stali w pobliżu, gapili się na mnie i rozmawiali przyciszonymi, pełnymi szacunku głosami. Jedna szczególnie nieśmiała pierwszoklasistka podeszła do mnie i spytała, czy może dotknąć mojego gipsu.

Och, tak. Nie ma to jak być bohaterką narodową.

Usiłowałam bagatelizować całą sprawę. Naprawdę. Na przykład, otwarcie buntując się przeciw zarządzeniom Lucy, nie wstałam godzinę wcześniej, żeby nakładać sobie na włosy odżywkę dla koni. Nie założyłam też żadnej z nowych par spodni z Banana Republic. Miałam

na sobie moje zwykłe, codzienne, czarne jak noc ciuchy, a włosy w zwykłym, codziennym, kompletnie zwariowanym nieładzie.

Ale i tak wszyscy traktowali mnie inaczej. Na przykład nauczyciele, którzy robili sobie żarty: „Pytam tych, którzy nie jedli wczoraj obiadu w Białym Domu... Czy udało wam się obejrzyć znakomity dokument o Jemenie na PBS?” albo: „Proszę otworzyć książki na stronie dwieście sześćdziesiątej piątej - to jest ci z was, którzy nie złamali sobie ręki, ratując życie prezydentowi”.

Nawet pracownicy stołówki poddali się tej psychozie. Kiedy podeszłam z tacą, pani Krebbetts mrugnęła do mnie konspiracyjnie i ze słowami: „Proszę, kotku” nałożyła mi dodatkowy kawałek placka z masłem fistaszkowym.

W całej historii Liceum imienia Johna Adamsa pani Krebbetts nigdy nie dała nikomu dodatkowego kawałka placka. Wszyscy bali się pani Krebbetts i to nie bez powodu: naraż się jej, a może ci nie dać placka przez cały rok.

A ona dokłada mi kawałek ekstra. Świat, jaki znałam, zawalił się z hukiem.

- No bo taki ambasador coś przecież musi robić. Catherine otrząsnęła się po incydencie z plackiem i poszła za mną do stołu. Tradycyjnie siedzimy przy nim z paroma dziewczynami, które - jak Catherine i ja - pozostają na marginesie popularności. Jesteśmy niczym zmrożona tundra mapie geografii społecznej naszego liceum. Zbyt niechętnie nastawione do establishmentu, żeby działać w samorządzie szkolnym i nie dość wysportowane, żeby się trzymać z ludźmi z drużyny. Albo gramy na jakichś instrumentach, albo należymy do klubu dramatycznego. Albo malujemy tak jak ja. Wszystkie po prostu usiłujemy przetrwać lata szkoły, żeby móc szybko dostać się na studia, gdzie jak słyszałyśmy, żyje się już nieco łatwiej.

- To znaczy, jako nastoletnia ambasadorka przy ONZ, za co odpowiadasz? Czy przynajmniej stoisz na czele jakiegoś komitetu? - Catherine nie chciała odpuścić. - Do spraw młodzieży z całego świata czy coś takiego?

- Nie wiem, Catherine - odpowiedziałam, kiedy zajmowałyśmy miejsca. - Prezydent powiedział mi tylko, że mianuje mnie przedstawicielką Stanów Zjednoczonych, Zakładam, że są też przedstawiciele innych państw. Inaczej, po co to wszystko? Czy ktoś chce dodatkowy kawałek placka?

Nikt nie odpowiedział. To dlatego, że wszyscy przy stole osłupieli, ale nie ze względu na placek. Zamiast na placek, gapili się na Lucy i Jacka, którzy ni stąd, ni zowąd postawili swoje tace na naszym stole.

- Hej - powiedziała Lucy wesoło, jakby codziennie siadała przy stole niepopularnych

dziewczyn. - Jak tam?

- jak zdobyłaś dodatkowy kawałek placka? - Chciał wiedzieć Jack.

Rzecz w tym, że Jack i Lucy nie byli jedynymi z - no wiecie - drugiego końca stołówki, którzy usiedli” przy naszym stole. Ku mojemu zdumieniu, dołączyła do nich połowa drużyny futbolowej i jeszcze kilka cheerleaderek. Widziałam, że ta inwazja kompletnie wytrąciła Catherine z równowagi. Wyglądało to tak, jakby stadko łabędzi nagle przejęło staw dla kaczek. My kaczki nie wiedziałyśmy co mamy ze sobą zrobić w obliczu całego tego piękna.

- Co ty wyprawisz? - szepnęłam do Lucy.

Lucy tylko wzruszyła ramionami, popijając swoją dietetyczną colę.

- Skoro ty nie chciałaś przyjść do nas - odparła - my przyszliśmy do ciebie.

- Hej, Sam! - powiedział Jack, wyjmując pisak z kieszeni czarnego trencza. - Podpisz ci się na gipsie.

- Oooh! - zawołała Debbie Kinley i aż zamachała pomponami z radości. - Ja też! Też chcę się podpisać na jej gipsie!

Odsunęłam ramię poza zasięg tych ataków i powiedziałam:

- Nie, dzięki.

Jack wyglądał na załamanego.

- Miałem zamiar narysować na nim młodego człowieka bez perspektyw - wyjaśnił. - To wszystko.

Młody człowiek bez perspektyw wyglądałby fajnie, musiałam przyznać. Ale jeśli Jack narysowałby coś na moim gipsie, wtedy każdy też by chciał i zaraz cała ta śliczna biel pokryłaby się pstrą mazaniną. Ale gdybym powiedziała, że tylko Jack może coś narysować, wtedy wszyscy odkryliby moją skrywaną miłość do chłopaka siostry.

- Hm, w każdym razie dzięki - powiedziałam. - Ale chcę sama na tym gipsie coś sobie narysować.

Czułam się fatalnie. Tak podle potraktować Jacka! Mimo wszystko był przecież moją bratnią duszą. Chociaż wolałabym, żeby się pośpieszył, zorientował w sytuacji i przestał włączyć z Lucy i jej przygłupimi przyjaciółmi. Bo ci ludzie zachowywali się jak banda idiotów, obrzucając się chipsami i usiłując łapać je w usta. To było obrzydliwe. I irytujące, bo wciąż tręcali stół, utrudniając utrzymanie na nim jedzenia tym z nas, którzy musieli jeść jedną ręką. Rozumiem, że gracze w futbol są bardzo duzi i może nie potrafią nie potrącać stołu, ale mogli w końcu trochę nad sobą panować.

- Hej - powiedziałam, kiedy chips wylądował w sosie jabłkowym na talerzu Catherine.

- Dajcie spokój, ludzie.

Lucy, studiująca w magazynie artykuł o tym, jak mieć idealne uda - które ona, oczywiście, już i tak ma - powiedziała znużonym tonem:

- Jezu! Tylko dlatego, że dostała medal, już myśli, że jest Bóg wie kim.

To było niesprawiedliwe, bo co ja niby miałam zrobić. Pokornie znosić wrzucanie chipsów do sosu jabłkowego? Catherine popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Medal też dostaniesz? Jesteś nastoletnią ambasadorką ONZ i medal też dostaniesz?

Niestety Prezydencki medal za odwagę, dokładnie mówiąc. Ceremonia miała się odbyć w grudniu, kiedy Biały Dom będzie przystrojony na święta i najbardziej fotogeniczny.

Nie zdążyłam jednak odpowiedzieć. A to dlatego, że mój drugi kawałek placka nagle zniknął i zaczął podróżować wzdłuż rzędu futbolistów niczym frisbie w zabawie w gorącego kartofla.

- Możecie oddać mi placek?! - wrzasnęłam, bo zamierzałam dać go Jackowi.

Lucy, oczywiście, nie miała o tyra zielonego pojęcia. Powiedziała tylko:

- Boże, to tylko kawałek placka! Wierz mi, dodatkowe kalorie nie są ci potrzebne.

Uwaga typowa dla Lucy. Już miałam jej odpowiedzieć, ale moją uwagę przykuł aż za bardzo znajomy głos, który rozległ się za moimi plecami.

- Cześć, Samantho.

Odwróciłam się i zobaczyłam Kris Parks - wyglądała jak idealna przewodnicząca klasy (którą zresztą jest), od stóp do głów ubrana w ciuchy od Benettona, łącznie z różowym kaszmirowym sweterkiem, och, jakże nonszalancko zarzuconym na ramiona. Stała i patrzyła na mnie błagalnie.

- Proszę, to zaproszenie na moją imprezę - powiedziała, wręczając mi złożony arkusik.

- Naprawdę liczę, że przyjdiesz. Wiem, że w przeszłości były między nami nieporozumienia, ale bardzo chciałabym, żebyśmy zakopały topór wojenny i zostały przyjaciółkami. Zawsze cię podziwiałam, wiesz o tym, Sam. Ty naprawdę, naprawdę... Hm, pozostajesz wierna swoim przekonaniom. I nie chodzi mi tu o płacenie za rysunki. Naprawdę.

Gapiałam się na nią w milczeniu. Nie wierzyłam, że to się rzeczywiście dzieje. Bo przecież, z tego wszystkiego - skrzynek napojów chłodzących, misiów z napisem: Dziękujemy ci, misiaczku!, obiadu w Białym Domu - fakt, że Kris Parks mi się podlizywała, był najdziwniejszy. Zaczynałam rozumieć, jak musiał się czuć Kopciuszek zaraz po tym, kiedy księżę wreszcie ją odnalazł i założył pantofelek na jej stopę. Pewnie siostry przyrodnie podlizywały jej się tak samo, jak Kris Parks mnie.

Rzecz w tym, że tak jak Kopciuszek, nie miałam serca powiedzieć Kris, dokąd może

sobie pójść. A powinnam. Wiem, że powinnam.

Pomyślałam jednak: czemu to ma służyć? Przyznaję, traktowała mnie wrednie przez całe moje życie, ale jeśli teraz jej za to odpłacę, to czy ona się czegoś nauczy? Przecież nie zna niczego poza wrednością.

Wyrozumiałość. Oto czego potrzebowała Kris Parks. I kogoś, z kogo będzie mogła brać przykład.

- Nie wiem sama - odpowiedziałam, wsuwając zaproszenie do kieszeni plecaka, zamiast posłuchać instynktu i wyrzucić je do najbliższego kosza na śmieci. - Muszę się zastanowić.

Miałam jak w banku, że Lucy wszystko zepsuje. Bez podnoszenia wzroku znad magazynu powiedziała:

- Przyjdzie.

Kris Parks aż zapało dech w piersiach.

- Naprawdę przyjdiesz? Cudownie!

- Właściwie - odparłam, rzucając Lucy spojrzenie, którego nie dostrzegła, bo czytała artykuł o prawidłowym usuwaniu skórek przy paznokciach - nie jestem pewna, czy będę mogła pójść.

- Oczywiście, że będziesz mogła - odparła Lucy, przewracając stronę. - Ty, David, Jack i ja możemy iść razem.

- David? - powtórzyłam jak echo. - Kto mówi o...

- Ja uważam, że to po prostu słodkie - powiedziała Kris i westchnęła. - Ty i syn prezydenta! Kiedy Lucy mi powiedziała, myślałam, że po prostu umrę.

- Kiedy Lucy powiedziała ci co?

- No, że wy dwoje chodźcie ze sobą, oczywiście - odparła Kris trochę zaskoczona.

Naprawdę, w tym momencie mogłabym Lucy zabić. Trzeba było zobaczyć, co się stało, kiedy Kris wypowiedziała te słowa. Catherine, która ogryzała udko kurczaka, patrząc jak cały ten dramat w miniaturze rozwija się przed jej oczami, upuściła kurczaka na kolana. Cheerleaderki przestały plotkować, odwróciły się i zaczęły gapić na mnie, jakbym była nowym rodzajem opalizującego lakieru do paznokci. Nawet Jack, który przed chwilą zabrał się za mój kawałek placka, zastygł z ciastkiem w pół drogi do ust i powiedział:

- Kurka, nie gadaj.

To wszystko stawało się naprawdę upierdliwe.

- Racja - powiedziałam. - Jack ma absolutną rację. Nie ma mowy. Nie chodzę z nim. Dobra? Nie chodzę z synem prezydenta.

Ale Kris plotła dalej:

- Nie martw się, Sam, jestem uosobieniem dyskrecji. Nie powiem nikomu ani słowa. Ale jak myślisz, reporterzy też się pokażą? To znaczy, na mojej imprezie? Bo jeśli ktoś chciałby zrobić ze mną wywiad, to wiesz, nie ma sprawy. Mogą nawet zrobić mi zdjęcie. Jeżeli chcesz, żebym podpisała jakieś zobowiązanie, czy coś...

Podczas całej tej gadki Lucy siedziała jakby nigdy nic, przewracając kartki swojego głupiego pisma. Nie mieściło mi się to w głowie. A mnie się wydawało, że lekcje rysunku to dopust Boży!

- Hej - powiedziała Lucy, wreszcie zauważając, że nie do końca mnie uszczęśliwiła. - Nie obwiniaj mnie. To ty dostałaś kompletnego *frisson* na widok tego faceta.

- Nie lubię Davida - powiedziałam, rzucając okiem na Jacka, żeby się upewnić, czy słucha. - Jasne?

- W porządku - powiedziała Lucy. - Nie dostawaj takiej... Auć! Naprawdę, jeśli ktoś zasługuje na to, żeby go uszczypnąć i powtarzać to w regularnych odstępach czasu, to jest to moja siostra Lucy.

Dziesięć głównych oznak, po których orientujesz się, że stałaś się osobą na topie: 10. Kris Parks zaprasza cię na jedną ze swoich sławnych imprez, na których ludzie całują się po kątach.

9. Na WF - ie trener Donnelly po raz pierwszy w tym roku wybiera cię na kapitana jednego z zespołów, a kiedy przychodzi do kompletowania drużyny, wszyscy wysportowani ludzie wręcz błagają, żebyś wzięła ich do swojego zespołu.

8. Po lunchu wiele dziewczyn z pierwszej klasy pojawia się w nowych czarnych ciuchach, świeżo kupionych w Capie.

7. Czerwone Strzały Adamsa - które występują w przerwach meczów - pytają, czy znasz jakieś składanki musicalowe do wykorzystania w układzie choreograficznym na następny występ taneczny. A kiedy proponujesz im *Pink Elephant The Cherry Poppin' Daddies*, biorą to zupełnie na serio.

6. Na lekcji niemieckiego, kiedy przyznajesz, że nie skończyłaś pracy domowej, ktoś oddaje ci własną.

5. Zaczynasz zauważać, że wiele dziewczyn, które dotąd czesały się tak jak twoja siostra, teraz mierzwi sobie włosy w takie wielkie chmury w kształcie grzyba, które dziwnie przypominają to, co sama masz na głowie.

4. Na korytarzu, zamiast jak do tej pory skrupulatnie unikać patrzenia na ciebie, każdy przechodzący wola:” Cześć, Sam!”

3. Zauważasz swoje imię (obok imienia Katie Holmes) na okładce segregatora chłopaka z pierwszej klasy - ni mniej, ni więcej, tylko otoczone serduszkiem.

2. Cały incydent z panią Krebbetts i plackiem z masłem z orzeszków ziemnych, A oto pierwsza i najważniejsza oznaka, że stałaś się osobą na topie:

1. Na spotkaniu klas drugich na ostatniej przerwie, kiedy doradca do spraw uczniów pyta, na co chcemy przeznaczyć pozostałe na rachunku naszych klas fundusze, podnosisz rękę i mówisz: „Na nowe pędzle i inne materiały dla pracowni plastycznej”. Twój wniosek zyskuje poparcie, jest poddany pod głosowanie... ..i wygrywa.

Wystarczyły dwie godziny, by po całej szkole rozniosło się, że na sobotnią imprezę do Kris Parks przyprowadzę syna prezydenta. Jako swojego chłopaka.

To interesowało ludzi bardziej niż fakt, że uniemożliwiłam zabicie przywódcy naszego narodu, czy to, że zostałam ambasadorem nastolatków przy ONZ. Chociaż cieszyłam się, że nie muszę już bezustannie wysłuchiwać komplementów na temat swojej odwagi - tym bardziej przygnębiających, że naprawdę nie uważałam, żeby to co zrobiłam było odważne - wyprowadzało mnie z równowagi to, że wszyscy, zamiast traktować mnie z szacunkiem, żartowali na temat tego, co mogło - lub nie mogło - zająć między mną a synem prezydenta w Sypialni Lincolna.

- Słuchaj, patrzysz na to ze ziej strony - powiedziała Lucy, kiedy skomentowałam to zjawisko przy kuchennym stole po lekcjach. - Fakt, że między tobą a tym całym Davidem coś jest - i nie szczyp mnie już! - tylko podwyższa twoje już i tak wysokie jak Everest notowania. Sam, teraz ty jesteś nową Dziewczyną na Topie w Liceum imienia Adamsa. Gdybyś tylko zrezygnowała z tej czerni od stóp do głów, mogłabyś zostać wybrana królową balu na zakończenie roku, ot tak!

Lucy pstryknęła palcami, a Manet podbiegł szybciotko, myśląc, że może upuściła na podłogę jakieś upieczone przez Theresę czekoladowe ciasteczko.

- Ale ja nie chcę być królową balu - oznajmi tam. - Ja tylko chcę, żeby wszystko było jak dawniej.

- Pozwolę sobie zgadnąć, że to akurat nie stanie się zbyt szybko - powiedział Jack.

Wskazał ręką na reporterów których aparaty mogliśmy dostrzec ponad płotem otaczającym ogród za domem. Tkwili tam w nadziei, że uda im się zrobić jakieś zdjęcie przez ściany naszego szklanego atrium.

- *Jesu Christo* - jęknęła Theresa i ruszyła do telefonu, by znów zadzwonić na policję.

Oparłam brodę na dłoni i mówiłam dalej:

- Ja po prostu nie wiem, czemu musiałś to wszystkim rozgadać. To przecież tak strasznie mija się z prawdą.

Powiedziałam to bardzo wyraźnie, żeby Jack mnie dobrze usłyszał. To znaczy, chciałam się upewnić, że będzie wiedział, że jestem wolna, w razie gdyby kiedyś miał zmienić zdanie co do Lucy.

- Skąd miałam wiedzieć, jak wygląda prawda? - spytała Lucy niewinnie. - Nie chciałaś



mi powiedzieć, gdzie zniknęliście wczoraj wieczorem.

W głowie mi się nie mieściło, że ona wywleka takie sprawy przy Jacku. Chociaż, biorąc pod uwagę nieświadomość Lucy co do pokrewieństwa dusz łączącego mnie z Jackiem, trudno mieć do niej pretensje.

- Bo to nie twój interes! - zawołałam. - Czy ty mi mówisz o wszystkim, co robicie razem z Jackiem?

- Ha! - Lucy dziabnęła mnie wskazującym palcem ze zwycięską miną. - Wiedziałam! Wiec wy dwoje jednak chodźcie ze sobą!

- Nie chodzimy - zaprotestowałam. - Wcale tego nie powiedziałam.

- Owszem, powiedziałaś. Właśnie się do tego przyznałaś. Powiedziałaś: „Czy ty mi mówisz o wszystkim, co robicie z Jackiem?”, co musi znaczyć, że ty i David chodźcie ze sobą, tak jak ja i Jack.

- Nie, wcale nie. To nie znaczy...

Szczegółowe i dokładne wyjaśnienia przerwała mi jednak Theresa, która skończyła rozmawiać z policją, a potem poszła odebrać przesyłkę doręczoną przez posłańca.

- Dla ciebie - powiedziała, kładąc przede mną kopertę. - Z Białego Domu, powiedział ten człowiek.

Wszyscy popatrzyliśmy na kopertę.

- Widzisz - powiedziała Lucy. - To od Davida. Mówiłam ci, że ze sobą chodźcie.

- To nie od Davida - sprostowałam, otwierając przesyłkę. - I nie chodzimy.

Koperta zawierała pakiet informacji na temat mojej nowej funkcji nastoletniej ambasadorki.

Widząc to, Lucy wróciła do lektury magazynu, wyraźnie rozczarowana. Ale Jack ożywił się, czkając ulotki i biuletyny.

- Popatrz na to - powiedział. - Kejl! Organizują międzynarodową wystawę. *Widok z mojego okna*, tak ją nazwali. Na wystawie znajdą się prace nastoletnich artystów z całego świata wykonane za pomocą różnych technik i przedstawiające to, co ludzie codziennie widzą ze swoich okien.

Rebecca, która przy drugim krańcu stołu przeglądała swoje arkusze kalkulacyjne, zapytała:

- A co z nastolatkami, które nie mają okien w pokojach? Na przykład z nastoletnimi istotami pozaziemskimi przetrzymywanymi wbrew swojej woli w Strefie 51 ? Pewnie nie wezmą udziału w konkursie, dobrze myślę? I to jest niby w porządku?

Jak zwykle, wszyscy ją zignorowali.

- Hej - powiedział Jack, ożywiając się coraz bardziej. Wszystko, co ma związek ze sztuką, wywołuje u niego ożywienie. - Hej, wezmę udział w tym konkursie. I ty też powinnaś, Sam. Nagrodzone prace, po jednej z każdego kraju, zostaną wystawione w budynku ONZ w maju. To naprawdę poważna wystawa. No i jeszcze Nowy Jork... To znaczy, kiedy wystawisz coś w Nowym Jorku, sukces masz w kieszeni.

Czytałam list, który został dołączony do biuletynu na temat *Widoku z mojego okna*.

- Nie mogę wziąć udziału - powiedziałam, trochę rozczarowana. - Jestem w jury.

- W jury? - ucieszył się Jack. - To świetnie! No więc, ja zgłoszę swoją pracę, ty ją wybierzesz i ani się obejrzę, a szturmem zdobędę artystyczną scenę Nowego Jorku.

Rebecca podniosła głowę znad arkuszy kalkulacyjnych i popatrzyła na Jacka z niedowierzaniem.

- Sam nie wolno tego zrobić - zauważyła. - To byłoby oszustwo!

- Żadne oszustwo - powiedział Jack - skoro mój rysunek będzie najlepszy.

- Tak? A jeśli nie będzie? - Chciała wiedzieć Lucy.

Ona jest najgorszą dziewczyną pud słońcem. Nie widziałam jeszcze, żeby ktoś tak mało wspierał kogoś, kogo rzekomej kocha!

- Będzie najlepszy - powiedział Jack, wzruszając szerokimi ramionami, jakby to załatwiało sprawę.

Jack, oczywiście, miał rację: jego praca na pewno będzie najlepsza. Prace Jacka zawsze są najlepsze. Zwyciężają w każdym konkursie, na jaki je posyła. Ani trochę nie wątpiłam, że następnej jesieni, mimo złych stopni, lekceważenia zajęć nadobowiązkowych i słabej frekwencji, Jack dostanie się na jedną z najlepszych w kraju akademii sztuk pięknych, może do Rhode Island School of Design albo do Parsons czy nawet Yale. Taki był dobry.

I moja opinia nie miała nic wspólnego z tym, że kochałam się w nim do szaleństwa.

Prawie już zdążyłam zapomnieć o tej całej sprawie z Davidem, kiedy tego samego wieczoru zadzwoniła Catherine, przerywając mi zmagania z pracą domową z niemieckiego.

- No i? Idziesz na imprezę do Kris? - zapytała.

- Nie ma mowy.

- Dlaczego?

- Hm. Bo Kris Parks to pomiot szatana - odparłam, nieco zdziwiona. - Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Cisza. Wreszcie, Catherine powiedziała powoli:

- Taaa. Wiem. Ale zawsze chciałam iść do niej na jakąś imprezę. Nie wierzyłam własnym uszom. Odjęłam słuchawkę od ucha i wpatrywałam się w nią przez kilka sekund,

zanim spytałam:

- Cath, co ty wygadujesz? Po tym, jak cię traktowała?

- Wiem - powiedziała Catherine nieszczęśliwym tonem. - Ale wszyscy zawsze potem opowiadają, że na imprezie u Kris było świetnie. Sama nie wiem... Ona mnie też dała zaproszenie. I zastanawiałam się właśnie, czy nie pójść. To znaczy jeżeli ty też pójdziesz.

- Ja nie idę - stwierdziłam. - Nawet Larry Wayne Rogers nie zmusiłby mnie, żebym tam poszła. Nawet gdyby groził, że puści mi *Uptown Girl* pięćdziesiąt milionów razy i że złamie mi obie ręce.

Na chwilę zapadło milczenie. A potem Catherine powiedziała rzecz zadziwiającą:

- No cóż, właściwie to ja chcę tam pójść. Odjęło mi mowę, Gdyby Catherine powiedziała, że ma zamiar ogolić głowę i dołączyć do ruchu Hare Krishna, nie byłabym bardziej zdziwiona.

- Ty chcesz iść na imprezę do Kris Parks? - powiedziałam tak głośno, że Manet, który spał na moim łóżku obudził się i rozejrzał wkoło, przestraszony. - Catherine, czyś ty znów używała tych markerów o zapachu owocowym? Bo chyba ci już mówiłam, że nimi się można...

- Sam, mówię poważnie - powiedziała, a głosik miała bardzo cichutki. - My nigdy nie robimy tego, co inni.

- To nieprawda - zaprotestowałam. - Zaledwie miesiąc temu byliśmy na przedstawieniu *Mewy* w Klubie Dramatycznym.

- Sam, byliśmy chyba jedynymi osobami na widowni w żaden sposób niespokrewnionymi z ludźmi występującymi na scenie. Ja po prostu chcę raz w życiu zobaczyć, jak to jest, no wiesz, być dziewczyną na topie. Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś?

- Cath, ja to już wiem. Mieszkam z jedną z nich, pamiętasz? Żadna radocha. W grę wchodzi masa roboty przy włosach.

Catherine mówiła dalej:

- Taka szansa może się już nie powtórzyć, wiesz?

- Cath - powiedziałam - Kris Parks była wobec ciebie wredna, odkąd ją znasz, a teraz chcesz iść do niej do domu? Wybacz, ale to po prostu...

- Sam - przerwała mi Catherine, wciąż cichutko. - Poznałam chłopaka.

Omam nie upuściłam słuchawki.

- Co? Co poznałaś?

- Chłopaka. - Catherine zaczęła mówić bardzo szybko, jakby się bała, że jeśli nie

wyrzuci tego z siebie od razu, to już nigdy tego głośno nie powie. - Nie znasz go. Nie chodzi do Adamsa. Chodzi do Phillips Academy. Ma na imię Paul. Moi rodzice znają jego rodziców z kościoła. On zawsze jest w salonie gier, kiedy przychodzę tam z braćmi. Jest naprawdę miły. Ma wysokie wyniki w *Śmiertelnej burzy*.

Chyba doznałam szoku, bo udało mi się wykrztusić jedynie:

- Ale... ale co z Heathem?

- Sam, muszę spojrzeć prawdzie w oczy, jeśli chodzi o Heatha - stwierdziła Catherine, głosem tak dzielnym, jak nigdy przedtem.

- Nawet gdybym kiedykolwiek go poznała, za żadne skarby nie zgodzi się chodzić z uczennicą liceum. Poza tym on na ogół mieszka w Australii. Kiedy będę mogła pojechać do Australii? Mama i tata niechętnie puszczają mnie samą do centrum handlowego. Nadal byłam w szoku.

- Ale pozwolą ci chodzić z tym całym Paulem?

- Właściwie Paul jeszcze mnie nie zaprosił na randkę. Chyba jest nieśmiały. Dlatego pomyślałam sobie, że sama go zaproszę. No wiesz. Na imprezę do Kris.

Nie mogłam się w tym dopatrzeć żadnego logicznego związku.

- Cath, dlaczego nie pójdziesz z nim do kina? Dlaczego musisz go zabierać akurat na imprezę do Kris?

- Bo Paul zna mnie tylko z kościoła - odparła Catherine. - I z salonu gier. On nie wie, że nie należę do ludzi na topie. Myśli, że jestem luzacka.

Niezupełnie wiedziałam, jak mam jej to powiedzieć, ale stwierdziłam, że jakoś muszę. Od tego w końcu są najbliżsi przyjaciele.

- Ale Cath - powiedziałam - on się przecież zorientuje, że nie należysz do ludzi na topie w tej samej chwili, w której przekroczycie próg domu Kris Parks, a ona cię publicznie przywita jedną z tych swoich uwag.

- Nie zrobi tego - powiedziała Catherine tonem bardziej pewnym niż kiedykolwiek.

- Nie? - Byłam zdziwiona. - Czy ty wiesz o Kris coś, czego ja nie wiem? Przeżyła religijne objawienie, czy co?

- Nie powie mi nic przykrego, jeżeli ty tam będziesz - oznajmiła Catherine. - I zabierzesz Davida.

Wybuchnęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać.

- Davida? - zawołałam. - Cath, ja nie idę do Kris Parks, a nawet gdybym tam szła, nie zabrałabym Davida. To znaczy, ja go nawet nie lubię. Wiesz, że nie. Wiesz, kogo lubię.

Nie mogłam jednak powiedzieć głośno kogo, na wypadek, gdyby Lucy podsłuchiwała

ze swojego aparatu, co często jej się zdarza, zanim wtrąci się i zacznie narzekać, że gadam już za długo, a ona musi zadzwonić.

Zresztą nie musiałam wymieniać imienia, bo Catherine wiedziała, o kim mówię.

- Wiem, Sam - powiedziała. Głos znów miała cichutki. - Tylko... no cóż, myślałam... To znaczy, jak się nad tym zastanowisz, on jest dla ciebie trochę tak jak Heath dla mnie, wiesz? To znaczy Jack. To znaczy, nie mieszka w Australii, ale...

...szanse na to, że go kiedyś zdobędę, są mniej więcej zerowe. Nie musiała tego mówić. Sama to wiedziałam.

Ale Catherine myliła się. Bo któregoś dnia zdobędę Jacka. Na pewno. Jeśli tylko będę cierpliwa i dobrze to rozegram, pewnego dnia on rozejrzy się wokół siebie i zrozumie, że jestem - że zawsze byłam - idealną dziewczyną dla niego.

To wyłącznie kwestia czasu.

Dziesięć oznak, że Jack kocha mnie, a nie Lucy i tylko jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy: 10. Ile razy mnie widzi, pyta, czy czytałam już ostatni numer „Art in America”. Nigdy nie pyta Lucy, czy go czytała, bo wie, że ona przegląda wyłącznie rozdziały *Star Trek* w niedzielnym dodatku magazynu „Parade”.

9. Wypalił dla mnie płytkę CD. Co prawda, były na niej wyłącznie głosy wielorybów (Jack lubi ich słuchać, kiedy maluje), ale sam fakt, że zadał sobie tyle trudu, wskazuje, że pragnie, abyśmy nawiązali duchowe porozumienie.

8. Zapłacił za mojego podwójnego hamburgera w centrum handlowym, kiedy zapomniałam portmonetki.

7. Kiedy wszyscy razem poszliśmy obejrzeć film o Harrym Potterze, pozwolił mi wyjąć wszystkie żółte żelki ze swojej paczki. (Chociaż, w zasadzie, Jack jest przeciwny komercjalizacji bohaterów książek dla dzieci. Poszedł z nami na *Harry'ego Pottera* tylko dlatego, że w sąsiednim kinie nie było już biletów na film z Jackie Chanem).

6. Raz powiedział, że mam fajne spodnie.

5. Narzeka, że Lucy za długo robi sobie makijaż. Powiedział mi, że woli, kiedy dziewczyna się nie maluje. Hm, no ja się nie maluję. To znaczy, pomijając korektor. I tusz do rzęs. I błyszczyk. Ale poza tym, w ogóle nie robię sobie makijażu.

4. Kiedy wyłożyłam mu swoją teorię o tym, że wszyscy leworęczni byli kiedyś jednymi z pary bliźniaków, powiedział, że to sensowne. On też jest leworęczny i zawsze miał w tym świecie poczucie osamotnienia. Teoria Rebecki - mówiąca, że wszyscy pochodzimy od rasy istot pozaziemskich, które miały awaryjne lądowanie na naszej planecie i straciły całą swoją technologiczną przewagę w rezultacie gwałtownego pożaru statku - matki - nie robi na

nim specjalnego wrażenia. A teoria Lucy - że pan pibb i dr. pepper to ten sam napój tylko w innym opakowaniu - w ogóle go nie rusza.

3. Kiedy Klub Dramatyczny potrzebował ochotników cło pomalowania scenografii do przedstawienia *Hello, Dolly*, zgłosiliśmy się oboje, a potem skończyło się na tym, że malowaliśmy tę samą lampę uliczną z dykty (on malował całość, ja zrobiłam wykończenia). Jeśli to nie jest kismet, to ja już nic nie wiem.

2. Jack jest Wagą. Ja jestem Wodnikiem. Wagi i Wodniki znane są z tego, że świetnie im się układa. Lucy jest spod znaku Ryb, więc naprawdę powinna chodzić z jakimś Bykiem albo Koziorożcem. A oto najważniejsza oznaka, że Jack kocha mnie, tylko jeszcze o tym nie wie:

1. *Podziemny krąg* to również jego ulubiona książka. Tuż po *Paragrafie 22* i *Zen i sztuka oporządzania motocykla*.

We wtorek, kiedy Theresa odwiozła mnie na róg R i Connecticut, po przeciwnej stronie Kościoła Scjentologicznego nawet nie było widać Capitol Cookies. Ani Statie.

To dlatego, że na rogu stało aż tylu reporterów, którzy chcieli poprosić mnie o wywiad, kiedy będę wychodziła od Susan Boone.

Nawet mnie nie pytajcie, skąd wiedzieli, w jakich godzinach mam lekcje rysunku. Pewnie zorientowali się, kiedy ma je David, a wiedzieli, że on i ja jesteśmy w tej samej grupie (było o tym w gazetach, kiedy wyjaśniano, jak to się stało, że znalazłam się na tym samym rogu co Larry Wayne Rogers i prezydent).

Nieważne. To naprawdę nie miało znaczenia, skąd wiedzieli. W gruncie rzeczy nie powinnam się dziwić. To znaczy, oni byli wszędzie, ci reporterzy. Przed naszym domem. Przed szkołą. Przed Bishop's Garden, kiedy popełniłam błąd i wzięłam tam Maneta na spacer. Przed wypożyczalnią kaset wideo, na litość boską, gdzie prawie otoczyli mnie i Rebecca któregoś dnia, kiedy poszliśmy zwrócić jej ulubiony film. *Bliskie spotkania trzeciego stopnia*.

A chociaż w pełni rozumiem, że oni mają w pracy jakieś terminy i potrzebują tematu, za żadne skarby nie mogłam pojąć, czemu ten temat miałby dotyczyć mnie, ja przecież tylko uratowałam prezydenta. I nie miałam nic ciekawego do powiedzenia.

- Przepraszam! - wrzasnęła Theresa.

Zaparkowała na drugiego (było mało prawdopodobne, że policja odholuje samochód, na którym wisi z dwunastu kamerzystów) i osłaniając mnie swoim płaszczem od deszczu we wzór lamparciego futra, pracując łokciami i używając torebki w charakterze tarana, podbiegła ze mną do drzwi studio.

- Samantha! - wrzeszczeli reporterzy, kiedy przeciskałyśmy się przez ich tłum. - Jak się czujesz, wiedząc, że Larry Wayne Rogers został uznany za niepoczytalnego i niezdolnego, by stanąć przed sadem?

- Samantha! - darł się któryś. - Ameryka chce wiedzieć: cola czy pepsi?

- Samantha! - krzyczał trzeci. - Do jakiej partii politycznej należą twoi rodzice?

- *Jesu Christo!* - wrzasnęła Theresa na kogoś, kto popełnił ten błąd i stojakiem do mikrofonu zaczął o jej torbę. - Ręce, precz od mojej torby! To Louis Vuitton, ty baranie!

W końcu dotarliśmy do klatki schodowej wiodącej do pracowni Susan Boone...

...i prawie wpadłyśmy na Davida i Johna, którzy najwyraźniej zjawili się tam chwilę przed nami, chociaż nie zauważyłam ich w tłumie.

Theresa tak się wściekła, że ktoś dotknął jej torebki, że przez całą minutę nie była w stanie wydusić z siebie nic poza stekiem hiszpańskich przekleństw. John, agent służb specjalnych przydzielony Davidowi, usiłował ją uspokoić, mówiąc, że zadzwonił po posiłki i jakiś policjant odprowadzi ją do samochodu. I że kiedy my będziemy stąd wychodzili, reporterów powstrzymają rozstawione barierki.

Popatrzyłam na Davida i zauważyłam, że się uśmiecha tym swoim tajemniczym nikłym uśmieszkiem. Dzisiaj miał na sobie koszulkę z Blink 182 pod brązową zamszową kurtką, co wskazywało, że jego gust muzyczny nie jest tak wysublimowany jak mój.

Koszulka była czarna, co podkreślało zieleń jego oczu. A może to oświetlenie na klatce schodowej?

- Cześć - powiedział David, a jego tajemniczy uśmiech trochę się poszerzył.

Nie wiem czemu, ale coś w tym uśmiechu sprawiło, że serce zabiło mi szybciej.

Chociaż nie wiem, jak to możliwe, bo ja przecież nie lubię Davida. Lubię Jacka.

Potem, z jakiegoś powodu, przypomniała mi się Rebecca i to jej głupie *frisson*. Co to jest? - zastanawiałam się. Czy *frisson* występuje wtedy, kiedy na widok uśmiechu jakiegoś faceta twoje serce zaczyna się dziwnie zachowywać?

Mogłam tylko powiedzieć, że cieszyłam się, że David nie chodzi do mojej szkoły i nie musi słuchać tych wszystkich uwag o Sypialni Lincolna. Wystarczy, że czuję *frisson* do faceta. Ostatnia rzecz, o której powinien wiedzieć, to to, że chyba cała moja szkoła doskonale o tym wie.

Sama myśl, że mogłabym odczuwać *frisson* w stosunku do kogokolwiek oprócz Jacka, wprawiła mnie w naprawdę paskudny humor.

A może to przez tych wszystkich reporterów? W każdym razie, zamiast powiedzieć Davidowi cześć, zapytałam:

- Czy to wszystko ci nie przeszkadza? Machnęłam gipsem w stronę reporterów.

- To znaczy, to jest wręcz przerażające, a ty się uśmiechasz.

- Myślisz, że prasa jest przerażająca? - spytał. Teraz już się nie uśmiechał. Śmiał się. - Czy to nie ty jesteś tą dziewczyną, która wskoczyła na plecy szaleńca trzymającego pistolet?

Zamrugłam nerwowo. Nie mogłam nie zauważyć, że roześmiany David wygląda jeszcze lepiej, niż kiedy się tylko uśmiecha. Szybko jednak stłumiłam te myśli i powiedziałam rzeczowo:

- To nie było przerażające. To było coś, co po prostu musiałam zrobić. Ty też byś się tak zachował na moim miejscu.

- Nie wiem - odparł David w zamyśleniu.



I wtedy nadjechała policyjna eskorta po Theresę. Kiedy otworzyła drzwi, żeby wyjść, szansa na jakąkolwiek rozmowę na klatce schodowej utonęła w krzykach reporterów, John sprawnie zagonił nas na górę jak stadko gęsi, a tam wszystko było jak dawniej. Jedyna dostrzegalna różnica polegała na tym, że ze stołu zniknęły owoce. Zamiast nich leżało samotne białe jajko. Pomyślałam, że może Susan Boone zapomniała zjeść lunch, albo że Joseph tak naprawdę nazywał się Josephine, tylko nikt nie pofatygował się, żeby mi o tym powiedzieć.

- No więc - zagał David, kiedy usiedliśmy w ławkach i szykowaliśmy bloki rysunkowe i resztę przyborów. - Co to dzisiaj będzie? Znow jakiś ananas? A może spróbujesz czegoś bardziej odpowiedniego dla tej pory roku... Na przykład dyni?

- A może już byś się zamknął? - rzuciłam cicho, żeby nie usłyszał mnie nikt inny.

Nie mogłam uwierzyć, że przeżywam *frisson* z facetem, który ciągle mi dokucza.

- Och, przepraszam - mruknął David, ale wcale nie wyglądał na bardzo skruszony. - Zapomniałem, że jesteś wrażliwą artystką i tak dalej.

- To, że nie mam ochoty pozwolić na stłamszenie moich twórczych impulsów jakiejś artystycznej dyktatorce, nie znaczy że jestem nadwrażliwa - rzuciłam, patrząc na Susan Boone, która podeszła do zlewu, żeby wypłukać pędzle.

Brwi Davida podjechały do góry - O czym ty mówisz? - zapytał.

- O Susan Boone - odparłam, rzucając mordercze spojrzenie w stronę królowej elfów.

- To całe jej gadanie: rysuj - to - co - widzisz. Przecież to jest oszustwo.

- Oszustwo? - Wreszcie przestał się uśmiechać. Był wyraźnie zdezorientowany. - Jakie oszustwo?

- Bo gdzie byłaby sztuka - odszepnęłam - gdyby Picasso rysował wyłącznie to, co widział?

David zamrugął gwałtownie.

- Picasso naprawdę rysował tak, jak widział - powiedział. - Przez całe lata. Dopiero kiedy opanował umiejętność rysowania wszystkiego, co widział z absolutną precyzją, zdecydował się eksperymentować z linią i przestrzenią.

- Co? - spytałam, gapiąc się na niego tępo. Nie rozumiałam ani słowa z tego, co do mnie mówił. - Posłuchaj, to proste - ciągnął cierpliwie. - Zanim zaczniesz zmieniać reguły, musisz się ich nauczyć. Właśnie to usiłuje wpoić nam Susan. Ona po prostu chce, żebyś najpierw nauczyła się rysować to, co widzisz, zanim przejdziesz do kubizmu albo a nanasizmu czy jakiegokolwiek „izmu”, którym ostatecznie zdecydujesz się zająć.

Teraz ja zaczęłam mrugać nerwowo. To było coś nowego; Jack nigdy nie mówił o

tym, że najpierw musisz poznać reguły, zanim zaczniesz je łamać, A Jack o łamaniu reguł wiedział przecież wszystko. Bo czy nie to zawsze robił, żeby wytknąć ludziom - na przykład swojemu tacie i wszystkim członkom tamtego klubu, i panu Esposito ze szkoły - to, że błądzą?

A potem Susan Boone odeszła od ziewu i klasnęła.

- Dobrze, posłuchajcie - powiedziała. - Na pewno wszyscy już wiecie, że w zeszłym tygodniu po zajęciach było w okolicy małe zamieszanie. - Gertie. Lynn i innym wyrwał się cichy chichot. - Może dla jednych z nas nieco większe niż dla innych. - Susan Boone uśmiechnęła się do mnie znacząco. - Ale teraz znów jesteśmy wszyscy razem, na szczęście nietknięci... no cóż, w większości. Więc zabierzmy się do pracy, dobrze? Widzicie to jajko? - Wskazała na jajko leżące na stoliku przed nami. - Chcę, żebyście wszyscy narysowali to jajko. Ci, którzy nie są przyzwyczajeni do malowania farbami, mogą wykonać rysunek kolorowymi sztyftami lub kredą.

Popatrzyłam na jajko leżące na stole na kawałku białego jedwabiu. Popatrzyłam na garść kolorowych kredek, które Susan Boone położyła na mojej ławce. Nie było tam ani jednej białej kredki.

Westchnęłam i podniosłam rękę.

Co miałam robić? Przecież ta kobieta zmusiła mnie szantażem do powrotu na swoje zajęcia, a teraz, kiedy tu przyszłam, nawet nie dała mi białej kredki... a jednak spodziewała się, że narysuję to, co widzę? Co ona sobie myśli? Jestem jak najbardziej za nauką reguł, zanim zacznę je łamać, ale nie wydaje mi się, żeby takie coś w ogóle mieściło się na liście tych reguł.

- Słucham, Sam - powiedziała Susan, podchodząc do mojej ławki.

- Tak - powiedziałam, opuszczając dłoń. - Nie mam białej kredki.

- Owszem, nie masz - zgodziła się Susan Boone z uśmiechem, zamierzając odejść.

- Niech pani poczeka - poprosiłam świadoma, że David prawdopodobnie nas słyszy.

Wydawał się wprawdzie szalenie zaabsorbowany swoim rysunkiem, który rozpoczął, jak tylko Susan Boone przestała mówić do całej grupy. Ale nigdy nic nie wiadomo.

- Jak ja mam narysować białe jajko leżące na białym materiale, skoro nie mam białej kredki?

Nie chciałam być marudna, ale naprawdę nie wiedziałam, czego chce ode mnie ta Susan Boone. Mam użyć efektu negatywu, czy co? Po prostu umieścić na rysunku cienie, a resztę zostawić białą?

Susan Boone popatrzyła na jajko, a potem powiedziała najbardziej zadziwiajączą rzecz,

jaką zdarzyło mi się usłyszeć, a ostatnio słyszałam całkiem sporo zadziwiających rzeczy z czego rue najmniej zadziwiającą było to, że moja przyjaciółka Catherine ma zamiar zostać jedną z dziewczyn na topie.

- Ja tam nie widzę tu żadnej bieli - stwierdziła łagodnie. Popatrzyłam na nią jak na wariatkę. Jak to? Przecież to jajko i ten kawałek materiału były tak białe jak... no cóż, tak białe jak włosy, które spływały jej na ramiona.

- Hm - odchrząknęłam. - Słucham?

Susan Boone pochyliła się tak, że patrzyła na jajko z tej samej wysokości, co ja.

- Pamiętaj, co ci powiedziałam, Sam - powiedziała. - Rysuj to, co widzisz, nie to, co już wiesz. Wiesz, że przed tobą leży białe jajko na białym materiale, Ale czy naprawdę widzisz tam coś białego? A może zauważasz różowe odbicie światła słońca padającego z okna? Albo niebieskie i fioletowe cienie pod jajkiem? Żółtą barwę górnego oświetlenia, tam gdzie się odbija na samym szczycie jajka? Nieznacznie zieloną tam, gdzie jedwab przykrywa stół? To są kolory, które ja widzę. Żadnej bieli. Ani odrobiny.

Nie wydawało mi się, żeby w jakimkolwiek punkcie tej przemowy kryła się najmniejsza choć próba stłamszenia mojej wrodzonej kreatywności i stylu. Musisz poznać reguły, twierdził David, zanim zaczniesz je łamać. Susan Boone naprawdę próbowała sprawić, że coś dostrzegę.

No więc patrzyłam. Patrzyłam wytrwale. Uważniej niż patrzyłam kiedykolwiek przedtem na cokolwiek. Naprawdę.

I zobaczyłam.

Wiem, że to brzmi głupio, bo przecież zawsze widziałam. Mam doskonały wzrok.

Ale nagle, zobaczyłam.

Purpurowy cień pod jajkiem.

Różowe promienie słońca wpadające przez okno.

Zobaczyłam nawet na czubku jajka mały żółty półksiężyc światła odbitego od lampy.

Szybko chwyciłam pierwszą z brzegu kredkę i zaczęłam szkicować.

Właśnie to lubię w rysowaniu.

Kiedy rysujesz, czujesz się tak, jakby cały otaczający cię świat zniknął. Jesteś tylko ty, kartka i ołówek, i może jakaś cicha klasyczna muzyka w tle. Chociaż właściwie jej nie słyszysz, bo jesteś tak zaabsorbowana tym, co robisz. Kiedy rysujesz, nie jesteś świadoma upływu czasu, ani tego, co się dzieje dokoła. Kiedy rysunek naprawdę dobrze ci wychodzi, możesz do niego usiąść o pierwszej i nie podnieść oczu aż do piątej i nie mieć nawet pojęcia, że upłynęło aż tyle czasu, dopóki ktoś ci o tym nie powie.

Naprawdę, nie znalazłam na świecie niczego, co by się mogło z tym równać. Oglądanie filmów? Czytanie? Nie bardzo. Chyba że historia jest naprawdę, naprawdę ciekawa. A takich jest niewiele. Kiedy rysujesz, jesteś w swoim własnym świecie, w świecie swojej kreacji.

I nie ma lepszego świata.

To dlatego, kiedy jesteś tak bardzo pochłonięta rysowaniem i nagle zdarza się coś, co cię z tego świata wyrzywa, jest to sto razy bardziej denerwujące niż wtedy; kiedy odrabiasz geometrię, a twoja siostra wpada do twojego pokoju i pyta, czy może pożyczyć jakąś spinkę do włosów. Uważam, że kiedy rysujesz, a ktoś robi ci coś takiego, morderstwo może być jak najbardziej usprawiedliwione.

Oczywiście, jeżeli tą osobą jest wielki czarny kruk. można rzuć się całkiem rozgrzeszonym.

- Krrraaa! - „wrzasnął mi do ucha kruk Joe, wyrrywając mi z sześć włosów z czubka głowy i odleciał, turkocząc głośno skrzydłami.

Wrzasnęłam.

Nic nie mogłam na to poradzić. Byłam tak pochłonięta rysowaniem, że nie zauważyłam, jak się do mnie zbliża. Wrzasnęłam nie tyle dlatego, że to, co zrobił mnie zabolalo - chociaż zabolalo - ale dlatego, że się tego nie spodziewałam.

- Joseph! - zawołała Susan Boone, klaszcząc w dłonie. - Niedobry ptak! Niedobry ptak!

Joe umknął w bezpieczne rejony swojej klatki, gdzie upuścił moje włosy i wydal z siebie triumfalne:

- Dobry ptak!

- Nie jesteś dobrym ptakiem! - poprawiła go Susan, jakby mógł ja zrozumieć. - Jesteś bardzo niedobrym ptakiem! - A potem odwróciła się i powiedziała do mnie: - Och, Samantha. Tak mi przykro. Nic ci nie jest?

Dotknęłam gołego miejsca na głowie. Rozejrzałam się przy tym po pokoju i coś zauważyłam: zmieniło się światło. Nie było już różowe. Słońce zaszło. Było już po piątej. A mnie się wydawało, że odkąd zaczęłam rysować, upłynęły zaledwie minuty, a nie dwie godziny...

- Zapomniałam zamknąć go w klatce - usprawiedliwiała się Susan. - Będę musiała pamiętać, żeby to zrobić następnym razem. Nie mam pojęcia, dlaczego on tak wariuje na punkcie twoich włosów. To znaczy, mają bardzo żywy kolor, ale...

Mniej więcej wtedy zauważyłam, że ławka stojąca obok mnie się trzęsie. Pomyślałam,

że David dostał jakiegoś ataku. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że to nie atak. On skręcał się ze śmiechu.

Napotkał mój wzrok i wykrztusił:

- Przepraszam! Przysięgam, przepraszam! Ale żebyś widziała swoją minę, kiedy ten ptak wylądował ci na głowie...

Jak każdy człowiek potrafię śmiać się z dobrego żartu, ale tak się złożyło, że w tym nie widziałam nic śmiesznego. To boli, kiedy ktoś - lub coś - wrywa ci włosy. Może nie tak bardzo jak złamany nadgarstek, ale zawsze.

David, którego ramiona - nie tak szerokie jak Jacka, ale jeśli chodzi o szerokość męskich ramion niezaprzeczalnie imponujące - nadal się trzęsły ze śmiechu, powiedział:

- Daj spokój. No, sama przyznaj, to było śmieszne. Oczywiście, miał rację. To było śmieszne.

Zanim miałam jednak szansę to powiedzieć, Susan Boone stanęła obok mnie i popatrzyła na mój rysunek. Spojrzałam i ja. Oczywiście, patrzyłam na niego przez całe popołudnie, ale to była dla mnie pierwsza okazja, żeby się zastanowić i naprawdę przyjrzeć temu, co zrobiłam.

I nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Zobaczyłam białe jajko. Leżące na kawałku białego jedwabiu. Wyglądało dokładnie tak, jak białe jajko i biały jedwab, które miałam przed sobą.

A nie użyłam ani odrobiny bieli.

- Widzisz - powiedziała Susan Boone, nie kryjąc satysfakcji. - Załapałaś, o co chodzi. Wiedziałam, że ci się uda.

Potem z roztargnieniem poklepała mnie po głowie, dokładnie w miejscu, z którego kruk wyrwał mi włosy.

Nie zabolalo mnie jednak. Wcale. Bo wiedziałam, że Susan Boone ma rację: załapałam, o co chodzi.

Zaczęłam wreszcie naprawdę widzieć.

Dziesięć głównych obowiązków nastoletniej ambasadorki Stanów Zjednoczonych przy ONZ, według Samantha Madison: 10. Siedzieć w biurze sekretarza prasowego Białego Domu i słuchać, jak się rozplywa nad tym, jak wysoko skoczyły wskaźniki popularności prezydenta w opinii publicznej po nieudanej próbie zamachu na jego życie.

9. Słuchać również, jak sekretarz prasowy jęczy, że miasto skarży się na wszystkie te oddziały policji, które musi delegować do mojego domu, żeby utrzymać z dala od niego prasę, i jak tłumaczy, dlaczego nie mogę tak po prostu wziąć udziału w *Dateline* albo *60*

*minut* i udzielić im wywiadu. Przecież kiedy pokażą go już milion razy, wszystkim się znudzę i dadzą mi święty spokój. Tak. Zupełnie jakbym miała do powiedzenia coś interesującego.

8. Robić kserokopie zasad organizacji i regulaminu międzynarodowej wystawy *Widok z mojego okna* dla wszystkich znajomych artystów, których mam w liczbie: jeden, to znaczy dla chłopaka mojej siostry i mojej bratniej duszy. Jacka Rydera.

7. Podpisywać własne fotografie dla wszystkich dzieciaków, które piszą i o nie proszą. Chociaż dlaczego ktoś chce powiesić sobie moje zdjęcie w swoim pokoju pozostanie dla mnie nieodgadniona tajemnicą.

6. Czytać pocztę od fanów (po tym, jak została prześwietlona i sprawdzona na obecność żyletek i materiałów wybuchowych). Ogromna część populacji zdaje się odczuwać potrzebę napisania do mnie i opowiedzenia mi o tym, że uważa mnie za bardzo dzielną osobę. Niektórzy z tych ludzi przesyłają mi pieniądze. Niestety, te pieniądze są natychmiast przelewane na fundusz powierniczy, który ma sfinansować moje studia, więc jest mało prawdopodobne, żebym mogła kupić sobie za nie jakieś kompakty. Podobno dostaję również sporo listów od zбочeńców, ale nawet nie dają mi na nie popatrzeć. Sekretarz prasowy trzyma je w specjalnej teczce i nie pozwala mi ich zabrać do szkoły i pokazać Catherine.

5. Mimo że siedziba ONZ znajduje się w Nowym Jorku, nikt nie okazał ani cienia ochoty, żeby mnie tam zabrać. To znaczy, do Nowego Jorku. Najwyraźniej wizyta w siedzibie ONZ nie należy do dziesięciu głównych obowiązków ambasadorki przy tej organizacji. 4. Uderzanie piłką o ścianę biura sekretarza prasowego pomaga wprowadzić czas, który muszę tam spędzać (to znaczy na razie każde środowe popołudnie), technicznie rzecz biorąc, nie należy jednak do obowiązków nastoletniej ambasadorki przy ONZ i w efekcie tylko rozwściecza sekretarza prasowego i jego podwładnych, którzy zabierają mi piłkę i oświadczają, że mogą ją sobie odebrać, kiedy moja kadencja nastoletniej ambasadorki dobiegnie końca. Najwyraźniej nie zdają sobie sprawy że Laką piłkę można kupić na każdym rogu i to za mniej niż jednego dolara. 3. Nastoletnie ambasadorki przy ONZ nie są zachęcane do tego, żeby się kręcić po koniarzach Białego Domu, niezależnie od tego, jak dobrze są zaznajomione z ich rozkładem, ponieważ mogłyby niechętnie, sprawdzając, czy na ścianach Sali Złotej nie wisi portret Dolley Madison, trafić na jakąś pokojową konferencję na szczycie.

2. Usilnie zaleca się, żeby nastoletnia ambasadorka przy ONZ nie ubierała się wyłącznie na czarno, ponieważ, zdaniem sekretarza prasowego Białego Domu, opinia publiczna może odnieść fałszywe wrażenie, że nastoletnia ambasadorka Stanów Zjednoczonych jest praktykującą czarownicą. A oto moje najważniejsze zadanie jako nastoletniej ambasadorki Stanów Zjednoczonych przy ONZ, o ile jestem w stanie się

zorientować:

1. Siedzieć cicho. I nie przeszkadzać sekretarzowi prasowemu w pracy.

Zgodził się! Tak przywitała mnie Catherine w szkole w czwartek rano. Dopiero co udało mi się przedrzeć przez tłum chyba ze stu reporterów i przedostać z samochodu do frontowych drzwi szkoły, więc muszę przyznać, że jeszcze dzwoniło mi w uszach od tych wszystkich krzyków („Samantho, co sądzisz o sytuacji na Środkowym Wschodzie?”, „Cola czy pepsi, Samantho?”). Ale byłam w zasadzie pewna, że właśnie to powiedziała Catherine.

- Kto się zgodził? - zapytałam ją, kiedy zaczęła iść ze mną w stronę mojej szalki.

- Paul! - Catherine była niemal urażona, że nie pamiętałam. - Z kościoła! Czy raczej z salonu gier. No, nieważne. Rzecz w tym, że ja go zaprosiłam, a on się zgodził!

- Rany, Cath - powiedziałam. - Spore postępy.

Tylko że wcale tak nie myślałam. I tak, i nie. Pewnie nie było to zbyt ładne z mojej strony i nigdy bym się do tego głośno nie przyznała. Ale fakt faktem, chociaż byłam szczęśliwa, że Catherine umówiła się na randkę, jednocześnie czułam się z tego powodu trochę dziwnie. To znaczy, to co zrobiła - zadzwoniła do chłopaka i go zaprosiła - wydało mi się o wiele odważniejsze niż powstrzymanie zamachowca od zabicia prezydenta. Ja ryzykowałam wyłącznie życiem... Gdybym je straciła, nie byłoby to wcale takie straszne, bo przecież byłabym martwa i byłoby mi wszystko jedno...

Catherine ryzykowała o tyle więcej: swoją dumę.

Rzecz w tym, że sama chyba nigdy nie zebrałabym się na odwagę, żeby zaprosić na randkę chłopaka moich marzeń. To znaczy, po pierwsze, on spotyka się z moją siostrą. A po drugie, no cóż..., A co, gdyby powiedział: „Nie”?

- Czy mogę powiedzieć mamie, że zostanę u was na noc? - spytała Catherine. - To znaczy, ja wiem, że oni lubią Paula, to znaczy moja mama i tata, ale wiesz, ich zdaniem piętnaście lat to jeszcze za wcześnie na randki.

- Jasne - powiedziałam. - Kiedy już będziecie wracać, przychodź do nas. A jeśli chcesz pożyczyć coś z ubrania - no, bo rozumiesz, twoje ciuchy się nie nadają - to przyjdź wcześniej i pozwolimy Lucy cię przebrać. Wiesz, że ona uwielbia takie rzeczy.

Catherine jaśniała. Nigdy nie widziałam, żeby była taka szczęśliwa. Zrobiło mi się tak jakoś przyjemnie. Mimo że byłam zazdrosna, nie mogłam nie cieszyć się jej szczęściem.

- Och, Sam, naprawdę? - zawołała. - To byłoby fantastycznie!

- Będzie fajnie. No więc, co zamierzacie robić? - spytałam. - To znaczy, na Wielkiej Randce?



Catherine popatrzyła na mnie, jakbym oszalała.

- Idziemy na imprezę do Kris, oczywiście - powiedziała. - Kurczę. A myślałaś, że gdzie go zaprosiłam?

W tym momencie wybierałam kombinację cyfr na zamku swojej szafki. Ale kiedy Catherine to powiedziała - to znaczy, że zamierza iść na imprezę do Kris - szyfr (15 - mój wiek, 21 - wiek, jaki chciałabym mieć i 8 - wiek, jakiego już nigdy nie chcę mieć) wyleciały mi z głowy.

- Na imprezę do Kris? - Trzymałam rękę na zamku i patrzyłam na nią. - Zabierasz go na imprezę do Kris?

- Taa... - powiedziała Catherine, ignorując kogoś, kto przechodząc obok nas, zawołał: „Hej, a gdzie twoja motyka?”

- Oczywiście, że go zaprosiłam, Sam - dodała. - Przecież idziemy tam razem. Ty i ja, Paul i David?

- Co?

Teraz zapomniałam już nie tylko szyfru do zamka szafki. Zapomniałam, jaki mam plan lekcji, co jadłam na śniadanie. Wszystko. Ryłam w szoku.

- Catherine, czy ty się czegoś naćpałaś? Nigdy nie mówiłam, że pójde do Kris na imprezę. Natomiast doskonale pamiętam, jak powiedziałam, że Larry Wayne Rogers musiałby mi przystawić pistolet do głowy, zanim bym tam poszła.

Ładna twarz Catherine, która jeszcze przed chwilą jaśniała jak nowiutka moneta jednocentowa, skurczyła się z rozczarowania i - chyba się nie myliłam - z bólu. Tak, prawdziwego bólu.

- Ależ, Sam - zawołała - musisz pójść! Nie mogę iść na imprezę do Kris bez ciebie! Wiesz, Kris zaprosiła mnie tylko dlatego, że myślała, że i ty pójdziesz...

- Tak, a mnie zaprosiła tylko dlatego; że myślała, że przyprowadzę ze sobą bandę reporterów, żeby mogła tę swoją szczerzą gębę pokazać w telewizji. Nie wspominając o tym, że myślała, że przyprowadzę Davida. - Nie mogłam wprost uwierzyć, że Catherine usiłuje wymusić na mnie coś podobnego. Catherine, moja najlepsza przyjaciółka od czwartej klasy podstawówki! - Ale ja tego nie zamierzam zrobić. Bo nie lubię Davida w taki sposób. Pamiętasz?

- Sam, ja nie mogę tam iść bez ciebie - jęknęła Catherine. - Jeśli pokażę się u Kris bez ciebie, ludzie zaczną mnie pytać: „A ty co tu robisz?”

- No cóż, trzeba było o tym pomyśleć - wycedziłam, szarpnięciem otwierając szalkę, bo wreszcie udało mi się przypomnieć sobie szyfr - zanim zaprosiłaś pana Wysoki Wynik w

śmiertelnym oddziale, żeby poszedł z tobą.

- Śmiertelnej burzy - poprawiła mnie Catherine, a jej oczy zalśniły. - I wcale bym go nie zapraszała, gdybym wiedziała, że naprawdę tam nie idziesz.

- Mówiłam, że nie idę. Pamiętasz? A poza tym moja mama i tata położyli na tym szlaban. Nawet Lucy nie może iść.

- Tak - zgodziła się Catherine. - Ale ona i tak pójdzie. Wiesz, jaka jest. Po prostu powie, że idzie gdzie indziej.

- Kurczę - powiedziałam - ale to nie znaczy, że będzie w porządku. Poza tym, ja wciąż stąkam po kruchym lodzie przez to całe cztery mniej z niemieckiego. To znaczy, uratowanie życia prezydentowi trochę pomogło, ale nie wyobrażaj sobie, że zupełnie przestali się mnie czepiać...

- Sam - przerwała mi Catherine, a jej głos zabrzmiał dziwnie, jakby coś jej przeszkadzało mówić. - Nie rozumiesz? To, co zrobiłaś, uratowanie prezydenta, może zupełnie zmienić naszą sytuację.

Rozejrzała się, żeby się upewnić, czy nikt nas nie słucha i wyszeptwała:

- Już nie musimy być wyrzutkami. Mamy szansę zacząć się trzymać z koleżankami Lucy. Nie chcesz tego, Sam? Nie chcesz dowiedzieć się, jak to jest być taką Lucy?

Popatrzyłam na nią jak na wariatkę.

- Cath, ja świetnie wiem, jak to jest być Lucy - stwierdziłam. - W grę wchodzi robienie salt na deszczu podczas meczów futbolowych, oszukiwanie rodziców i rozdzielanie solne rżęs agrafką. - Wyjawszy zeszyty i odwiesiwszy kurtkę, zatrasnęłam drzwiczki szafki. - Przykro mi, ale ja mam o wiele lepsze rzeczy do roboty.

- No tak - powiedziała Catherine. Zauważyłam nareszcie, że jej oczy błyszczały tak bardzo, bo były pełne łez. - Racja. Dobrze ci mówić. Sam, ale co ja mam powiedzieć? To znaczy, taka Kris Parks nigdy nie zastanowiła się nad tym, jaka jest naprawdę dziewczyna, która kryje się pod tymi idiotycznymi ubraniami. - Zmiała palcami spódnicę pionierki z lat podboju prerii. - No cóż Sam, teraz mam swoją szansę. Mogę pokazać im, kim naprawdę jest ta osoba tu, w środku. Może to jedyna okazja, żeby zwrócili na to uwagę. Proszę cię tylko, żebyś mi pomogła.

Patrzyłam na nią w milczeniu. Dzwonek zadzwonił, ale ja nie byłam w stanie się ruszyć.

- Catherine - powiedziałam, mniej zaszokowana jej słowami niż towarzyszącymi im łzami. - Czy ty... To znaczy, ciebie naprawdę obchodzi, co oni myślą?

Otarła łzy ręką obszytego koronką rękawa.

- Tak - odparła. - Tak. Sam. Ja nie jestem taka jak ty. Nie jestem dzielna. Dbam o to, co ludzie o mnie mówią. Dobra? Dbam o to. I proszę cię tylko, żebyś mi dała tę jedną szansę, żeby...

- Dobrze - powiedziałam.

Catherine zamrugała oczami pełnymi łez.

- C - co?

- Dobrze. - Nie byłam szczęśliwa, ale co miałam robić? To była moja najlepsza przyjaciółka. - Pójdę. Dobrze? Jeżeli to tyle dla ciebie znaczy, to pójdę.

Na twarz Catherine powoli wypłynął uśmiech. Jej brązowe oczy znów były pełne ciepła.

- Naprawdę? - Podskoczyła. - Naprawdę, Sam? Mówisz poważnie?

- Tak - odparłam. - Mówię poważnie.

- Och! - Catherine objęła mnie i uściskała radośnie. Potem odsunęła się i powiedziała:

- Nie będziesz żałowała! Będziesz się świetnie bawiła, obiecuję ci to! Pomyśl, Jack przecież przyjdzie!

A potem pobiegła korytarzem, bo była już spóźniona na biologię.

Ja też powinnam była ruszyć biegiem, bo zaczął się niemiecki, ale zamiast tego stałam i zastanawiałam się, w co ja się właśnie pakuję.

Zastanawiałam się jeszcze przez cały dzień i przestałam dopiero, kiedy wreszcie weszłam po południu do pracowni Susan Boone, podeszłam do swojej ławki i zobaczyłam, co na niej leży.

Na mojej ławce leżał wojskowy hełm przyozdobiony stokrotkami z korektora.

- Podoba ci się? - spytał David.

Znów się uśmiechał. I już po raz drugi w ciągu dwóch dni widok tego uśmiechu wywarł na mnie dziwne wrażenie. Wydało mi się, że serce podskoczyło mi w piersi. *Frisson?*

A może burrito, które zjadłam na lunch?

- Pomyślałem, że dziewczyna taka jak ty dokładnie tego potrzebuje - dodał David. - Wiesz, dopóki będziesz bez przerwy atakowana przez kruki albo uzbrojonych zamachowców.

To nie mogło być ztracenie. Za dużo tych zbiegów okoliczności. Serce znów robi mi ten dziwny numer dokładnie w chwili, kiedy David uśmiecha się do mnie. Działo się coś, co wcale mi się nie podobało.

Próbując zignorować moje łopoczące serce, założyłam hełm na głowę. Był o wiele za duży, ale to nie szkodzi, bo miałam przecież masę włosów do schowania.

- Dzięki - powiedziałam, spoglądając spod krawędzi hełmu. Byłam wzruszona,

naprawdę wzruszona, że zadał sobie tyle trudu. To było prawie tak fajne, jak wydrapanie mojego imienia na parapecie okna w Białym Domu. - Jest idealny!

Bo naprawdę hełm był idealny. Trochę później Joe skoczył mi na ramię i przeszkadzał w rysowaniu - rysowaliśmy surową łopatkę wołową, którą Susan przyniosła od rzeźnika, mówiąc nam, że po odnalezieniu kolorów w białym jajku, dzisiaj naszym wyzwaniem będzie narysowanie czegoś, co miało w sobie wszystkie kolory tęczy, ale wciąż zachowywało jednolity kontekst - ale nie miałam mu tego za złe, bo tym razem nic mi nie zrobił. Siedział tylko ze zdziwioną miną, od czasu do czasu postukując dziobem w mój hełm i wydając ciche pytające pogwizdywania.

Wszyscy się śmiali. A David, kiedy się śmiał, wyglądał jeszcze fajniej, niż kiedy się tylko uśmiechał. Wyglądał jak facet, który nie da sobie w kaszę dmuchać, jak facet, który poradzi sobie z setką Kris Parks.

I to jest jedyne wyjaśnienie tego, że tuż przed ustawieniem naszych rysunków na parapecie okna do oceny, zanim się zorientowałam, nachyliłam się do niego i powiedziałam cicho, tak cicho, że bałam się, że może te słowa zagłuszy głośne bicie mojego serca:

- Hej, Davidzie, chcesz iść ze mną na imprezę w sobotę wieczorem?

Zrobił zdziwioną minę. Przez czas jednego uderzenia serca myślałam, że powie: „Nie”. Ale nie zrobił tego. Uśmiechnął się i odparł:

- Jasne. Czemu nie?

Dziesięć głównych powodów, dla których zdecydowałam się zaprosić Davida na sobotnią imprezę do Kris Parks:

10. Całkowite i totalne skretynienie wywołane wdychaniem zbyt dużej ilości terpentyny.

9. Poczucie solidarności z Catherine, która chyba zapadła na ciężki przypadek „syndromu sztokholmskiego”, ponieważ chce sprzymierzyć się z ludźmi, którzy przez całe lata znęcali się nad nią bez litości. Aby tego dokonać gotowa jest ryzykować gniew swoich rodziców, wykradając się potajemnie na imprezę wydawaną przez liderkę wrogiej grupy, z chłopakiem, którego prawie nie zna.

8. Jego oczy.

7. Jego miłe zachowanie tamtego wieczoru w Białym Domu, kiedy opowiedział mi o Dolley Madison. I jeszcze poczęstował mnie hamburgerem. Och, i wydrapał moje imię na parapecie.

6. Bo tak ładnie wyglądał tamtego wieczoru w Białym Domu. Te trochę potargane brązowe włosy, i długie rzęsy, i duże dłonie...

5. David umie rysować. Naprawdę umie. Nie tak dobrze jak Jack, ale prawie tak dobrze jak ja. Może nawet lepiej niż ja, tylko w innym stylu. Poza tym on naprawdę lubi to robić i czuje to samo, co Jack i ja, że to go wciąga tak samo jak nas. Większość ludzi - jak na przykład moja siostra Lucy - nigdy niczego tak nie przeżywa.

4. Hełm w stokrotki.

3. Bo wszędzie musi chodzić ze służbami specjalnymi, a to znaczy, że będą na nas mieli oko dorośli, więc rodzice będą musieli pozwolić mi pójść.

2. Wszyscy już i tak uważają, że ze sobą chodzimy.

A oto najważniejszy - i najbardziej prawdopodobny - powód, dla którego zaprosiłam Davida na imprezę do Kris:

1. Żeby wywołać zazdrość Jacka. Bo jest jak najbardziej możliwe, że widząc mnie z innym chłopakiem, Jack zda sobie sprawę, że jeśli nie zacznie działać szybko, straci mnie, a to może z kolei dodać mu bodźca do przyznania się ostatecznie przed samym sobą, jakimi uczuciami mnie darzy. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Zaczęłam żałować, że zaprosiłam Davida na imprezę u Kris, niemal natychmiast. Nie chodziło mi o to, że nie będziemy się razem dobrze bawili. Poza chwilami, kiedy mi dokuczał, że jestem wrażliwą artystką, David był naprawdę porządnym facetem.

Nie, żałowałam ze względu na reakcje wszystkich, którym o tym powiedziałam.  
Reakcja Numer Jeden, Lucy:

- O mój Boże, to po prostu cudownie! Jesteście taką fajną parą, bo on jest taki wysoki, a ty taka malutka, i oboje macie takie potargane czupryny, i oboje lubicie tę głupią bigbandową muzykę. To będzie naprawdę super. A w co się ubierzesz? Moim zdaniem powinnaś założyć moją czarną skórzaną mini, zielony kaszmirowy sweter z dekoltem w serek, czarne kabaretki i moje czarne skórzane buty do kolan. Do tej mini nie możesz nosić glanów; bo twoje kostki będą grubo wyglądać. Nie twierdzę, że masz grube kostki; one zawsze wyglądają grubo w wojskowych butach i mini. Chociaż kabaretki dla dziewczyny z drugiej klasy, to chyba lekka przesada. Ale kupimy ci parę cienkich prążkowanych rajstop. Będą pasowały. Chcesz spotkać się z resztą dziewczyn z paczki i pójść na zakupy w sobotę przed imprezą?

Reakcja Numer Dwa. Rebecca:

- Ach, widzę, że posiane przeze mnie nasionko *frisson* przyjęło się i wydało pierwszy delikatny kwiatowy pąk.

Reakcja Numer Trzy. Catherine:

- Och Sani, tak bardzo się cieszę! Teraz Paul będzie miał z kim pogadać na imprezie, bo on też, jak David, nikogo nie będzie tam znał. Może on i David mogliby trzymać się razem, kiedy my pokręcimy się wśród ludzi? Bo słyszałam, że na takich imprezach ważne jest, żeby z każdym trochę pogadać. Myślę, że gdyby nam się udało z każdym trochę pogadać, to w przyszłości może dostaniemy zaproszenia na inne imprezy, może nawet do ludzi ze starszych klas, chociaż wiem, że tu chyba oczekuję za dużo. Ale wiesz, gdyby nas zaproszono na jakąś imprezę do ludzi ze starszych klas, to ani byśmy się obejrzały, a byłybyśmy równie popularne, jak Kris.

Reakcja Numer Cztery. Theresa:

- Ty zaprosiłaś jego? Ile razy słyszałaś, panno Samantho, jak mówiłam twojej siostrze, że jeśli uganasz się za chłopakami, nic dobrego ci z tego nie przyjdzie? Popatrz, jak skończyła moja kuzynka Rosa! I lepiej niech cię nie złapię na wydzwanianiu do niego. To on

ma dzwonić do ciebie. I wybij sobie z głowy rozmówki przez Internet. Najlepiej jest być tajemniczą i nieosiągalną. Gdyby Rosa była tajemnicza i nieosiągalna, nie znalazłaby się tam, gdzie jest dzisiaj. A w ogóle, gdzie jest ta impreza? Czy rodzice tej dziewczyny będą w domu? Czy będzie alkohol? Mówię ci, panno Samantho, jeśli przyłapię ciebie albo twoją siostrę na chodzeniu na imprezy z alkoholem, obie będziecie szorowały toalety, póki nie pojedziecie na studia.

Reakcja Numer Pięć. Jack:

- Synek prezydenta? On chyba nie jest ćpunem, prawda? Reakcja Numer Sześć. Rodzice (najgorsze zostawiłam na koniec):

- Och, Sam, ależ to wspaniale! To taki miły chłopiec! Nie moglibyśmy sobie nawet wymarzyć lepszego chłopaka dla ciebie. Gdyby tylko Lucy w wyborze chłopaka wykazała się takim samym rozsądkiem jak ty... O której po ciebie przyjedzie? Och, musimy pamiętać, żeby kupić film do aparatu. Tylko kilka zdjęć, to wszystko. Musimy przecież upamiętnić ten moment. Nasze maleństwo chodzi z takim miłym chłopcem! Dobrze ułożonym. A ty wiesz? On chodzi do Horizon, więc rozumiesz, mieści się w tej jednej setnej procenta najzdolniejszych. W skali kraju. Całego kraju. Któregoś dnia naprawdę do czegoś dojdzie, może nawet pójdzie w ślady ojca i zajmie się polityką. Taki miły sympatyczny chłopiec. Gdyby tylko Lucy mogła znaleźć sobie takiego miłego chłopca, zamiast tego okropnego Jacka...

To było poniżające. No bo już taki mój los, że na pierwszą randkę idę z chłopakiem, którego moi rodzice uwielbiają. Nie dość, że David nie ma żadnych tatuaży (o ile wiem), ani nie jeździ harleyem (znów tylko zgaduje, ale wydaje mi się, że to mało prawdopodobne), to jest synem prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Czy mogło mnie spotkać coś jeszcze bardziej dziwnego? Wiem, że nie można nic poradzić na to, kim są nasi rodzice, ale dajcie spokój. Zamiast syna samotnej matki na zasiłku albo potomka przestępcy z odsiedzianym wyrokiem, który naprawdę doprowadziłby moich rodziców do szalu, kończy się na tym, że umawiam się z chłopakiem, którego rodzice nie tylko nadal są małżeństwem, ale jeszcze do tego najbardziej wpływową parą w kraju.

Życie jest takie niesprawiedliwe.

Próbowałam, jak mogłam rozzłościć ich (to znaczy rodziców), wtrącając dyskretne uwagi o tym, jak to David przyjeżdża po mnie swoim samochodem (oczywiście, to nieprawda; John będzie prowadził, bo David w wieku szesnastu lat nie może jeszcze dostać w Waszyngtonie prawa jazdy). Potem zaznaczyłam, że przed imprezą pojedziemy coś zjeść. Sami (znów nie do końca prawda, skoro będzie tam agent służb specjalnych). Zgodnie z

propozycją Davida rzuconą, kiedy wychodziliśmy od Susan Boone, żebyśmy przed imprezą coś zszamali.

Ale ani mama, ani tata nie złapali przynęty. Jakby uważali, że tylko dlatego, że facet jest Pierwszym Synem, mogą mu z miejsca zaufać! Nawet za milion lat nie puściliby Lucy na imprezę z Jackiem. A w każdym razie bez zrobienia najpierw potężnej awantury. Tym razem skapitulowali i pozwolili jej pójść wyłącznie dlatego, że wiedzieli, że ja też tam idę... Z Davidem i służbami specjalnymi. Ale i tak... Ze względu na mnie! Jej młodszą siostrę! To ja mam być ta dobra! Mimo wszystkich wysiłków, kiedy starałam się ich przekonać, że jest odwrotnie. Mimo że przez cały rok ubieram się wyłącznie na czarno, mimo całego mojego nielegalnego interesu ze sprzedażą portretów... Oni dalej z uporem twierdzą, że z nas dwóch to ja jestem bardziej odpowiedzialna!

A to, że uratowałam prezydenta i że zostałam nastoletnią ambasadorką przy ONZ wcale mi nie pomogło, tyle wam powiem.

Zastanawiałam się poważnie, czy nie oblać niemieckiego tylko po to, żeby się na nich odegrać.

Chociaż teraz pewnie powiedzieliby tylko:

- Sam ma jedynekę z niemieckiego, czy to nie najbardziej urocza rzecz, jaka ostatnio słyszeliśmy?

W każdym razie w wieczór imprezy mama i tata spełnili swoje groźby i ustawili się w salonie z aparatem, kiedy David punktualnie o siódmej zadzwonił do drzwi. Catherine już zdążyła przyjść i pójść, przebrana przez Lucy za modelkę z „Seventcen”. Miała się spotkać z Paulem w Salonie gier i spotkać się z nami u Kris.

- Proszę - szepnęłam szybko do Davida, kiedy otworzyłam mu drzwi. - Przebac im, bo nie wiedzą, co czynią.

David, który ubrał się w džinsy i czarny sweter, zrobił trochę niepewną minę, ale kiedy wszedł do środka i zobaczył rodziców, rozluźnił się.

- Och - powiedział, jakby rodzice dziewczyn, z którymi się umawia, codziennie witali go z olympusem w dłoniach. I być może tak właśnie jest. - Dzień dobry państwu.

Jakby nie wystarczyło już, że moi rodzice zaczęli skakać kolo nas z obiektywem typu zoom, Manet, pod niecony perspektywą poznania kogoś nowego, wystrzelił z kuchni jak pocisk - czterdzieści kilo psa - i natychmiast zatopił nos w kroczu Davida. Próbowałam odciągnąć łobuza, przepraszając za to złe zachowanie.

- Nie ma sprawy - powiedział David, klepiąc Maneta po kudłatej głowie. - Lubię psy.

Potem na scenę musiała wkroczyć Lucy, spływając po schodach w swoich



impresowych ciuchach, jakby wyobrażała sobie, że jest Cindy Crawford czy kimś takim. Powiedziała:

- Och, Davidzie, to ty. Myślałam, że to może mój chłopak, Jack. Poznasz Jacka na imprezie. Myślę, że wy dwaj dogadacie się natychmiast. Jack też jest artystą.

Pojawiła się też Rebecca. Popatrzyła na Davida i na mnie, zanim udała się do siebie na górę, najprawdopodobniej po to, żeby skontaktować się ze statkiem - matką. Stwierdziła:

- O tak. Wyraźne *frisson*.

Gdyby rodzina dokładała wszelkich starań, by mnie jak najbardziej upokorzyć, chyba nie mogłaby tego zrobić lepiej.

Na werandzie, kiedy już udało nam się wreszcie wyrwać na wolność, David popatrzył na mnie i zapytał:

- Co to jest *frisson*?

- Cha, cha, cha - roześmiałam się jak wariatka. - Nie wiem. Musiała coś takiego usłyszeć w szkole.

David zmarszczył brwi.

- Chodzę do tej samej szkoły co ona, a nigdy tego słowa nie słyszałem.

Żeby odwrócić jego uwagę, w razie gdyby wpadł na pomysł i postanowił po powrocie do domu sprawdzić to słowo w słowniku, zaczęłam piszczeć z zachwytu na widok jego samochodu. Chociaż nie skorzystałam z rad Lucy - miałam na sobie moje własne ciuchy: czarną spódnicę, która sięgała mi aż do butów w stokrotki, uzupełnioną sweterkiem, który wprowadził dekolty w serek, ale był czarny, nie zielony - zapamiętałam jednak kilka innych jej wskazówek. Wśród nich była następująca: „Zachwycaj się jego samochodem. Faceci mają na ich punkcie bzika”.

Tyle że nie jestem pewna, czy to się odnosi do wszystkich facetów, bo chociaż mówiłam, jak bardzo podoba mi się ten czarny czterodrzwiowy sedan, David popatrzył na niego z odrobiną wahania.

- Hm. To nie mój wóz - powiedział. - Należy do służb specjalnych.

- Och - powiedziałam.

Potem zauważyłam, że obok samochodu stoi John z naszych zajęć rysunku, i że niemal identyczny samochód stoi tuż za pierwszym, z dwoma innymi agentami służb specjalnych w środku.

- Siostra mi mówiła, że faceci lubią, żeby się zachwycać ich samochodami - dodałam, czując, że należy mu się jakieś wyjaśnienie:

- Naprawdę? - David nie krył zaskoczenia. - No cóż, ona wygląda jak ktoś, kto się na

tym zna.

I właśnie w tym momencie jakiś reporter, którego nikt z nas wcześniej nie zauważył, wyskoczył zza krzaków i zawołał:

- Samantha! David! Tutaj!

I zrobił nam kilka tysięcy zdjęć.

Nie wiem, co się stało potem, bo na parę sekund oślepił mnie flesz, ale usłyszałam, jak czyjś stanowczy głos mówi:

- Ja się tym zajmę.

A potem rozległ się jęki dźwięk czegoś roztrzaskiwanego. Flesz przestał migać.

Kiedy znów przejrzałam na oczy, zdałam sobie sprawę, że stanowczy głos należał do jednego z agentów służb specjalnych - nie Johna, tylko jakiegoś innego - który właśnie wsiadał do samochodu zaparkowanego za samochodem Davida. Reporter stał parę metrów dalej na chodniku, ze zmartwioną miną, trzymając w ręku aparat w kilku osobnych kawałkach. Mruczał coś pod nosem o wolności słowa, ale nie na tyle głośno, żeby agent służb specjalnych mógł go usłyszeć.

John otworzył tylne drzwi sedana i powiedział przeprasząco:

- Wybacz.

Wślizgnęłam się na siedzenie, nie mówiąc ani słowa, bo tak naprawdę, co tu można było powiedzieć?

David wsiadł z drugiej strony i zatrzasnął drzwi. Samochód służb specjalnych był w Środku bardzo schludny. Pachniał nowością. Nie cierpię zapachu nowych wozów. Zastanawiałam się, czy nie opuścić okna, ale na zewnątrz było bardzo zimno.

Potem John usiadł za kierownicą i zapytał:

- Gotowi?

- Jestem gotowy - oznajmił David i popatrzył na mnie. - A ty?

- Hm - odparłam. - Tak.

- jesteście gotowi - powiedział David, na co John odparł:

- No to jazda.

I ruszyliśmy. Cały czas odwracałam twarz od okna, bo zauważyłam, że rodzice wyszli na frontową werandę i stali tam, machając do nas. Jakiś reporter, któremu nie roztrzaskano aparatu, zrobił im zdjęcie, skoro robienie zdjęć Davidowi i mnie było tak ewidentnie *verbotten*. Miałam nadzieję, że mamie i tacie spodoba się ich wspólna duża kolorowa fotografia w jutrzejszym porannym „USA Today” czy innej gazecie.

W samochodzie było bardzo cicho. Za cicho.

- W gruncie rzeczy są tylko trzy tematy, o których można gadać z facetem - instruowała mnie Lucy, chociaż prawdę mówiąc, wcale nie prosiłam jej o radę. - Te sprawy to: po pierwsze: on. Po drugie: ty i on. Po trzecie: ty. Zaczynasz od mówienia o nim. Potem powoli wprowadzasz temat was obojga. Wreszcie kierujesz rozmowę na siebie, i tak już trzymasz.

Jednak z jakiegoś powodu nie byłam w stanie zmusić się do poruszenia któregośkolwiek z tych tematów. Pierwsza próba, komplementowanie jego samochodu, nie wypadła za dobrze. Zdawałam sobie sprawę, że umawiając się z synem prezydenta, wkraczam na zupełnie dziewicze tereny, takie, których nawet Lucy nie miała okazji eksplorować. Byłam zdana na siebie. Trochę mnie to przerażało, ale uznałam, że jakoś sobie poradzę. No bo w końcu to jednak nie był Jack.

- Hm - powiedziałam, kiedy John skręcił w Trzydziestą Czwartą ulicę - przepraszam za rodziców.

- Och - roześmiał się. David - nie trzeba. No to dokąd teraz? Co masz ochotę zjeść?

Ponieważ zawsze mam ochotę tylko na jedną rzecz - hamburgery - nie byłam pewna, jak odpowiedzieć na to pytanie. Na szczęście David mówił dalej:

- Zrobiłem rezerwacje w paru miejscach. Po pierwsze w Vidalia. Podobno jest tam całkiem przyjemnie. I w Czterech Porach Roku. Nie wiem, czy już tam kiedyś byłaś. No i jest jeszcze Kinkead's, chociaż wiem, że nie przepadasz za rybami.

Słuchałam tego z rosnącą paniką. Rezerwacje? On zrobił rezerwacje? Rzadko zdarzało mi się znaleźć coś zjadliwego w restauracjach, w których trzeba robić rezerwacje.

Nie wiem, czy David odczytał wahanie na mojej twarzy, czy też moje milczenie okazało się wymowne. W każdym razie dodał:

- Albo możemy dać sobie spokój z rezerwacjami i iść na pizzę, czy coś. Jest takie miejsce... Wiem, że masa ludzi tam chodzi, Luigi's czy jakoś tak?

W Luigi's Lucy i cała jej paczka mieli się spotkać przed imprezą u Kris. Chociaż wiedziałam, że za parę godzin i tak ich zobaczymy, miałam wrażenie, że nie poradzę sobie z sytuacją, jeżeli będę siedziała z Davidem przy jednym stoliku, wiedząc, że wszyscy nas obserwują i rozmawiają tylko o tymi. Wątpiłam, żebym zdołała cokolwiek przełknąć. Poza tym, Jack też miał przyjść do Luigi's. Jak miałabym skupić uwagę na czymkolwiek, co będzie mówił David, jeżeli Jack będzie w pobliżu?

- Albo - ciągnął David, rzucając kolejne spojrzenie na moją twarz - moglibyśmy po prostu wstąpić gdzieś na hamburgera...

- To dobry pomysł - powiedziałam z nadzieją, że mój głos brzmi odpowiednio

nonszalancko.

Uśmiechnął się jednym z tych swoich tajemniczych uśmieszków.

- Zatem, hamburgery - powiedział. - John, jedziemy do Jake's. I możesz nam włączyć jakąś muzykę?

John powiedział:

- Nie ma sprawy - i przycisnął jakiś guzik na desce rozdzielczej.

I wtedy wewnątrz samochodu wypełnił głos Gwen Stefani.

No Doubt. David był fanem No Doubt.

Oczywiście, powinnam była wiedzieć. To znaczy, każdy, kto słucha Reel Big Fish musi lubić No Doubt. To żelazna reguła.

Ale i tak zgłupiałam, kiedy zdałam sobie sprawę, że David ma w samochodzie Gwen. Bo wiecie, gdybym miała samochód, dokładnie to by się w nim znalazło. To znaczy, Gwen.

A najdziwniejsze było to, że serce znów mi wycięło ten sam numer. Naprawdę, To drgnięcie, jak tylko usłyszałam głos Gwen. Tylko, rozumiecie, nie zadrżało mi ze względu na Gwen. Nie, to dlatego, że zrozumiałam nagle, że David ją lubi. Czy o tym właśnie mówiła Rebecca? Czy to było *frisson*?

Ale jak mogłam odczuwać *frisson* w stosunku do jednej osoby, kiedy moje serce należało do innej? To nie miało sensu. Przecież zaprosiłam Davida wyłącznie po to, żeby uszczęśliwić Catherine. I może po to, żeby wzbudzić zazdrość Jacka. Byłam kompletnie i nieodwołalnie zakochana w chłopaku mojej siostry, który pewnego dnia zda sobie sprawę, że to ja, a nie Lucy, jestem miłością jego życia.

No więc o co chodziło z tym całym *frisson*?

Stwierdziłam, że może to dziwne uczucie zniknie, jeśli będę je ignorowała. I wiecie co? Przez chwilę myślałam, że mi się udało. To znaczy, nie żebyśmy się dobrze nie bawili. Jake's, czyli to miejsce, do którego poszliśmy na obiad, okazało się jak najbardziej w moim stylu... Dziura w okolicy Foggy Bottom. z lepiącymi się blatami stolików i ciemnym wnętrzem. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na to, że jestem dziewczyną, która uratowała prezydenta, ani na to, że David to jego syn. Prawdę mówiąc, nikt chyba nawet na nas nie spojrzał, poza kelnerką i, oczywiście, Johnem i dwoma pozostałymi agentami służb specjalnych, którzy usiedli przy stoliku nieopodal.

I chociaż bałam się, że nie będziemy mieli o czym rozmawiać, okazało się, że wcale nie muszę korzystać z rad Lucy. David zaczął mi opowiadać śmieszne historie o różnych idiotycznych rzeczach, które zostawiają ludzie zwiedzający Biały Dom. Znalezione kiedyś adidasy, a innym razem sztruksowe spodnie. Potem rozmowa po prostu popłynęła.

W końcu przyniesiono hamburgery. Były troszkę spalone z zewnątrz, tak jak lubię, i nikt nie napchał do nich ani nie ułożył obok nich żadnych świeżych warzyw, pomidorów ani cebuli. Frytki też były cieniutkie i chrupkie, nie takie miękkie i tłuste, smakujące obrzydliwie ziemniakami.

Potem David opowiedział mi pewną historię ze swojego dzieciństwa: ile razy rodzice prosili go, żeby nakrył do stołu, w ramach żartu przy jednym nakryciu kładł wielki widelec i łyżkę, których używało się do mieszania sałaty.

A za każdym razem, powiedział, jego rodzice się śmiali, chociaż robił to właściwie co wieczór.

Zainspirowana jego opowiadaniem, zwierzyłam mu się, jak w Maroku próbowałam spuścić w toalecie karty kredytowe taty. A nigdy przedtem nie opowiadałam o tym nikomu oprócz Catherine. To nie była taka fajna historia jak o wielkim widelcu i łyżce, ale lepszej nie znałam.

A potem David powiedział mi, jak bardzo źle się czuł, kiedy musiał opuścić swoich przyjaciół i przeprowadzić się do Waszyngtonu i jak bardzo nie cierpi Horizon, gdzie wszyscy mają przesadnie wysokie ambicje, a cały nacisk kładzie się na nauki ścisłe, nie na humanistykę, a ludzie, którzy lubią rysować, tak jak on, są traktowani z góry. Wiem, o co mu chodziło, tyle że w Adamsie odpowiednikiem nauk ścisłych jest sport.

I wtedy opowiedziałam mu, jak musiałam chodzić do logopedy, a wszyscy myśleli, że jestem w klasie specjalnej, A potem, nie wiem czemu, opowiedziałam mu też o portretach idoli i jak to z ich powodu skończyłam z czwórką mniej z niemieckiego i za karę zostałam wysłana do Susan Boone.

W jakimś momencie kolana Davida przypadkiem dotknęły pod stołem moich kolan. David przeprosił mnie i zabrał nogi. Potem, jakieś pięć minut później, to się powtórzyło.

Tylko że tym razem nie cofnął kolan. Ani mnie nie przeprosił. Nie wiedziałam, co robić. Lucy nie umieściła tego na swojej liście rzeczy, które mogą się zdarzyć.

Ale zauważyłam, że *frisson* wraca. Na przykład, zupełnie nagle przypomniałam sobie, że David to chłopak. To znaczy, oczywiście, zawsze wiedziałam, że to chłopak, i to nawet przystojny, ale w jakiś sposób, kiedy jego kolana dotknęły moich, zaczęłam być naprawdę, naprawdę świadoma tego, że David to facet.

I nagle poczułam się onieśmielona i nie wiedziałam, co mam jeszcze powiedzieć. Dziwne, bo przecież zaledwie dwie minuty temu nie miałam z tym najmniejszych kłopotów. Nie mogłam mu też spojrzeć w oczy. Nie wiem dlaczego, ale miałam wrażenie, że są za bardzo zielone. Poza tym, niespodziewanie zrobiło mi się gorąco, chociaż w restauracji była

klimatyzacja.

Nie mogłam zrozumieć, co się właściwie ze mną dzieje. Wiedziałam jednak, że niczego takiego nie czułam, dopóki jego kolana nie dotknęły moich. Przesunęłam się więc nieco na krześle, myśląc, że może jeśli przerwę, no wiecie, kontakt, to poczuję się lepiej.

I tak chyba było, ale zdaje się nie do końca, bo David popatrzył na mnie - tym razem bez tajemniczego uśmiešku - i spytał:

- W porządku?

- Jasne - odpowiedziałam głosem, który był o wiele wyższy, niż zwykle. - Dlaczego pytasz?

- Nie wiem - odparł, a jego zielone oczy wpatrywały się we mnie w sposób, który trochę mnie przerażał. - Jesteś taka... zarumieniona.

I wtedy wpadłam na genialny pomysł. Spojrzałam na swojego swatcha z syrenką i powiedziałam:

- O mój Boże, popatrz na zegarek! Lepiej chodźmy, jeżeli chcemy jeszcze dotrzeć na imprezę.

Miałam wrażenie, że David był gotów w ogóle darować sobie imprezę. Ja nie. Chciałam się tam dostać, i to szybko. Bo na imprezie nie zagrażało mi *frisson*.

Bo na imprezie będzie Jack.

O mój Boże, przyszliście! To były słowa Kris, kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła Davida i mnie. Słowa nie tyle zresztą wypowiedziane, co wyrzeszczane.

Oczywiście, powinnam się domyślić, że ona - i cała reszta ludzi - tak właśnie zareaguje na nasz widok. W samochodzie, David przez cały czas pytał:

- No więc, czyja to impreza?

A ja próbowałam mu wyjaśnić, ale chyba a nie bardzo mi się to udało - najprawdopodobniej przez *frisson*, które, niestety, nie chciało sobie pójść - bo wreszcie powiedział:

- Zobaczmy, czy dobrze cię zrozumiałem. Tę imprezę zorganizowała osoba, której nie lubisz, będzie mnóstwo nieznanych ci ludzi, a my idziemy tam... właściwie dlaczego?

A kiedy mu wyjaśniłam, że idziemy, bo obiecałam to mojej najlepszej przyjaciółce Catherine, wzruszył tylko ramionami i powiedział:

- W porządku.

I chociaż nie zrobił na nim wrażenia fakt, że wszyscy ucichli, kiedy weszliśmy, a potem zaczęli szeptać między sobą jak wariaci, jestem pewna, że to zauważył. I to nie *frisson* pozwoliło mi wyczuć jego nastrój. Nie, domyśliłam się, bo pojawił się ten jego leciutki uśmiezek, jakby David usiłował się nie roześmiać. Tak, zdecydowanie próbował nie parsknąć śmiechem na widok wszystkich tych wariatów z Liceum imienia Adamsa, którzy nie mogli się powstrzymać od gapienia się na niego.

Przynajmniej brał to na wesoło, ja byłam w stanie tylko rumienić się z minuty na minutę coraz bardziej. Tylko nie mogłam zrozumieć, dlaczego. No bo przecież ja go wcale nie lubiłam ani nic wielkiego. To znaczy, traktowałam go wyłącznie jak przyjaciela.

- Cześć, jestem Kris! - przedstawiła się Kris, wyciągając rękę do Davida.

Miała na sobie dzinsową sukienkę mini. Jakby na dworze nie było minus jeden.

- Cześć - powiedział David, potrząsając dłonią dziewczyny, która każdy mój dzień w szkole zamieniała w istne piekło. - Jestem David.

- Witaj, Davidzie - zaświergotała. - Tak się cieszę, że przyszedłeś. Poznać cię to prawdziwy zaszczyt. Twój tata świetnie radzi sobie z rządzeniem tym krajem. Rozumiesz, byłam jeszcze za młoda, żeby głosować w ostatnich wyborach, ale chcę, żebyś wiedział, że miał moje całkowite poparcie.

- Dzięki - mruknął David. Wciąż się uśmiechał, ale widać było, że chce już odzyskać

dłoń z powrotem. - To miło z twojej strony.

- Sam i ja bardzo się przyjaźnimy - dodała Kris, wciąż potrząsając jego ręką. - Mówiła ci o tym? Praktycznie od przedszkola.

W głowie mi się nie mieściło, że odważyła się tak łączyć w żywe oczy. Powiedziałabym coś, ale nie zdążyłam, bo podbiegła do nas Catherine.

- O kurka, jak się cieszę, że jesteście! - szepnęła do mnie, kiedy skończyły się już prezentacje. - Nie masz pojęcia. Paul i ja po prostu stoimy w kącie. Nikt z nami nie rozmawia. Po prostu nikt! Tak mi wstyd! Musi sobie wyobrażać, że jestem jakimś wyrzutkiem społecznym!

Spojrzałam na Paula. Wcale nie wyglądał, jakby sobie coś takiego wyobrażał. Wpatrywał się z zachwytem w Catherine. Moja przyjaciółka wyglądała rewelacyjnie w czarnych dzinsach i jedwabnym topie, które pożyczyła od Lucy.

Odwróciłam się do Davida - który wreszcie zdołał uwolnić dłoń z uścisku Kris - i spytałam:

- Chcesz jakąś colę, czy coś takiego?

- Co? - zapytał, usiłując przekrzyczeć muzykę. Nie muszę dodawać, że puszczała ska.

- Cola? - spytałam.

- Jasne - odkrzyknął. - Ja przyniosę.

- Nie - powiedziałam. - Ja cię tu zaprosiłam. Sama pójde. - Popatrzyłam ponad jego ramieniem na Johna, który opierał się o ścianę i usiłował wtopić się w tło. - Wezmę też jedną dla Johna. Zostań tu, bo się pogubimy.

Zaczęłam przedzierać się przez tłum w stronę, gdzie, moim zdaniem, musiały znajdować się napoje, czyli tam, gdzie był największy ścisk. Trzeba przyznać, że ulżyło mi, kiedy na chwilę znikłam z oczu Davidowi. Między nami działy się takie dziwne rzeczy... Nie wiedziałam, co to dokładnie jest, ale wiedziałam jedno: nie byłam tym zachwycona.

Kiedy torowałam sobie drogę przez roześmiany tłum, myślałam: więc właśnie to mnie omijało, kiedy nie byłam popularna? Dom pękający w szwach od hałaśliwych nieznośnych ludzi, pełen ogłuszającej muzyki, której słów nawet nie możesz zrozumieć? Szczerze mówiąc, wolałabym siedzieć w swoim pokoju, oglądać telewizję i jeść lody z bitą śmietaną.

Ale pewnie jestem dziwaczką.

Kiedy dotarłam do miejsca, gdzie spodziewałam się zdobyć coś do picia, znalazłam tylko beczkę piwa. Beczkę piwa! Kris dała ciała. Wiedziała przecież doskonale, że przyjdzie David i że przyprowadzi ze sobą agentów służb specjalnych. Hm, musiała zdawać sobie sprawę, że może za to oberwać.



I wiecie co? Szczerze mówiąc, nie było mi jej specjalnie żal.

Napoje chłodzące, poinformował mnie ktoś, są w lodówce w pokoiku za kuchnią. No więc znów zanurkowałam w tłum, znalazłam ten pokój za kuchnią, a w nim moją siostrę z Jackiem, Obściskiwali się na pralkosuszarce.

Lucy pisnęła i zeskoczyła z suszarki.

- Przyszłaś! - zawołała. - Jak leci? Gdzie David?

- Stoi gdzieś tam. - Machnęłam ręką. - Szukam czegoś do picia.

- Idiotka - powiedziała Lucy. - To on powinien przynieść ci coś do picia. Boże! Zostań tu chwilkę. Pójdę po dziewczyny.

Przez „dziewczyny” rozumiała, oczywiście, całą resztę drużyny cheerleaderek.

- Lucy - jęknęłam. - Daj spokój. Nie dzisiaj.

- Och, nie bądź marudna - odparła Lucy. - Zostań tu z Jackiem. Wracam za moment. Jest parę osób, które umierają z chęci poznania prawdziwego, żywego syna urzędującego prezydenta...

I zanim zdążyłam coś powiedzieć, wyszła, zostawiając mnie sam na sam z Jackiem.

A Jack przyglądał mi się uważnie ponad brzegiem plastikowego kubka, z którego coś popijał.

- No i? - spytał. - Jak leci?

- Dobrze - odparłam. - Zdziwiająco dobrze. W czwartek Susan Boone kazała nam narysować taki wielki kawał mięsa i to było naprawdę świetne, bo nigdy przedtem nie patrzyłam uważnie na mięso, wiesz? To znaczy, w mięsie mnóstwo się dzieje...

- Super - powiedział Jack, najwyraźniej nie zauważając, że mi przerywa, mimo że tu, w pralni, muzyka nie była już taka głośna. - Dostałaś mój rysunek?

Popatrzyłam na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Jaki rysunek?

- Zgłoszony - odparł. - Na konkurs *Widok z mojego okna*.

- Och - powiedziałam. - Nie. To znaczy, nie wiem. Jestem pewna, że doszedł. Tylko ja jeszcze go nie widziałam. Nie oglądałam jeszcze żadnych rysunków.

- No cóż, zakochasz się w nim - stwierdził Jack. - Trzy dni go rysowałem. To najlepsza praca w moim życiu.

A potem zaczął opisywać ten rysunek ze wszystkimi szczegółami. Kilka minut później, kiedy w drzwiach pojawił się David, jeszcze o nim mówił.

Rozjaśniłam się na widok Davida. Nic na to nie mogłam poradzić. Po prostu ucieszył mnie jego widok, mimo że obiekt moich uczuć stał tuż obok mnie. Powiedziałam sobie: to

tylko dlatego, że historyjka o sztucach do sałaty była taka fajna. To nie ma nic wspólnego z tym całym *frisson*. Ani troszeczkę.

- Hej! - powiedział David z uśmiechem. Na tyle, na ile zdążyłam go poznać, ten uśmiech był jego znakiem rozpoznawczym. - Zastanawiałem się, gdzie zniknęłaś.

- Davidzie - powiedziałam - to jest Jack, chłopak mojej siostry, Lucy Jack, to jest David.

David i Jack uścisnęli sobie ręce. Stwierdziłam, że są do siebie podobni; obaj mieli ponad metr osiemdziesiąt i ciemne włosy. Jednak na tym podobieństwo się chyba kończyło, bo Jack zapuścił włosy do ramion, a włosy Davida zaledwie dotykały kołnierzyka koszuli. No i Jack, oczywiście, nosił kolczyk w kształcie krzyża ankh. Poza tym Jack miał na sobie swoje wyjściowe ciuchy - wojskowe, z demobilu - i długi czarny prochowiec, a David ubrany był raczej konserwatywnie.

Chyba jednak wcale nie byli do siebie tak bardzo podobni.

- David chodzi ze mną na rysunek - powiedziałam, chcąc przerwać niezręczną ciszę, która nastąpiła zaraz po tym powitaniu.

Jack zgniótł w dłoni kubek i powiedział:

- Ach, chodzi ci o te zajęcia z konformizmu?

David miał zakłopotaną minę, i nic dziwnego. Jack to silna osobowość, do której trzeba się trochę przyzwyczaić. Powiedziałam szybko:

- Nie, Jack, okazuje się, że to nie tak. Myliłam się co do Susan Boone. Ona po prostu chce, żebym nauczyła się najpierw patrzeć, a dopiero potem rysować, zanim pójde w swoją stronę, no wiesz, i zacznę robić coś własnego. Musisz się nauczyć reguł, zanim zaczniesz je łamać.

Jack, patrząc na mnie, powiedział:

- Co?

- Naprawdę - odparłam, czując, że wcale nie zrozumiał, co powiedziałam. - To znaczy, na przykład Picasso... całe lata uczył się rysować, no wiesz, tak jak widział. Dopiero kiedy doskonale opanował rysunek, rozpoczął eksperymenty z kolorem i formą.

Tylko że Jack, zamiast ogromnie się tym faktem zainteresować, zrobił zdeglustowaną minę.

- Sam - powiedział - oczom nie wierzę, że właśnie ty dajesz się nabrać na ten dydaktyczny bełkot.

- Przepraszam?! - David był wyraźnie wkurzony. Jack uniósł obie brwi.

- Uh. Nie mówiłem do ciebie, Pierwszy Chłopaczku.

- Jack... Co ci się stało? - powiedziałam, nieco zaszokowana.

No bo Jack jest niesamowicie uzdolniony plastycznie i ma w sobie tyle twórczej energii, że to może być aż męczące (wiem o tym aż za dobrze). Ale to jeszcze nie powód, żeby obrzucać kogoś wyzwiskami.

- Co się stało mnie?! - Jack zaśmiał się, ale tak, jakby w gruncie rzeczy wcale nie był rozbawiony. - To złe pytanie. Dobre pytanie brzmi: co się stało z tobą? Kiedyś myślałaś samodzielnie, a teraz, nagle, rzucasz się na te bzdety pod tytułem: „rysuj tak, jak widzisz”, jakby sami bogowie przekazali ci tę wiedzę na jakiejś pieprzonej kamiennej tablicy. Gdzie się podział sprzeciw wobec autorytetów? Co się stało z wyrabianiem sobie własnego zdania na temat procesu twórczego i jego działania?

- Jack... - zaczęłam. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Przecież Jack zawsze powtarzał, jakie to ważne dla artysty, być otwartym na wszelkie nowości i chłonąć wiedzę jak gąbka. Tylko jakoś tak się stało, że Jack wcale nie przypominał chłonnej gąbki. - Mam własne zdanie. Ja...

- Cześć, ludziska. - Wróciła Lucy, ciągnąc za sobą łańcuszek cheerleaderek (na każdej tony brokatu i lycry). - Och, hej Davidzie! Jest tu kilka moich przyjaciółek, które chciałyby cię poznać...

Ale ja wciąż usiłowałam przekonać Jacka.

- Sprawdziłam to, Jack - powiedziałam. - David ma rację. Picasso został technicznym wirtuozem, zanim zaczął eksperymentować z kreską i...

- David! - powiedział Jack, przewracając oczami. - Och tak, jestem pewien, że David wie o sztuce wszystko. Na pewno gdzieś już wystawiano jego prace.

Lucy popatrzyła na Jacka, Davida i na mnie, jakby usiłowała zorientować się, co tu się właściwie dzieje.

- Tak jak twoje? - spytała w końcu Jacka, unosząc brew. Lucy jest naprawdę najmniej wspierającą dziewczyną, jaką w życiu widziałam.

- Tak - odparł Jack. - Istotnie, moje prace już wystawiano...

- W centrum handlowym - zaznaczyła Lucy.

Jack jednak nawet na nią nie spojrział. Patrzył na mnie. Czułam, że jego bladoniebieskie oczy przeszywają mnie na wskroś.

- Gdybym nie wiedział lepiej, Sam - wycedził - pomyślałbym, że tego dnia, kiedy uratowałaś temu gościowi tatusia, uszkodzili ci nie rękę, a głowę.

- Dostyc tego - powiedział David. Na jego twarzy nie było już nawet cienia tajemniczego uśmiešku. - Posłuchaj, pacanie, nie mam pojęcia, gdzie leży twój problem,

ale...

- Mój problem?! - Jack stuknął się palcem w pierś. - Ja nie mam problemów, pacanie. To ty aż się palisz, żeby pozwolić zdeptać swoją indywidualność tym...

- Już, dobrze - przerwała mu Lucy znudzonym tonem, wślizgując się między nich i kładąc dłonie na klapach płaszcza Jacka. - Wystarczy. Wynocha stąd, Jack.

Jack popatrzył na nią wzrokiem, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

- Ale... - wybąkał. - Lucy, to ten facet zaczął.

- Jasne - powiedziała Lucy, popychając go stronę drzwi do ogrodu. - Na pewno on zaczął, ale my wyjdziemy sobie na chwilkę i zaczerpnijemy świeżego powietrza. A przy okazji, ile piw wypijeś?

I zniknęli, zostawiając nas samych. Z całą drużyną cheerleaderek.

David spojrział na innie i zapytał:

- A tak w ogóle, o co chodziło temu facetowi?

Wciąż spoglądając na Jacka - którego widziałam przez siatkowe drzwi na tylnej werandzie, gdzie wymachując rękami, relacjonował Lucy swoją wersję zajścia - szepnęłam:

- On nie jest taki zły. Po prostu..., rozumiesz... ma duszę artysty.

- Tak - powiedział David. - I umysłowość orangutana.

Spojrzałam na niego ostro. W końcu mówił o mojej bratniej duszy.

- Tak się składa, że Jack Ryder ma wielki, wielki talent. A do tego jest buntownikiem. Radykałem. Jego obrazy ukazują los współczesnej wielkomiejskiej młodzieży i bardzo trafnie komentują apatię i brak moralnego kośćca u ludzi z naszego pokolenia.

David spojrział na mnie dziwnie, a spojrzenie to w równych częściach składało się z niedowierzania i zakłopotania.

- Co? - spytał. - Ty lubisz tego faceta czy co? Przyjaciółki Lucy, które patrzyły i słuchały bardzo uważnie, zaszemrały. Poczułam, że się rumienię. Było mi teraz jeszcze bardziej gorąco niż wcześniej w restauracji.

To było takie dziwne. Nie umiałam powiedzieć, czy rumienię się z powodu pytania Davida, czy ze względu na jego spojrzenie. Naprawdę. Nie po raz pierwszy tego wieczoru miałam kłopot ze spoglądaniem w te jego zielone oczy. Coś w nich... Nie wiem, co... naprawdę wytrącało mnie z równowagi.

Oczywiście, nie mogłam powiedzieć mu prawdy. Nie przy całej drużynie cheerleaderek z Liceum imienia Adamsa, które przez cały czas uważnie się w nas wpatrywały. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałam, to żeby cała szkoła dowiedziała się, że kocham się w chłopaku swojej siostry.

Powiedziałam więc:

- Skąd. To chłopak Lucy, nie mój.

- Nie pytałem cię, czyj to chłopak - odparł David, a ja zdałam sobie sprawę, że nie zamierzał tak łatwo odpuścić. Serce mi zamarło. - Pytałem, czy go lubisz.

Nie chciałam tego, ale coś kazało mi podnieść wzrok i spojrzeć mu w twarz.

Przez chwilę czułam się tak, jakbym nigdy wcześniej nie widziała. To znaczy, zobaczyłam nie syna prezydenta, ale tego fajnego, zabawnego chłopaka, który chodził ze mną na lekcje rysunku i przypadkiem lubił tę samą muzykę. To było tak, jakbym zobaczyła Davida - prawdziwego Davida - po raz pierwszym. Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć - nie miałam pojęcia co, ale na pewno coś głupiego, bo cała ta sprawa całkiem zbiła mnie z tropu. Co gorsza, dłonie nagle zaczęły mi się pocić, a serce biło coraz mocniej. Nie zdążyłam się jednak odezwać, bo za plecami cheerleaderek ktoś zawołał:

- Tutaj jesteście!

I natarła na nas Kris Parks, a za nią chyba z sześćdziesiąt osób, które, jak twierdziła, koniecznie chcą poznać syna prezydenta Stanów Zjednoczonych.

A David, jak przystało na syna polityka, poszedł ścisnąć im ręce, nie rzuciwszy mi ani jednego spojrzenia.

To nie twoja wina - tłumaczyła Catherine z kanapy stojącej w drugim końcu mojego pokoju. - No bo przecież nic nie poradzisz na to, że kochasz się w Jacku.

Leżałam skulona na łóżku, a obok mnie spał Manet, cicho pochrapując.

- Jacka poznałaś wcześniej. - Głos Catherine przeniknął mrok, otulający wszystko. - A w ogóle, to co ten David sobie wyobraża? Miałas po prostu siedzieć, czekać i nie zakochiwać się w nikim, dopóki on nie nadjedzie na wielkim białym rumaku? To nie bajka o Kopciuszku.

- Moim zdaniem - powiedziałam do sufitu - David chyba sobie wyobrażał, że skoro zaprosiłam go na imprezę, to prawdopodobnie lubię jego, a nie jakiegoś innego faceta.

- No cóż, to z jego strony strasznie staroświeckie - stwierdziła Catherine. Teraz, kiedy była już na swojej pierwszej randce, która okazała się w dodatku sukcesem - Paul pocałował ją na dobranoc na werandzie, w same usta, jak poinformowała mnie potem z dumą - wydawało jej się, że została ekspertem od spraw sercowych. To znaczy w przerwach między zamartwianiem się, że jej rodzice odkryją, gdzie była i co robiła.

- To znaczy, jesteś przecież atrakcyjną i inteligentną dziewczyną - ciągnęła Catherine.

- Nie można oczekiwać, że ograniczysz się tylko do tej jednej znajomości. Musisz „rozejrzeć się po boisku”. To absurdalne, żebyś w wieku piętnastu lat miała decydować się na jednego faceta.

- Tak - powiedziałam i zaśmiałam się krótko. - Zwłaszcza takiego, który kocha się w mojej siostrze.

- Jack tylko sobie wyobraża, że kocha Lucy - rzekła Catherine. - Obie o tym wiemy. To, co się dzisiaj stało, dowodzi jedynie, że wreszcie zaczyna sobie zdawać sprawę z głębi i powagi swojego przywiązania do ciebie. Dlaczego był taki niemiły dla Davida, jeśli nie dlatego, że widok was razem doprowadził go do szału zazdrości?

- Moim zdaniem po prostu wypił o jedno piwo za dużo.

- Nieprawda. Piwo mogło się do tego przyczynić, ale on poczuł się zagrożony, bo wyobraził sobie, że jesteś szczęśliwa z kimś innym.

Przekręciłam się na łóżku - w ogóle nie zakłócając snu Manetowi, który dalej chrapał - i przyjrzałam się niewyraźnej sylwetce Catherine po drugiej stronie mrocznego pokoju.

- Czyś ty znów czytała „Cosmo” Lucy? - spytałam.

- Hm... owszem. Lucy zostawiła je w łazience - wyznała Catherine ze wstydem.

Obróciłam się na plecy i wpatrzyłam w sufit. Nie wiedziałam za bardzo, co powinnam

myśleć o wydarzeniach tego wieczoru, skoro jedyna osoba, z którą mogłam bezpiecznie o nich porozmawiać, serwowała mi uwagi wyczytane w jakimś *Kąciku Porad Sercowych*.

- Więc pocałował cię na dobranoc? - spytała nieśmiało Catherine. - To znaczy, David?

Parsknęłam. Davidowi akurat było w głowie całowanie się ze mną po tej całej historii z Jackiem i drużyną cheerleaderek! Do końca wieczoru prawie się do mnie nie odzywał. Krążył natomiast po domu i zawarł znajomość chyba z połową uczniów naszej szkoły. Nie był specjalnie nieśmiały, więc nie miał nic przeciwko temu, że stał się ośrodkiem zainteresowania. W gruncie rzeczy wyglądał, jakby całkiem nieźle się bawił, kiedy Kris Parks i jej przyjaciółki chłonęły każde jego słowo, śmiejąc się jak hieny, ilekroć opowiedział jakiś żart.

Dopiero około wpół do dwunastej - Theresa, która dziś opiekowała się nami, bo rodzice poszli na jakieś przyjęcie, zaraz jak tylko David po mnie przyjechał, wyznaczyła mi godzinę policyjną o północy - zaczął się za mną rozglądać. Siedziałam sama w kącie, przerzucając stos egzemplarzy „Good Housekeeping” mamy Kris (kto powiedział, że nie potrafię się bawić?) i usiłując ignorować ludzi, którzy do mnie podchodzili i prosili o autograf (albo odwrotnie, chcieli podpisać się na moim gipsie).

- Gotowa? - zapytał David.

Powiedziałam, że tak. Oznajmiłam Catherine, że już idziemy, a potem odszukałam Kris - wcale nie musiałam się specjalnie za nią rozglądać, bo chodziła za Davidem krok w krok - podziękowałam jej i pożegnałam się. Potem David, John i ja ruszyliśmy do samochodu.

Cleveland Park leży niedaleko od Chevy Chase, gdzie mieszka Kris, ale przysięgam, że to była chyba najdłuższa jazda do domu w moim życiu. Nikt nic nie mówił. Ani słowa! Dzięki Bogu za Gwen, która wyśpiewywała swoje serce na stereo.

Zauważyłam jednak, że po raz pierwszy w moim życiu głos Gwen nie poprawił mi humoru. Najgorsze było to, że nie wiedziałam, czemu tak podle się czuję. David dowiedział się, że lubię Jacka. Wielka rzecz! Przecież żadne prawo federalne nie zabrania dziewczynom lubić chłopaków własnych sióstr. Na pewno.

Gdy zaparkowaliśmy przed moim domem, cisza w samochodzie (pomijając Gwen) była już nie do zniesienia. Odwróciłam się do Davida - naprawdę nie oczekiwałam, że odprowadzi mnie do drzwi - i powiedziałam:

- No cóż, dzięki, że ze mną poszedłeś.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, otworzył drzwi samochodu i oznajmił:

- Odprowadzę cię.

Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to jakoś szczególnie uradowało, bo miałam uczucie,

że zaraz da mi popalić. I rzeczywiście, w połowie drogi dobrał mi się do skóry.

- Wiesz - zagaił - naprawdę udało ci się mnie nabrać. Spojrzałam na niego, zastanawiając się, co jeszcze powie. Czułam, że pewnie mi się to nie spodoba.

- Tali? Dlaczego?

- Myślałem, że jesteś inna - powiedział. - Wiesz, te twoje huty, czarne ciuchy i tak dalej. Myślałem, że jesteś naprawdę... No, nie wiem. Prawdziwa. Nie wiedziałem, że robisz to wszystko po to, żeby złapać faceta.

Zatrzymałam się na schodach i popatrzyłam na niego, co nie było łatwe, bo światło na werandzie było włączone i świeciło mi prosto w oczy.

- O co ci chodzi?

- A czy tak nie jest? - spytał David. - To znaczy, czy nie dlatego zaprosiłaś mnie na imprezę? To nie miało nic wspólnego z solidarnością wobec koleżanki, która nie czuła się częścią tej grupy. Wykorzystałaś mnie po to, żeby spróbować wzbudzić zazdrość tego faceta. Jacka.

- Nieprawda! - zawołałam z nadzieją, że i jego oślepiło światło werandy. W ten sposób nie mogłoby zobaczyć, że płoną mi policzki. - Davidzie, to... No, to po prostu śmieszne.

- Nie sądzę.

Doszliśmy już do drzwi. David patrzył na mnie z miną, której nie dało się rozszyfrować... i to nie dlatego, że ciągle oślepiało mnie światło werandy, ale dlatego, że jego twarz była kompletnie pozbawiona wyrazu. Jak maska.

- Szkoda - powiedział. - Naprawdę myślałem, że różnisz się od innych znanych mi dziewczyn.

I z grzecznym „dobranoc” - tak jest, po prostu „dobranoc” - odwrócił się i ruszył do samochodu. Nawet się nie obejrzał. Ani razu.

Nie, żebym miała do niego pretensję. Mimo stwierdzenia Catherine, że chłopcy powinni wiedzieć, iż dziewczyny w naszym wieku po prostu „rozglądają się po boisku” (co brzmi nieco zabawnie w ustach kogoś, kto przed chwilą był na pierwszej w życiu randce), wyobrażam sobie, że człowiekowi musi być po prostu przykro, kiedy osoba, którą darzy sympatią, tak naprawdę lubi kogoś innego i właściwie wolałaby być w tym momencie właśnie z tym kimś.

Sarna nie wiem. Chyba rozumiałam już, dlaczego David był na mnie zły.

Ale bez przesady! Poprosiłam go, żeby poszedł ze mną na imprezę, a nie żeby się ze mną ożenił. To tylko impreza. Po co robić taki dramat?

I o co chodziło w tej gadaninie, że się mylił i jestem taka sama jak inne dziewczyny,



które zna? Ile zna dziewczyn, które ostatnio ocaliły życie jego ojcu? Gotowa byłam założyć się, że nie za wiele.

Jednak ten wieczór nie był kompletną kłapą. Trochę z mojej sławy musiało skapnąć na Catherine, bo ludzie na imprezie wreszcie zaczęli z nią rozmawiać. Stała tam, rozpromieniona, z Paulem u boku, i ziszczały się jej marzenia o popularności. Ktoś nawet zaprosił ją na następną imprezę, na przyszły weekend.

- Wiesz - powiedziała teraz z kanapy Catherine, nowa dziewczyna na topie z Liceum imienia Adamsa. - Naprawdę myślę, że Jack był zazdrosny.

Zamrugalam, nadal patrząc w sufit.

- Naprawdę?

- Och, tak. Słyszałam, jak mówił Lucy, że jego zdaniem David jest nadęty i że mogłaś trafić lepiej.

Nadęty? David był najmniej nadętą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam. O czym ten Jack w ogóle mówił?

Kiedy jednak powiedziałam to na głos, Catherine stwierdziła tylko:

- Ależ, Sam, myślałam, że właśnie tego chciałaś. Żeby Jack wreszcie zrozumiał, że jesteś atrakcyjną kobietą, której pożąda wielu.

Przyznaję, że to prawda. Ale jednocześnie nie podobał mi się pomysł, żeby ktokolwiek - nawet moja bratnia dusza - obrzucał Davida wyzwiskami. Bo David jest naprawdę miły.

Ale nie chciałam już o tym myśleć. No wiecie, o tym, że David jest taki miły, i że potraktowałam go tak, jak potraktowałam. Tego typu zachowanie jest jak najbardziej w porządku dla czytelniczek „Cosmo”, ale ja naprawdę jestem dziewczyną trochę bardziej w stylu „Art in America”.

Wiedziałam, że jeszcze długo nie zasnę, ale zauważyłam też, że z Catherine, sadząc z jej spokojnego oddechu, już sobie nie pogadam, wyjęłam więc latarkę i otworzyłam książkę z życiorysami Pierwszych Dam, którą dał mi sekretarz prasowy Białego Domu.

Dziesięć raczej mało znanych faktów dotyczących Dolley Payne Todd Madison, żony czwartego prezydenta Stanów Zjednoczonych: 10. Pisała swoje imię Dolley, nie Dolly.

9. Urodzona w 1768 roku, wyrosła wśród kwakrów, krzywo patrząc na kolorowe czepek i ubrania, bo tak nakazuje kwakerska tradycja.

8. Jej pierwszy mąż był kwakerskim prawnikiem. Umarł w czasie epidemii żółtej febry.

7. Po ślubie z Jamesem Madisonem w 1794 roku, Dolley sprawowała funkcję

„nieoficjalnej Pierwszej Damy” podczas prezydentury Thomasa Jeffersona, który był wdowcem.

6. Najwyraźniej mniej więcej w tym czasie Dolley zdecydowała, że Bogu jest wszystko jedno, czy ona nosi jaskrawe kolory. Znalazłam opis stroju ze złotym turbanem i strusim piórem w niego wetkniętym, jaki nosiła podczas balu inauguracyjnego prezydenturę jej męża.

5. Fakt, że Dolley zarzuciła kwakerskie zwyczaje, jest dodatkowo zilustrowany tym, że w czasie prezydentury Madisona stała się uznaną piękną waszyngtońską towarzyszką. Sławne były jej śródowe przyjęcia, na których zbierali się politycy, dyplomaci i śmietanka towarzyska. Te spotkania pomogły załagodzić tarcia między Federalistami (jak wtedy nazywano obecnych Republikanów) i Republikanami (jak wtedy nazwano dzisiejszych Demokratów) w czasie intensywnej rywalizacji między partiami.

4. Podczas wojny 1812 roku, Dolley uratowała nie tylko portret Waszyngtona, ale i tony ważnych rządowych dokumentów, które ukryła w bocznych ściankach swoich kufrów. Na dzień przed atakiem Brytyjczyków wypełniła cały wóz srebrem i innymi cennymi przedmiotami i wysłała je na przechowanie do Ranku Maryland, co dowodzi, że była osobą nie tylko dzielną, ale i praktyczną.

3. Niestety, w 1814 roku, kiedy to wszystko się działo, większość obywateli Stanów Zjednoczonych raczej nie doceniała osiągnięć Dolley, bo ludzie nie cierpieli jej męża za to, że w ogóle rozpoczął tę wojnę. W samej rzeczy, kiedy Biały Dom płonął, Dolley chodziła od jednych sąsiadów do drugich i pukała do ich drzwi, szukając schronienia, a oni kazali jej się wynosić. Nie znalazła opieki, dopóki nie skłamała, że jest kimś innym.

2. Jakby tego było mało, jeden z jej synów wyrósł na utracjusza, to znaczy, był nieudacznikiem, którego nieumiarkowanie w wydatkach omal nie zrujnowało rodziny. A oto najważniejszy mało znany fakt dotyczący Dolley Madison;

1. Wcale nie była taka znów atrakcyjna.

W następnym tygodniu przypadało Święto Dziękczynienia i Susan Boone odwołała czwartkowe zajęcia. Pomyślałam, że kiedy zobaczę Davida we wtorek, przeproszę go za to, co zaszło u Kris. Bo chociaż Catherine upierała się, że nie zrobiłam nic złego, z jednej strony czułam, że miała rację, ale z drugiej - większej - nie zgadzałam się z nią. Stwierdziłam, że Davidowi należą się ode mnie co najmniej przeprosiny. Miałam zamiar zapytać go, czy chciałby pójść na kręgle ze mną, Catherine i Paulem w następny piątek. Wiedziałam, że Lucy ma tego wieczoru mecz, więc nie groziło nam, że wpadniemy na Jacka, W ten sposób David przekonałby się, że zaprosiłam go ze względu na niego samego, a nie żeby wzbudzić zazdrość Jacka.

Nie wiem, dlaczego udowodnienie Davidowi, że się mylił było dla mnie takie ważne... Ze wcale nie byłam taka, jak inne znane mu dziewczyny, że nie próbowałam zrobić na nikim wrażenia, a już zwłaszcza na żadnym facecie. Że naprawdę lubiłam ubierać się na czarno. Ze stokrotki na glanach to był mój pomysł.

Naprawdę chciałam, żeby wszystko między nami było jak przedtem.

Niestety, we wtorek David nie przyszedł na rysunek.

A na dodatek nie miałam kogo zapytać, dlaczego. No wiecie, na przykład, czy coś mu się stało. Przecież, Gertie i Lynn nie przyjaźniły się z Davidem. To ja się z nim przyjaźniłam. A ja nie wiedziałam, dlaczego go nie ma. Zachorował? Wyjechał nieco wcześniej do Camp David, gdzie on i reszta jego rodziny mieli spędzić Święto Dziękczynienia, zgodnie w zapowiedziami mediów i ludzi z ich biura prasowego? Nie miałam pojęcia.

Wiedziałam tylko, siedząc z hełmem w stokrotki na głowic i rysując tykwy, które Susan Boone ułożyła na stoliku przed nami, że jest mi okropnie głupio.

Było mi głupio, bo byłam strasznie rozczarowana, że nie zobaczyłam Davida. Głupio, bo naprawdę wyobrażałam sobie, że to będzie takie proste - przeproszę go i wszystko będzie dobrze.

Ale tak naprawdę, było mi głupio, że w ogóle mi na tym zależy. No bo przecież ja Davida nawet nie lubiłam. Och, to znaczy, lubiłam go bardzo, ale jako przyjaciela.

No, a poza tym, w grę wchodziło jeszcze to głupie *frisson*, które łapało mnie za każdym razem, kiedy go gdzieś spotykałam.

Ale wcale nie uważałam, że przez Davida zapomnę zupełnie o Jacku. Dobra, przynajmniej - na imprezie u Kris Jack zachował się jak kompletny dupek. Ale to nie znaczy, że

się odkochałam. Kiedy kochasz kogoś tak mocno i tak długo, jak ja Kocham Jacka, potrafisz wznieść się ponad jego dupkowane zachowanie i tym podobne rzeczy. Ja wobec Jacka czuję coś bardzo głębokiego. Wiedziałam też, że on czuje wobec mnie coś znacznie głębszego niż wobec Lucy.

Tylko jeszcze nie zdał sobie z tego sprawy.

W każdym razie, jeżeli David myślał, że zrywając się z zajęć u Susan Boone w ten wtorek, pozbył się mnie, to powinien sobie, jak mawiała Theresa, jeszcze raz zamyślić, jako nastoletnia ambasadorka przy ONZ bywałam w Białym Domu w każdą środę, więc wykombinowałam, że zrobię tak: jeżeli David nie wyjechał jeszcze na święta, po prostu pójdę i go znajdę. Wyczekam na moment, kiedy pan White, sekretarz prasowy, nie będzie zwracał na mnie uwagi.

Tylko że, niestety, to też mi się nie udało, bo tego dnia pan White jak najbardziej zwracał na mnie uwagę. Miało to związek z faktem, że prace na wystawę *Widok z mojego okna* zaczęły napływać całą falą. Dostawaliśmy rysunki z tak odległych miejsc jak Hawaje i tak bliskich jak Chevy Chase (praca Jacka). Pan White okropnie narzekał, bo rysunków było tak dużo, że nie mieliśmy ich gdzie kłaść. Naszym zadaniem było wybrać tylko jeden i wysiać go do Ambadora Stanów Zjednoczonych przy ONZ do Nowego Jorku.

Niektóre rysunki były bardzo słabe. Niektóre bardzo dobre. Wszystkie za to interesujące.

Najbardziej zaintrygował mnie rysunek dziewczyny nazywającej się Maria Sanchez, która mieszkała w San Diego. Jej rysunek przedstawiał podwórko na tyłach domu, gdzie na sznurze wisiały świeżo uprane prześcieradła. Między prześcieradłami, poruszonymi niewidocznym wiatrem, można było zobaczyć w oddali fragment ogrodzenia z drutu kolczastego... Ale nie tak oddalonego, żeby nie było widać, że przez dziurę wyciętą w ogrodzeniu usiłują przedostać się jacyś ludzie. Niektórzy już przeszli na drugą stronę i uciekali przed goniącymi ich mężczyznami w brązowych mundurach, z bronią i kijami, Maria nazwała swój obraz *Wolny kraj?* Właśnie tak - ze znakiem zapytania.

Panu White ten rysunek bardzo się nie spodobał. Wciąż powtarzał:

- Ten konkurs nie jest okazją do wyrażania poglądów politycznych.

Ale ja miałam zupełnie inne zdanie.

- Ten konkurs pyta o to, co człowiek widzi z okna - powiedziałam. - Maria Sanchez z San Diego właśnie to widzi ze swojego okna. Ona nie robi żadnych politycznych deklaracji. Ona rysuje to, co widzi.

Pan White zazgrzytał zębami. Jemu podobał się obraz namalowany przez Angie

Tucker z Little Deer Isle w stanie Maine. Angie namalowała latarnię morską i ocean. To był całkiem przyjemny obrazek. Ale jakoś nie wierzyłam w to, co na nim widziałam.

Czy rzeczywiście taki jest codzienny widok z okna pokoju Angie? Latarnia morską? Dajcie spokój. A poza tym, co ona sobie właściwie wyobraża? Ze jest Anią z Zielonego Wzgórza?

Dlatego właśnie uważałam, że praca Angie nie dorównuje pracy Marii Sanchez.

Nie dorównywała jej też praca Jacka.

Och, była dobra. Nie zrozumcie mnie źle. Jak wszystkie jego obrazy, rysunek zgłoszony przez Jacka na konkurs *Widok z mojego okna* był znakomity. Przedstawiał trzech młodych ludzi, wyraźnie pozbawionych złudzeń, którzy stali na parkingu przed osiedlowym sklepem 7 - Eleven. U ich stóp leżały niedopałki papierosów i potłuczone butelki po piwie, których szklane ścianki połyskiwały jak szmaragdy. Rysunek wymownie opowiadał o ciężkim losie wielkomiejskiej młodzieży, o braku nadziei naszego pokolenia.

To był dobry obraz. Właściwie nawet świetny.

Tyle że wiecie co?

Ze swojego okna Jack wcale czegoś takiego nie widzi.

Wiem to na pewno. Najbliższy sklep 7 - Eleven jest dobrych kilka przecznic za Bethesda. I w żaden sposób nie widać go z jego okna. Jack mieszka w wielkim domu otoczonym wysokimi drzewami, a przed domem jest obszerny kolisty podjazd. I chociaż przyznaję, że prawdziwy widok z okien Jacka może się wydać nieco nudny, to przecież nie mogłabym nominować go do nagrody za coś, co właściwie jest kłamstwem. Chociaż bardzo go kocham, nie mogłam, no wiecie, pozwolić, żeby wpłynęło to na moją ocenę. Musiałam być sprawiedliwa.

A to znaczyło, że praca Jacka odpadła w przedbiegach.

Pan White i ja osiągnęliśmy impas. Widziałam, że jest już znużony sprzeczką i po prostu chce mieć to za sobą. Była środa tuż przed Świętem Dziękczynienia i tak dalej. Pomyślałam, że dam mu odetchnąć i powiedziałam:

- Mam pomysł, panie White. Może dzisiaj skończymy nasze spotkanie nieco wcześniej? Pomyślałam sobie, że wstąpię na moment do mieszkalnej części i przywitam się z Davidem, wie pan, zanim wyjedzie na przerwę świąteczną...

Pan White rzucił mi szybkie spojrzenie.

- Nigdzie nie wstąpisz - oznajmił. - Mamy masę roboty. W najbliższą sobotę odbędzie się Międzynarodowy Festiwal Dziecka. Prezydent zapowiedział, że oczekuje tam twojej obecności...

Słyszając to, podniosłam szybko głowę.

- Naprawdę? A David też tam będzie?

Pan White spojrzał na mnie zmęczonym wzrokiem. Czasem miałam wrażenie, że przeklina dzień, w którym powstrzymałam Larry'ego Wayne'a Rogersa od zamordowania mu szefa. Nie żeby pan White chciał jego śmierci. Nic podobnego. Myślę, że chętnie pozbyłby się mnie.

- Samantha - westchnął - nie wiem. Ale będą tam przedstawiciele kilkudziesięciu państw, łącznie z prezydentem, i bardzo byś nam pomogła, gdybyś ten jeden raz ubrała się nieco inaczej. Spróbuj wyglądać bardziej jak młoda dama, a mniej jak jakiś didżej.

Popatrzyłam na glany, czarne rajstopy, szkocką spódnicę, kiedyś czerwoną, a teraz ufarbowaną na czarno i na mój ulubiony czarny golf.

- Myśli pan, że wyglądam jak didżej? - spytałam, mile połączona tym nieoczekiwanym komplementem.

Pan White przewrócił oczami i zapytał, czy dałoby się zrobić coś z moim gipsem, trochę już zużyтым. Jak zapowiadałam Davidowi, ozdobiłam go motywami patriotycznymi; orłami i Dzwonem Wolności, a nawet maleńkim portretem idola - to znaczy, Dolley Madison. Czternaście dziewczyn już mnie pytało, czy mogą dostać ten gips, kiedy mi go zdejmą. Theresa zasugerowała, żebym go wystawiła na aukcję w Internecie.

- Możesz dostać za to chyba tysiące dolarów. Po upadku muru berlińskiego sprzedawali na aukcji jego fragmenty. No to czemu nie gips dziewczyny, która uratowała bezpieczeństwo demokratycznego Świata?

Nie wiedziałam, co zrobię z gipsem po jego zdjęciu, ale stwierdziłam, że mam jeszcze czas do zastanowienia. Mieli mi go zdjąć dopiero za tydzień.

Rozumiałam jednak, o co chodzi panu White. Gips trochę mi się wybrudził i zaczął się kruszyć tam, gdzie go zamoczyłam (strasznie trudno jest myć włosy jedną ręką).

- Może twoja mama coś na to poradzi - powiedział z nieco zboląłą miną. - Jakiś, hm, ładny temblak, żeby go ukryć.

Sądząc z postawy pana White'a wobec całego tego konkursu i mojego gipsu, kompletnie nie znał się na sztuce.

Zanim skończył wreszcie marudzić na temat wszystkich ludzi, którzy będą na Międzynarodowym Festiwalu Dziecka, zrobiła się piąta i można było iść do domu. W żaden sposób nie mogłam się już wyrwać i poszukać Davida. Znów się z nim minęłam.

Co nie wprawiło mnie w szczególnie świąteczny nastrój, jeśli wiecie, co chcę przez to powiedzieć. Nawet się nie cieszyłam na te kilka dni wolnych od szkoły. Normalnie cztery dni

wolnego od lekcji niemieckiego wprawilyby mnie w zachwyty. Z jakiegoś powodu, w tym roku mnie to nie cieszyło. To znaczy, praktycznie rzecz biorąc, jeżeli David nie pokaże się na Międzynarodowym Festiwalu Dziecka, minie całe pięć dni, zanim znowu go zobaczę. Chyba mogłabym do niego zadzwonić, ale to nie byłoby to samo. I nie miałam adresu jego poczty internetowej.

Humoru nie poprawiło mi nawet to, że kiedy wróciłam do domu, Theresa była w kuchni i coś piekła. Okazało się zresztą, że to tylko placki z dynią (bleee!) na jutro. I to nawet nie dla nas, a dla jej dzieci i wnuków. Skoro była z nami przez cały tydzień, tylko u nas w domu mogła przygotować coś na własne Święto Dziękczynienia. Moja mama nie miała nic przeciwko ternu, bo i tak zawsze obchodziliśmy święta u babci w Baltimore.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała Theresa, kiedy weszłam do kuchni, rzuciłam kurtkę i plecak, a potem zajęłam się dietetycznymi krakersami, nawet nie narzekając, że nie mamy nic do jedzenia, kiedy przychodzi do nas Jack.

- Nic - odparłam.

Usiadłam przy kuchennym stole i spojrzałam na okładkę powieści, którą czytała Rebecca. Najwyraźniej porzuciła już romanse i wróciła do SF, bo zatonała w ostatnim odcinku *Akademii Jedi*. Uznałam, że dokonała mądrego wyboru.

- No to przestań wreszcie wzdychać.

Theresa była podenerwowana. Jak zawsze przed świętami. To dlatego, iż nigdy nie wie, z którą ze swoich ekszon pojawi się Ti to... Albo czy się nie pojawi z jakąś zupełnie nową żoną. Theresa mówi, że to więcej niż może znieść jakakolwiek normalna matka.

Westchnęłam jeszcze raz, a Rebecca podniosła wzrok znad książki.

- Jeżeli martwisz się nieobecnością Jacka - powiedziała znużonym tonem - to przestań. Prawdopodobnie dobieją tu z Lucy za parę minut. Poszli tylko do wypożyczalni wideo po kasetę ze *Szklaną pułapką*. Wiesz, że to ulubiony świąteczny film taty.

Pociągnęłam nosem.

- Czemu miałabym się martwić nieobecnością Jacka? - spytałam obojętnie. Rebecca tylko przewróciła oczami, a ja ciągnęłam, głosem może nieco donośniejszym niż zwykle: - Wiesz, Rebecca, że nie lubię Jacka. To znaczy, nie w taki sposób.

- Oczywiście, że nie - powiedziała, ale tak, jakby mi wcale nie uwierzyła, i wróciła do książki.

- Nie lubię - powiedziałam. - Boże! Jeszcze czego... Przecież to chłopak Lucy.

- I co? - Rebecca przewróciła stronę.

- Więc nie lubię go w taki sposób, jasne?

Boże, czy ja mam spędzić resztę życia, zapierając się swoich prawdziwych uczuć w rozmowie z każdą znajomą mi osobą? W szkole wszyscy wciąż gadali: Sam i David to, Sam i „David tamto. Nawet prasa od czasu naszej „poważnej” randki, nic tylko pisała: Sam i David to, Sam i David tamto. Coś nawet ukazało się w telewizyjnych wiadomościach. Ogólnokrajowych. No, może nie w głównym wydaniu, ale w „wiadomościach różnych”, które podaje się na pięć minut przed końcem dziennika. To było takie upokarzające. Reporterzy cały czas gadali; „I nie tylko Gwiazdka coraz bardziej zbliża się do naszej stolicy. Nie, w powietrzu zapachniało też wiosennie pączkującą miłością”.

Chciało mi się rzygać. Nie dziwię się już, że David nie pokazał się w pracowni Susan Boone. Okolica aż roiła się od reporterów, których grupka wrzasnęła, kiedy prześlizgnęłam się obok:

- Dobrze się bawiliście z Davidem na imprezie, Sam?

I to właśnie coś mi przypomniało. Popatrzyłam na Rebeccę i powiedziałam najpaskudniejszym tonem, na jaki się mogłam zdobyć:

- Poza tym, skoro podobno tak lubię Jacka, skąd się wzięło *frisson*, które rzekomo wyczuwasz między mną a Davidem, he? Jak mogę mieć *frisson* z jednym facetem, skoro podobno kocham się w innym?

Rebecca spojrzała na mnie i powiedziała:

- Bo jesteś kompletnie ślepa i nie widzisz tego, co masz przed samym nosem.

I wróciła do lektury.

Ślepa? O czym ona mówi? Jak to - ślepa? Dzięki Susan Boone nigdy w życiu lepiej nie widziałam. Czy nie narysowałam najlepszego jajka w całym studiu? A co z tymi tykwami, które robiłam wczoraj? Moje tykwy też były najlepsze. Moje tykwy zapędziły wszystkie inne tykwy w kozi róg. Nawet Susan Boone była pod wrażeniem. Podczas oceny na koniec zajęć, powiedziała wprost:

- Sam, robisz ogromne postępy.

„Ogromne postępy”, jak niby ślepa osoba mogłaby robić ogromne postępy w czasie lekcji rysunku? Wspomniałam o tym Rebecce, ale ona tylko dodała:

- Tak? No cóż, jajka i tykwy może i widzisz, ale nic poza tym. I wtedy powiedziałam jedyna rzecz, którą starsza siostra może powiedzieć młodszej, kiedy ta się zachowuje tak, jakby jej się wydawało, że pozjadała wszystkie rozumy.

A kiedy to powiedziałam, Theresa natychmiast wysłała mnie do mojego pokoju.

Było mi jednak wszystko jedno. I tak wolałam siedzieć u siebie w pokoju. W gruncie rzeczy, gdybym mogła przeforsować własne zdanie, w ogóle bym z niego nie wychodziła,



chyba że na posiłki i, oczywiście, żeby obejrzeć *Buffy - postrach wampirów*. Ale już dość. Bo wydaje się, że za każdym razem, kiedy wychodzę ze swojego pokoju, wpadam w jakieś tarapaty, Albo ratuję ludzi przed zamachami na ich życie, albo wdaję się w kłótnie na temat Picassa, albo mi mówią, że jestem ślepa.

No cóż, słowo się rzekło. Już nigdy nie wyjdę z pokoju. I nikt mi nie zabroni, tam siedzieć.

Zmusili mnie jednak, żebym wyszła i pojechała na świąteczny obiad do babci.

Zaraz po powrocie, znów próbowałam zamknąć się u siebie, jednak na sekretarce zastaliśmy wiadomość od pana White'a przypominającą rodzicom o Międzynarodowym Festiwalu Dziecka, na którym pożądana była moja obecność. Gdybym tam nie pojechała, nastąpiłby pewnie jakiś kryzys na skalę światową, więc mama powiedziała, że muszę pójść.

Ale to nie znaczy, że muszę się z tego cieszyć.

Spójrzmy prawdzie w oczy, to całe ambasadorowanie zaczynało mi wychodzić bokiem. Było właściwie jeszcze gorsze niż niemiecki. Za każdym razem, kiedy Jack mnie widział, pytał:

- I gdzie mój bilet do Nowego Jorku?

Bo właśnie to miało być nagrodą dla zwycięzcy konkursu *Widok z mojego okna*; podróż do Nowego Jorku, plus, rozumiecie, międzynarodowa sława i uznanie.

A ja musiałam cały czas grać i odpowiadać:

- Cha, cha, cha! Zwycięzca jeszcze nie został wyłoniony, Jack. Na co Jack stwierdzał:

- Tak, ale będę nim ja, nieprawdaż? A ja mówiłam tylko:

- Zobaczymy.

Zobaczymy. Chociaż wiedziałam, że to nie on będzie zwycięzcą. Ale co miałam powiedzieć? Nie chciałam być tą osobą, która przekaże mu złe nowiny. Wiedziałam, ile ten konkurs dla niego znaczył.

Więc nie mówiłam nic. Uśmiechałam się i milczałam. A w środku - łkałam. - No dobra, może nie dosłownie, ale wiecie, co mam na myśli. Serce mi się krajało.

W każdym razie, w sobotę wieczorem pojawiłam się na tym głupim Międzynarodowym Festiwalu Dziecka, który odbywał się w Białym Domu i który okazał się jakimś idiotycznym obiadem połączonym z koncertem. Co więcej, nie zauważyłam tam żadnych dzieci. Ja byłam najmłodsza!

Muzyka też nie bardzo im się udała. Zero niespodzianki. Jakieś Beaux Arts Trio. Taki zespół zaprosili. Pewnie Alien Ant Farm nie miało wolnych terminów.

Chociaż właśnie Beaux Arts Trio nie było takie złe. Grali muzykę klasyczną, podobną do tej, której słuchamy w pracowni Susan Boone. I chociaż niezupełnie dorównywali No Doubt, to jednak dawało się tego słuchać z przyjemnością.

Niestety, poza tym już nic tego wieczoru nie było przyjemne. Po pierwsze, musiałam

się przebrać. Pan White prosto z mostu poprosił moją mamę, żebym nie zakładała żadnych ze swoich zwykłych ubrań. Zamiast tego musiałam włożyć nową sukienkę, którą mama wybrała mi w Nordstrom's.

Na szczęście była czarna. Na nieszczęście, uszyto ją z aksamitu i bardzo mnie drapała, a z tym starym wyświechtanym gipsem wyglądałam idiotycznie. Mama usiłowała zrobić mi temblak z koronkowego szala, ale ciągle mi się rozwiązywał, więc go w końcu zostawiłam na krześle.

Poza tym musiałam założyć cienkie rajstop; - . Czarne. Ale zawsze rajstopy.

Może wam się wydaje, że to frajda, iść na prywatny koncert do Białego Domu, do Sali Złotej, która cała się błyszczy, z prezydentem i Pierwszą Damą, premierem Francji i jego żona i z jakimiś innymi ważnymi przedstawicielami międzynarodowych organizacji walczących o prawa dziecka. Może tak myślicie, ale mylicie się. To wszystko było potwornie nudne. Kelnerzy chodzili wkoło, serwując szampana - dla niepełnoletnich, to znaczy chyba wyłącznie dla mnie, 7 - up - i obrzydliwe przystawki.

Zażartowałam sobie, że to szczególnie dobry rocznik 7 - up, ale nikt tego nie zrozumiał, wszyscy byli kompletnie pozbawieni poczucia humoru...

Oprócz Davida, naturalnie. Ale zauważyłam, że on tam jest dopiero, kiedy już powiedziałam ten swój mały żarcik. A gdy to zrobiłam - to znaczy, zauważyłam Davida - praktycznie oplułam haustem 7 - up ambasadora Sri Lanki.

On - to znaczy ambasador - popatrzył na mnie jak na wariatkę. Ale wolę nawet to niż spojrzenie Davida, który przyglądał mi się, jakbym była jakimś włochatym robalem łączącym po salaterce z sałatą. Zauważyłam, że jego mama też kazała mu się przebrać. Ale ponieważ nie miał na ręce głupiego gipsu, wyglądał całkiem dobrze. Prawdę mówiąc, w ciemnym garniturze i w krawacie wyglądał rewelacyjnie.

Potem, kiedy zdałam sobie sprawę z tego, co właśnie myślę, znów o mało się zakrztusiłam. David? Rewelacyjne? Od kiedy to zaczęłam myśleć w ten sposób o Davidzie? To znaczy, jasne, zawsze uważałam, że jest fajny. Ale żeby zaraz przystojniak?

A potem nagle zrobiło mi się gorąco. Ale nie umiem powiedzieć, czy to dlatego, że zdałam sobie sprawę, iż uważam Davida za przystojniaka, czy dlatego, że czułam to szalone zawstydzenie, normalne u dziewczyny, kiedy wpadnie na faceta, którego usiłowała wykorzystać, żeby wzbudzić zazdrość innego faceta. Wiem tylko, że moja twarz miała kolor moich włosów. Wiem, bo udało mi się zerknąć w jedno z oprawnych w złote ramy luster.

Zastanawiałam się, czy to normalne dla zjawiska *frisson*? Bo jeśli tak, to miałam go już powyżej uszu. Rebecca mogła sobie wziąć z powrotem to swoje głupie *frisson*,

Śmierdziało tak samo jak przystawki.

David, oczywiście, był zbyt dobrze wychowany, żeby udawać, że mnie nie widzi. Podszedł z jednym z tych swoich uśmiezków, ale tym razem wyłącznie grzecznym, i powiedział:

- Cześć, Sam. Jak leci?

Zdławiłam to, co mi się cisnęło na usta, to znaczy: „Paskudnie, dziękuję, a ty?” - i przywitałam go standardowo:

- Dobrze, dzięki.

Stwierdziłam bowiem, że lepiej nie zaczynać całej sprawy - rozumiecie, tych moich przeprosin - przed wszystkimi gośćmi obecnymi na Międzynarodowym Festiwalu Dziecka.

- Co słychać? - spytałam. - Brakowało cię we wtorek u Susan. Oczy Davida pozostały chłodne.

- Nie mogłem. Wcześniejsze zobowiązania.

- Och - westchnęłam tylko.

Wcale nie to chciałam powiedzieć. Chciałam powiedzieć: „Davidzie, przepraszam cię! Przepraszam, dobrze? To znaczy, ja wiem, zrobiłam coś strasznego. Wiem, jestem okropna. Ale proszę, proszę, proszę, czy możesz mi wybaczyć?”

Tylko że ja tego powiedzieć nie mogłam. Po pierwsze, zalatywałyby to - troszeczkę - skamleniem u czyichś stóp. Po drugie, tata Davida wyszedł na środek sali i poprosił nas o zajęcie miejsc, bo lada chwila miał się zacząć koncert.

No więc wszyscy przeszliśmy do sąsiedniej sali, w której odbywał się koncert, i usiedliśmy. Skończyło się na tym, że siedziałam za Davidem i przez cały koncert miałam na niego całkiem dobry widok. Właściwie widok na jego ucho, ale zawsze.

I przysięgam, że nie słyszałam ani jednej nuty z tego, co grali sławni muzycy. Myślałam przez cały czas, patrząc na lewe ucho Davida: jak ja to zdołam naprawić? Naprawdę byłam zaskoczona, że tak bardzo tego pragnęłam. Ale tak było.

Po koncercie wszyscy poszli uściskać dłonie muzykom z Beaux Arts Trio. Prezydent przedstawił mnie jako dziewczynę, która uratowała mu życie i nastoletnią ambasadorkę Stanów Zjednoczonych przy ONZ. Altowiolinista podniósł moją dłoń do ust i pocałował. Pierwszy raz jakiś facet spoza mojej najbliższej rodziny pocałował jakąkolwiek część mojego ciała. Poczułam się dziwnie. Ale to pewnie dlatego, że on był bardzo stary.

- A czym - chciał wiedzieć pianista - zajmuje się nastoletnia ambasadorka przy ONZ?

Prezydent opowiedział mu o konkursie *Widok z mojego okna*, a potem dodał ze śmiechem:

- I sprawia, że Andy musi uczciwie zapracować na swoją pensję. Andy to imię pana White, sekretarza prasowego. I ja wcale nie sprawiam, że on uczciwie pracuje na swoją pensję, to jedno wiem, W gruncie rzeczy, to ja mu oddalam wszystkie moje piłki Superball. Nawet przestałam już go błagać, żeby mi pokazał listy od zбочeńców...

- Najwyraźniej - powiedział prezydent żartobliwym tonem - doszło do jakichś nieporozumień przy wyborze pracy, która najlepiej będzie reprezentować amerykańskie interesy na tej wystawie.

To mnie zdziwiło. Nie wiedziałam, że tata Davida orientuje się w tym, co się dzieje w biurze prasowym.

- Nie ma żadnego nieporozumienia - powiedziałam, mimo że prezydent właściwie nie zwracał się do mnie, i mimo że nieporozumienie jak najbardziej istniało. - Najlepsza jest praca Marii Sanchez. To ten rysunek wybrałam na wystawę.

Daję słowo, że nie zamierzałam wszczynać jakiegoś międzynarodowego sporu, ani nic. Właściwie wcale nie zastanawiałam się, co robię. Uwaga na temat Marii Sanchez wyrwała mi się, zanim zdążyłam pomyśleć, co mówię.

Prezydent odparł:

- Jeżeli to Maria Sanchez jest autorką rysunku z nielegalnymi imigrantami, to ten rysunek do Nowego Jorku nie pojedzie.

A potem odwrócił się i powiedział coś po francusku do premiera, a ten się roześmiał.

A ja na śmierć zapomniałam o tym, że David wygląda tak fantastycznie w garniturze. Zapomniałam o tym, jak bardzo chciałabym go przeprosić, i jak paskudnie się czuję, gdy pomyślę, że tak źle go potraktowałam. Zapomniałam o drapiącej sukience i cienkich rajstopach. Myślałam tylko o tym, że prezydent powierzył mi stanowisko nastoletniej ambasadorki podobno w nagrodę za to, że uratowałam mu życie...

Zajęłam się tym z przyjemnością, chociaż coraz częściej miałam wrażenie, że moje możliwości nie są właściwie wykorzystywane. W końcu są poważniejsze problemy, które dotyczą nastolatków, a na które mogłabym zwrócić międzynarodową uwagę, niż to, co dzieciaki widzą ze swoich okien. Zamiast siedzieć w biurze prasowym Białego Domu, czy pojawiać się na koncercie uświetniającym Międzynarodowy Festiwal Dziecka, mogłabym wyjść między ludzi i zaalarmować uwagę opinii publicznej tym, że w niektórych krajach, łącznie z naszym, w dalszym ciągu jest rzeczą legalną, żeby mężczyzna żenił się z nieletnią dziewczyną - a nawet wieloma nieletnimi dziewczynami! O co tu chodziło?

A co z takimi krajami, jak Sierra Leone, gdzie nastolatkom, a nawet młodszym dzieciom, obcina się ręce jako „przestrożę” przed mieszaniem się w sprawy wojujących ze

sobą gangów handlarzy diamentami? A co z krajami, w których nieczynne kopalnie odkrywkowe znajdują się koło pól, na których dzieciaki chciałyby grać w piłkę, ale nie mogą, bo to jest niebezpieczne?

A co powiecie na problem z naszego podwórka? Co z tymi wszystkimi dzieciakami, które tutaj, w Ameryce, przynoszą do szkoły broń i zaczynają strzelać do ludzi? Skąd oni biorą tę broń i jak to się dzieje, że przychodzi im do głowy, że strzelanie do ludzi jest sensownym rozwiązaniem ich problemów? i dlaczego nikt nie robi nic, żeby trochę zmniejszyć presję, która może doprowadzić kogoś do myśli, że przyniesienie broni do szkoły to dobry pomysł? Jak to się dzieje, że nikt nie uczy takich ludzi jak Kris Parks, żeby byli dla innych bardziej tolerancyjni i przestali znęcać się nad dziewczynami, którym matki każą zakładać do szkoły długie spódnice?

To są naprawdę ważne problemy, którymi jako nastoletnia ambasadorka Stanów Zjednoczonych przy ONZ mogłabym się zająć. A co oni mi kazali robić? Kazali mi liczyć rysunki!

I wiecie co? Przyszło mi do głowy, że cała ta akcja z nastoletnią ambasadorką została wymyślona po to, żeby prezydent - który, jak podejrzewałam, bardziej dbał o swój wizerunek niż o nastolatków własnego kraju - mógł dobrze wyglądać. No wiecie, dał prestiżowe zajęcie dziewczynie, która uratowała mu życie.

Ale nie powiedziałam tego wszystkiego głośno. A szkoda. Powinnam była.

Powstrzymała mnie jednak obecność tych wszystkich ludzi - Tria Beaux Arts, premiera Francji i ambasadora Sri Lanki, nie wspominając już o Davidzie.

Miałam wyrobiony pogląd na wiele różnych spraw, ale brakowało mi pewności siebie i nie byłam w stanie wyrażać go w gronie szerszym niż moja najbliższa rodzina i przyjaciele.

Ale wiedziałam, że jedną rzecz zrobić muszę: wysłać rysunek Marii Sanchez na wystawę *Widok z mojego okna*.

Położyłam więc rękę na ramieniu prezydenta i powiedziałam:

- Przepraszam, ale ten rysunek musi pojechać do Nowego Jorku. Jest najlepszy. Może nie pokazuje Ameryki z najlepszej strony, ale to jest najlepszy rysunek. Najbardziej uczciwy. Musi się znaleźć na wystawie.

Zapadła cisza. Nie wydaje mi się, żeby każda osoba w tej sali patrzyła na mnie, ale z całą pewnością czułam się tak, jakby patrzyli na mnie absolutnie wszyscy.

- Samantha, przepraszam cię, ale to niemożliwe - odparł zdziwiony prezydent. - Będziesz musiała wybrać jakąś inną pracę. Może tę z latarnią morską? Dobrze ukazuje, czym jest nasz kraj.

I wrócił do rozmowy z premierem.

Nie wierzyłam własnym uszom. Po prostu mnie zignorował. Jakby nigdy nic!

No cóż, wiecie, co się mówi o rudzielcach. Nie mogłam powstrzymać tego, co stało się potem. „Usłyszałam, że wypowiadam jakieś słowa, chociaż wydawało mi się, że płyną z ust jakiejś innej dziewczyny. Może Gwen Stefani? Bo na pewno nie z moich.

- Jeśli nie chciał pan, żeby ta robota została wykonana porządnie - powiedziałam chyba dość głośno, bo kelnerzy i większość gości, łącznie z Beaux Arts Trio, odwróciła się i spojrzała na mnie - to trzeba było nie dawać jej mnie. Bo ja nie wybiorę innego rysunku. Wszystkie inne rysunki pokazują, co ci ludzie wiedzą. Rysunek Marii pokazuje to, co ona widzi codziennie ze swojego okna. Może się to panu nie podobać, ale nie pozwalając innym tego zobaczyć, nie sprawi pan, że tamten widok przestanie istnieć, albo że problem sam się rozwiąże.

Prezydent popatrzył na mnie, jakbym była umysłowo chora. Może jestem. Nie wiem. Wiem tylko, że byłam tak wściekła, że aż się trzęsłam, i wyobrażam sobie, że moja twarz musiała mieć wyjątkowo atrakcyjny odcień purpury.

- Czy ta artystka jest twoją znajomą, czy co? - zapytał.

- Nie, nie znam jej - odparłam. - Ale wiem, że jej rysunek jest najlepszy.

- To twoje zdanie - powiedział prezydent.

- Tak, to moje zdanie.

- No cóż, więc po prostu będziesz musiała je zmienić. Bo ten rysunek nie będzie reprezentował tego kraju na żadnym międzynarodowym konkursie plastycznym.

A potem tata Davida odwrócił się do mnie plecami i zaczął rozmawiać z innymi gośćmi.

Nie odezwałam się więcej. Co mogłam jeszcze powiedzieć? Zostałam po prostu odprawiona.

Nie zauważyłam, kiedy podszedł do mnie David.

Zapomniałam o nim na śmierć.

- Chodź ~ powiedział.

Przypuszczam, że gdybym nie była tak strasznie zdenerwowana, zdziwiłabym się bardziej tym, że David się do mnie odezwał. Najwyraźniej chciał mnie jakoś pocieszyć po tym, co się właśnie stało. Przynajmniej taki wniosek wyciągnęłam, kiedy wprowadził mnie z Sali Złotej i zabrał do salonu, w którym siedzieliśmy pierwszego wieczoru, kiedy przyszedłam tu na obiad. Tam, gdzie wydrapał na parapecie moje imię.

- Sam - powiedział - to nie jest aż tak ważne. To znaczy, ja wiem, że tak, ale to nie

jest, no wiesz, kwestia życia i śmierci.

Jasne. To nie Sierra Leone ani Utah. Nikomu tu nie obetną dłoni ani nie będą zmuszać do wyjścia za mąż w wieku czternastu lat za faceta, który ma już trzy żony.

- Zdaję sobie z tego sprawę - zgodziłam się. - Ale to i tak nie w porządku.

- Być może - powiedział David. - Ale powinnaś coś zrozumieć. Jest mnóstwo spraw, o których my nie wiemy, a oni muszą je brać pod uwagę.

- Na przykład? - zaciekałam się. - Czy to, że wybiorę tamten rysunek zagrozi naszemu bezpieczeństwu narodowemu? Nie sądzę.

David ściągnął krawat, jakby nagle zaczął go dusić.

- Może oni po prostu woleliby coś weselszego - powiedział. - Wiesz, taki, który pokaże Stany Zjednoczone w dobrym świetle.

- To nie ma nic wspólnego z tym konkursem - odparłam. - To ma być wystawa, na której przedstawiciele różnych krajów pokażą, co widzą ze swoich okien. W regulaminie nie ma ani słowa o tym, że to, co widzi dana osoba, musi rzucać pozytywne światło na jej czy jego kraj. Rozumiałabym, dlaczego w Chinach nie pozwala się komuś przedstawiać państwa w negatywnym świetle, ale to jest Ameryka, na litość boską. Sądziłam, że mamy zagwarantowaną wolność słowa.

David usiadł na poręczu mojego fotela.

- Bo mamy - powiedział.

- Jasne - powiedziałam. - Wszyscy poza nastoletnią ambasadorką przy ONZ.

- Masz zagwarantowaną wolność słowa - powtórzył David. Powiedział tu z dziwnym naciskiem, ale byłam wtedy tak zdenerwowana, że nie zrozumiałam, o co mu chodzi.

- Myślisz, że mógłbyś z nim porozmawiać, Davidzie? - spytałam, podnosząc wzrok. W pokoju było ciemno. Jedyne światło wpadało przez okna od strony Rotundy i trudno było coś odczytać w zielonych oczach Davida. Jednak mówiłam dalej: - To znaczy, z twoim tatą. Może cię wysłucha.

Ale David odparł:

- Sam, nie chcę cię rozczarować, ale jedyna rzecz, u której z zasady nie rozmawiam z tatą, to polityka.

Chociaż powiedział, że nie chce mnie rozczarować, to właśnie zrobił. Byłam bezbrzeżnie rozczarowana.

- Ale to nie w porządku! - zawołałam. - To znaczy, tamten rysunek jest najlepszy! Zasługuje na pokazanie na wystawie! Tylko spróbuj, Davidzie, dobrze? Obiecay mi, że spróbujesz z nim porozmawiać. Jesteś jego synem. Wysłucha cię.



- Nie wysłucha - odparł David. - Wierz mi.

- Oczywiście, że cię nie wysłucha, jeżeli nawet nie spróbujesz. Ale David nie chciał obiecać, że spróbuje. Miałam wrażenie, że w ogóle nie chciał się w to angażować. Co tylko jeszcze bardziej mnie przygnębiło. Zachowywał się, jakby to nie miało znaczenia. Wyraźnie nie rozumiał, jak ważna była ta sprawa. Myślałam, że jako artysta to zrozumie. Ale on naprawdę nie rozumiał. Byłam tak rozczarowana, że nie wytrzymałam i palnęłam:

- Jack by spróbował.

I chociaż powiedziałam to właściwie do siebie, David usłyszał.

- Och, na pewno - rzucił gorzko. - Jack jest ideałem.

- Jack przynajmniej stara się stanąć po jakiejś stronie - powiedziałam z zapalem. - Wystrzelał na przykład z wiatrówki szyby w oknach gabinetu doktora Rydera, protestując przeciwko stosowaniu leków testowanych na zwierzętach.

Na Davidzie nie zrobiło to wrażenia.

- Więc zrobił coś naprawdę głupiego.

Nie mogłam zrozumieć, jak David może coś takiego mówić. Jak w ogóle mógł coś takiego pomyśleć.

- Och, jasne - roześmiałam się z goryczą. - Bardzo to głupie, że stanął w obronie krzywdzonych zwierząt.

- Nie - powiedział chłodno David. - Głupio, że protestował przeciwko czemuś, co ratuje ludziom życie. Jeżeli naukowcy nie testowaliby leków na zwierzętach, zanim użyją ich na ludziach, mogliby pogorszyć stan chorych albo nawet ich zabić. Czy tego właśnie chce Jack?

Popatrzyłam na niego, mrugając nerwowo. Nigdy w ten sposób o tym nie myślałam.

- Nieważne - skwitował David i wzruszył ramionami. - Jack to... Zaraz, jak ty go nazwałaś? Ach, tak. Może właśnie przeciw temu w dzisiejszych czasach występują buntownicy. Przeciw polepszaniu losu chorych ludzi, ja tam nie wiem. Najwyraźniej brakuje mi kośćca moralnego.

I wtedy, zupełnie jakby nie mógł już dłużej znieść przebywania ze mną w jednym pokoju - jakbym była jedną z tych obrzydliwych przekąsek - David odwrócił się i zostawił mnie samą. Po ciemku. Jakbym cierpiała na ślepotę, o którą oskarżała mnie Rebecca.

A najsmutniejsze w tym wszystkim było to, że naprawdę zaczynałam myśleć, że ona może mieć rację. Bo mimo tego, co powiedziała mi Susan Boone, miałam wrażenie, że błędę po omacku. Jak ślepiec.

Kiedy wróciłam do domu, zaskoczył mnie widok Lucy, która siedziała w salonie i przeglądała „Elle”.

- Co ty tu robisz? - Wyrwało mi się, zanim zdążyłam się powstrzymać. Nie widziałam Lucy w domu w sobotni wieczór, odkąd skończyła dwanaście lat. - Gdzie Jack?

Może wreszcie zerwali? - pomyślałam. Może widząc mnie z innym facetem na imprezie u Kris Parks, Jack wreszcie zdał sobie sprawę ze swoich prawdziwych uczuć do mnie?

Ale najważniejszym pytaniem było: jeżeli to prawda, dlaczego wcale nie czuję się szczęśliwa? Skąd te mdłości? Pewnie przez przystawki, które zjadłam pochopnie, zanim zorientowałam się, co to za obrzydlistwo...

- Och, Jack ogląda telewizję - powiedziała Lucy znudzonym tonem. Widziałam, że zajęła się wypełnianiem kwestionariusza numerologicznego. - Musi przeczytać jakąś książkę na angielski... *Wichrowe Wzgórze*. Klasówka jest w poniedziałek, a on, oczywiście, nawet do niej nie zajrzał. Powiedzieli, że jeśli zawali angielski, to nie dadzą mu w maju promocji.

Zdjęłam kurtkę i koronkowy temblak i opadłam na sofę obok niej.

- I czyta ją teraz? U nas w domu?

- Boże, nie! - wykrzyknęła Lucy. - Dają ten film na kanale A and E. Siedzi na górze i ogląda. Ja też próbowałam, ale chociaż gra w nim Ralph Fiennes, po prostu nie da się na to patrzeć. Co myślisz o tej spódnicy? - Przewróciła kartkę magazynu.

- Chyba niezła. - Zdawało mi się, że umysł pracuje mi wyjątkowo wolno, chociaż na Międzynarodowym Festiwalu Dziecka piłam wyłącznie 7 - up. - Gdzie rodzice?

- Poszli na przyjęcie. No wiesz, jakaś impreza charytatywna na rzecz sierot z Afryki, czy coś takiego. Nie wiem dokładnie. Wiem tylko, że Theresa nie przyjdzie, bo Tito złamał sobie stopę, przesuwając lodówkę, więc utknęłam w domu i pilnuje, żeby panna ET nie wysadziła go w powietrze, O mój Boże! - Lucy opuściła magazyn. - Powinnaś to zobaczyć. Do Rebecki przyszła na noc przyjaciółka. Pamiętasz, jak kiedyś nocowała u nas Kris Parks i obie bawiłyście się Barbie aż do świtu? No to zgadnij, co robią Rebecca i jej koleżanka. Och, one tylko składają model DNA z klocków Tinkertoys... - Lucy pokazywała mi teraz zdjęcie jakiegoś kostiumu. - Pomyślałam sobie, że musimy kupić ci coś takiego na ceremonię wręczenia odznaczeń - dodała. - Wiesz, zostały nam zaledwie dwa tygodnie, żeby zdobyć ci jakiś naprawdę wystrzałowy strój. Mówiłam mamie, że powinnyśmy były wstąpić do

centrum, wracając od babci...

- Lucy - przerwałam jej.

Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Ze wszystkich ludzi na ziemi wybrałam Lucy i opowiedziałam jej o moich problemach.

Ale tak się stało. Wyrzuciłam z siebie wszystko. Słowa wylewały się ze mnie jak lawa z wulkanu. I w żaden sposób nie mogłam tego powstrzymać.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że Lucy odłożyła magazyn i naprawdę mnie słuchała. Patrzyła mi prosto w oczy, i przez pięć minut nie powiedziała ani słowa.

Zazwyczaj, oczywiście, me dzielę się szczegółami swojego życia osobistego ze starszą siostrą, ale skoro Lucy jest ekspertem od wszystkich spraw związanych ze stosunkami międzyludzkimi, pomyślałam sobie, że może rzuci jakieś światło na dziwaczne zachowanie Davida. I może na moje własne. Nie wspominałam nic o Jacku, no wiecie, o tym, że jest moją bratnią duszą, i tak dalej. Tylko o tamtej imprezie i o tym, jak nieładnie David się do mnie odnosił na Międzynarodowym Festiwalu Dziecka, i o tym dziwnym *frisson* i innych takich rzeczach.

Kiedy skończyłam, Lucy tylko przewróciła oczami.

- Boże! - powiedziała. - Z następną poważną sprawą przyjdź od razu do mnie, dobra?

Patrzyłam na nią osłupiała.

- Co?

No bo ja tu przecież dopiero co obnażyłam przed nią duszę - a przynajmniej większą jej część - a ona wydaje się rozczarowana, że mój problem nie jest ciekawszy.

- O co ci chodzi?

- Chodzi mi o to, że sprawa między tobą a Davidem jest zupełnie oczywista. - Położyła nogę obutą w kapeć na stoliku.

- Naprawdę? - Dziwne, ale moje serce znów zaczęło przyspieszać. - I co to jest? To, co się dzieje między nami?

- Kurczę! - westchnęła Lucy. - Nawet Rebecca się zorientowała! A przecież ona nie ma pojęcia o kontaktach międzyludzkich.

- Lucy... - Ze wszystkich sił próbowałam nie wydrzeć się na nią ze złości. - Powiedz mi. Powiedz mi, co się dzieje między mną a Davidem, albo przysięgam na Boga...

- Rany wyluzuj! Powiem ci, ale musisz mi obiecać, że się nie wściekniesz.

- Nie wścieknę się - obiecałam. - Przysięgam.

- Dobrze. - Lucy przyjrzała się swoim paznokciom. Widziałam, że ma świeżo zrobiony manicure. Każdy paznokieć był idealnym owalem z idealną białą obwódką. Moje

paznokcie nigdy nie wyglądają tak schludnie, bo na ogół są pobrudzone ołówkiem lub farbami.

Lucy wzięła głęboki oddech, potem wypuściła powietrze i powiedziała:

- Ty go kochasz. Zamrugałam energicznie.

- Co? Ja co?

- Obiecałaś mi, że się nie wściekniesz - powiedziała ostrzegawczo Lucy.

- Nie jestem wściekła - wycodziłam.

Chociaż, oczywiście, byłam. Otworzyłam przed nią swoje serce, a ona mi tu wyskakuje z czymś takim? Że ja Kocham Davida? Czy mogło być coś odleglejszego od prawdy?

- Ale ja go nie Kocham.

- Boże, Sam! - Z jękiem oparła głowę o poduszki sofy. - Oczywiście, że go Kochasz. Mówisz, że kiedy się do ciebie uśmiecha, serce mało ci nie wyskoczy. I że kiedy jesteś przy nim, to się czerwienisz. I że kiedy był na ciebie wściekły, bo się nim popisowałaś na imprezie u Kris Parks jak rybą złowioną na jakimś matrymonialnym konkursie wędkarskim, poczułaś się paskudnie. I co to wszystko jest twoim zdaniem, Sam, jak nie miłość?

- *Frisson?* - zasugerowałam z nadzieją.

- To jest właśnie miłość, idiotko! - wrzasnęła i rzuciła we mnie poduszką. - Wszystko to, co czujesz, kiedy patrzysz na Davida! Dokładnie to samo czuję, kiedy patrzę na Jacka. Nie łapiesz jeszcze? Kochasz go. I o ile się nie mylę, wszystkie znaki wskazują na to, że on czuje to samo do ciebie. A przynajmniej czuł, zanim wszystko zepsułaś.

Nie mogłam jej, oczywiście, powiedzieć, że się myli. Nie mogłam powiedzieć, że to niemożliwe, żebym kochała się w Davidzie, skoro Kocham się w jej chłopaku niemal od pierwszego wejrzenia.

Ale musiałam przyznać, że to brzmiało trochę.... prawdopodobnie. To znaczy, biorąc pod uwagę zjawisko *frisson*. Chociaż bardzo kochałam Jacka, musiałam przyznać, że serce nie zaczynało mi bić szybciej na jego widok. I nigdy nie było mi trudno patrzeć Jackowi w oczy - mimo że jego bładoniebieskie oczy były tak samo piękne jak zielone oczy Davida. I chociaż rumieniłam się, kiedy Jack był w pobliżu, to - no cóż - prawdę mówiąc, jestem ruda i rumienię się przy każdym.

Ale najczęściej w towarzystwie Davida.

A co ze sprawą, na którą zwrócił mi uwagę David? To znaczy z tym, że wielkomijski bunt Jacka był taki trochę... no, udawany? Bo jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to było udawane. Kiedy powystrzelał okna w gabinecie swojego taty, protestując przeciwko

działaniu, które - owszem - mogło krzywdzić zwierzęta, ale pomagało chorym ludziom, to też udawał.

A wtedy, kiedy kąpał się nago w basenie Klubu Sportowego Chevy Chase? Przeciwno czemu wtedy protestował? Przeciw ostrym regułom dotyczącym strojów kąpielowych wymaganych przez ten klub? Założę się, że w Klubie Sportowym Chevy Chase jest mnóstwo ludzi, których nie chciałoby się oglądać nago. Czy zatem zasady dotyczące strojów kąpielowych nie były czymś dobrym?

No więc, co to wszystko znaczyło? Czy to możliwe, że Lucy ma rację? Czy to w ogóle w przybliżeniu możliwe? Odkochałam się w Jacku i zakochałam w Davidzie, nie zdając sobie z tego sprawy... aż do teraz?

I jak to się stało, że ja, Samantha Madison, której wydawało się, że wie wszystko, okazuję się osobą, która nie wie zupełnie nic.

Wciąż usiłowałam się w tym wszystkim połapać, kiedy pięć minut później zostawiłam Lucy w salonie (zadowoloną, że rozwiązała wszystkie moje problemy) i poszłam do kuchni po coś do przegryzienia, bo jedzenie na tej całej uroczystości trudno było nazwać zjadliwym.

Wyobrażacie sobie, jak niezręcznie się poczułam, kiedy wgryzałam się w kanapkę z indykiem (z majonezem i niczym więcej, na białym chlebie), a do kuchni wszedł Jack.

- O, cześć Sam - rzucił, podchodząc do lodówki. - Nie wiedziałem, że już wróciłaś. Jak było na przyjęciu?

Przełknęłam kawałek kanapki, którą wepchnęłam sobie w usta, kiedy wchodził.

- Hm - odpowiedziałam. - Nieźle. *Wichrowe Wzgórza* się skończyły?

- Hę? - Zajęty był grzebaniem w lodówce. - Nie, jeszcze nie. Reklamy, Hej, no to na czym stanęło, Sam? - Wyjął marchewkę z pojemnika na warzywa i zaczął ją głośno chrupać. - Jedzie ten mój rysunek cło Nowego Jorku czy nie?

Wiedziałam, że prędzej czy później będę musiała odbyć tę rozmowę. Tylko ciągle miałam nadzieję, że to będzie później. Stwierdziłam, że równie dobrze mogę to już mieć za sobą.

- Jack - zaczęłam - posłuchaj...

Zanim jednak słowa wydobyły się z moich ust, Jack zaczął mówić z niedowierzaniem:

- Sekundę. Poczekaj. Nie mów mi. Widzę to po twojej twarzy. Nie wygrałem, tak?

Wzięłam głęboki, uspokajający oddech, szykując się na ból, jaki - wiedziałam - będzie musiał nadejść, kiedy powiem to jedno słowo, które tak bardzo go zrani.

- Tak - odparłam.

Jack, nie zamknąwszy drzwi lodówki, cofnął się o krok. Naprawdę go zraniłam. Do

końca życia będę miała poczucie winy.

Ale, co dziwne, wcale nie czułam bólu. Naprawdę. Byłam na ten ból gotowa. Byłam gotowa na to, że zaleje mnie intensywny żal z powodu poczucia winy.

Jednak nie się nie stało. Nic. *Nada*. Zero. Było mi przykro, ale nie bolało.

To dziwne. Jak mogę ranić mężczyznę, którego kocham - bratnią duszę, człowieka, z którym zamierzałam spędzić resztę życia - i prawie niczego nie czuć?

- Nie wierzę ci - powiedział, wreszcie odzyskując głos. - Ja ci, cholera, nie wierzę. Nie wygrałem? Poważnie mówisz mi, że nie wygrałem?

- Jack... - zaczęłam, wciąż ogłuszona tym, że nie czuję ani odrobiny bólu. - Bardzo mi przykro. Było tyle świetnych kandydatur i...

- To niewiarygodne! - wykrzyknął. A właściwie nie tyle wykrzyknął, co wrzasnął. Manet, który zgodnie ze swoim zwyczajem wszedł do kuchni, kiedy tylko usłyszał, że otwierają się drzwi lodówki, zastrzygł uszami. - To jest, cholera, niewiarygodne!

- Jack - powiedziałam - jeżeli jakoś mogę ci to wynagrodzić...

- Dlaczego?! - zapytał, a jego jasnoniebieskie oczy były szeroko otwarte i patrzyły na mnie gniewnie. - Powiedz mi tylko, dlaczego. Sam. Możesz to zrobić? Możesz mi powiedzieć, dlaczego mój rysunek nie został wybrany?

- No cóż, Jack - odparłam powoli - mieliśmy mnóstwo zgłoszeń. Naprawdę masę.

Jack, o ile mogłam się zorientować, w ogóle mnie nie słuchał.

- Mój rysunek był zbyt kontrowersyjny - stwierdził. - To dlatego. Tak musiało być. Powiedz mi prawdę, Samantho. Chodzi o to, że nie wygrał, bo wszyscy uznali, że jest zbyt kontrowersyjny, tak? Nie chcieli, żeby inne kraje przekonały się, jak apatyczna jest współczesna amerykańska młodzież, tak?

- Nie, niezupełnie...

Oczywiście, powinnam była powiedzieć: „Tak, dokładnie tak”. Bo taki powód byłby dla Jacka bardziej do przyjęcia, niż ten, który jak idiotka wyjawiałam sekundę potem, kiedy dopytywał się:

- No to dlaczego?!

- Chodzi o to - powiedziałam, chcąc poprawić mu samopoczucie, a jednocześnie pragnąc, żeby zrozumiał, w czym rzecz - że nie narysowałeś tego, co naprawdę widzisz.

Jack w pierwszej chwili nie zareagował. Patrzył tylko w milczeniu, jakby nie dotarły do niego moje słowa.

- Co? - spytał wreszcie, zupełnie zdezorientowany.

- Jack, zrozum, musisz przyznać, że nie narysowałeś tego, co naprawdę widzisz.

Wiecznie rysujesz rozczarowaną młodzież i twoje prace są naprawdę świetne, nie zrozum mnie źle. Ale nie są prawdziwe. Ludzie na nich nie są prawdziwi. Ty nawet nie znasz takich ludzi. To tak, jakbyś... No cóż, jakbyś rysował ananasa tam, gdzie go nie ma. Jest ładnie, i tak dalej, ale to nie jest uczciwe. To nie jest prawdziwe. Z okna twojej sypialni nie widać sklepu 7 - Eleven, wątpię, czy widać nawet chociaż jedną puszkę po piwie.

Oczywiście, nie wiedziałam z całą pewnością, co Jack widzi z okna swojej sypialni. Zgadywałam.

A jednak, musiałam być całkiem bliska prawdy, bo udało mi się go rozwścieczyć.

- Nie narysowałem tego, co naprawdę widzę?! - ryknął. - Nie narysowałem tego, co naprawdę widzę?! O czym ty gadasz?!

- N - no cóż - zająknęłam się przestraszona jego reakcją. - Rozumiesz, to, co powiedziała Susan Boone. O tym, żeby malować to, co się widzi, a nie to, co człowiek sobie tylko myśli...

- Sam! - wrzasnął Jack. - To nie jest jakaś cholerna lekcja rysunku! To moja szansa na wejście do artystycznego świata Nowego Jorku! A ty skreśliłaś mój rysunek. bo nie narysowałem na nim tego, co widzę?! Co z tobą jest?!

- Hej! - Ciszę przerwał znajomy głos. Na korytarzu z gniewną miną stała Lucy.

- Co tu się dzieje? - spytała. - W całym domu słyhać wasze wrzaski. O co chodzi?

Jack pokazał na mnie palcem. Był tak wściekły, że nawet nie mógł znaleźć słów, którymi miałby wyjaśnić swojej dziewczynie, co zrobiłam.

- O - ona... - zaciął się. - O - ona mówi, że nie r - rysowałem tego, co widzę.

Lucy popatrzyła na Jacka, potem na mnie i znów na Jacka, przewróciła oczami i powiedziała:

- O Boże, Jack, pocięło cię, czy co?

A potem, ciągnąc go za ramię, zamaszystym krokiem wyprowadziła go z kuchni. Szedł za nią jak nawiedzony.

Ale nie tylko Jack czuł się ogłupiały. Ja też.

I to nie dlatego, że tak się na mnie wydzierał. Nawet nie dlatego, że chociaż możemy być bratnimi duszami, ja ani przez sekundę mu nie współczułam.

Nie. Czulałam się ogłupiała z powodu tego, co się stało, kiedy Jack wszedł do kuchni, a ja wpychałam sobie do ust kanapkę. Wszedł, jego szerokie ramiona wypełniły drzwi na koniarz...

A moje serce nawet nie drgnęło.

Puls ani odrobinę nie przyspieszył.

Nie miałam najmniejszych kłopotów z oddychaniem, a na moich policzkach nie pojawił się nawet cień rumieńca.

Kiedy Jack wszedł do kuchni, nie zdarzyła się żadna z tych rzeczy, które się zdarzają, kiedy widzę Davida. Żadnego *frisson*. Najmniejszego śladu *frisson*.

A to mogło znaczyć tylko jedno.

Lucy miała rację.

Zakochałam się w Davidzie.

W Davidzie, którego tata miał mnie powyżej uszu, bo postawiłam mu się w sprawie konkursu.

W Davidzie, który podarował mi hełm w stokrotki i powiedział, że mam fajne glany i wydrapał moje imię na parapecie okna w Białym Domu.

W Davidzie, który - jestem tego pewna - nie ma ochoty nigdy więcej widzieć mnie na oczy za to, że usiłowałam go wykorzystać, by wzbudzić zazdrość Jacka.

W Davidzie, który przez cały ten czas był idealnym facetem dla mnie, a ja byłam za głupia i ślepa - żeby to dostrzec.

Nagle kanapka z indykiem, którą cały czas żułam, przestała mi smakować. Mówiąc szczerze, smakowała paskudnie. A ten kawałek, który już zjadłam, pchał mi się z powrotem do gardła.

Co ja narobiłam?!

Co ja narobiłam?!

A co ważniejsze... Co mam zrobić teraz?



Dziesięć głównych powodów, dla których najprawdopodobniej umrę młodo (nie żeby to była aż taka tragedia, w zaistniałych okolicznościach):

10. Jestem leworęczna. Badania wykazały, że ludzie leworęczni umierają dziesięć do piętnastu lat wcześniej niż praworęczni i z tego powodu cały świat, począwszy od samochodów, przez stoliki, przy których zdaje się egzaminy państwowe, a skończywszy na bankomatach, przystosowany jest dla praworęcznych. Wreszcie, po jakimś czasie, my mańkuty poddajemy się i umieramy, zamiast próbować jeszcze raz zapisać coś w kołonoatniku, który ma spiralę z lewej strony, a jej druty wbijają ci się w nadgarstek.

9. Jestem ruda. Rudzi mają osiemdziesiąt pięć procent więcej szans na zapadnięcie na śmiertelną odmianę raka skóry niż ktokolwiek inny na tej planecie.

8. Jestem niska. Niscy ludzie umierają szybciej niż wysocy. To znany fakt. Nikt nie wie dlaczego, ale zakładam, że to ma coś wspólnego z tym, że ludzie tak niscy jak ja nie mogą odczytać w aptekach napisów na buteleczkach z ważnymi dla zdrowia antyoksydantami, bo zawsze ustawione są na najwyższych półkach.

7. Nie mam nikogo naprawdę bliskiego. Poważnie. Ludzie, którzy są w bliskich, romantycznych związkach, żyją przeciętnie pięć lat dłużej niż osoby samotne.

6. Mieszkam w dużym mieście. Badania dowodzą, że ludzie, którzy mieszkają w rejonach gęsto zaludnionych, takich jak Waszyngton, umierają szybciej niż ludzie, którzy mieszkają na wsi, na przykład w Nebrasce, a to z powodu wyższej emisji czynników rakotwórczych, takich jak spaliny i proch z przypadkowych wystrzałów w wojnach gangów ulicznych.

5. Jem dużo czerwonego mięsa. Wiecie, jaka grupa ludzi żyje najdłużej ze wszystkich? Tak, to będzie ten szczerp mieszkający gdzieś na Syberii, którego członkowie żywią się wyłącznie jogurtem i kielkami pszenicy. Poważnie. Chyba nie są wegetarianami: myślę, że po prostu nie mogą znaleźć żadnego mięsa, bo wszystkie krowy pozamarzały. W każdym razie, oni wszyscy dożywają średnio stu dwudziestu lat. Nie cierpię jogurtu, nie mówiąc już o kielkach, i jem hamburgera przynajmniej raz dziennie. Jadłabym nawet częściej, gdybym zdołała kogoś namówić, żeby go dla mnie robił. Już jestem martwa.

4. Jestem środkowym dzieckiem. Środkowe dzieci umierają wcześniej niż ich starsze i młodsze rodzeństwo, bo z reguły są ignorowane. Nigdy nie widziałam niezbitego dowodu potwierdzającego ten pogląd, ale jestem pewna, że to prawda. To sprawa, która po prostu czeka, aż ktoś ją opíše szerokiej publiczności w *60 minut* albo czymś takim.

3. Nie jestem żadnego konkretnego wyznania. Rodzice kompletnie pominęli nasze wychowanie religijne, z powodu własnego egoistycznego agnostycyzmu. Na przykład

twierdzą, że skoro nie jesteśmy przekonani o istnieniu Boga, to nie wolno nam chodzić do kościoła. A tymczasem, są statystyczne dowody, że wierzący i praktykujący żyją dłużej, i są szczęśliwsi niż ci, którzy do kościoła nie chodzą. I gdzie właściwie odbędzie się mój pogrzeb, kiedy już umrę? Rodzice powinni zastanowić się nad takimi rzeczami, zanim wyszli z tym całym: „Pozwólmy, żeby dzieci same decydowały, w co chcą wierzyć”. Równie dobrze mogę umrzeć, zanim w ogóle zdołam poznać wszystkie dostępne mi religijne opcje. Chociaż obecnie coraz bardziej skłaniam się ku hinduizmowi, bo pociąga mnie reinkarnacja. Z drugiej strony, wątpię czy umiałabym zrezygnować z wołowiny, więc to może być pewien problem.

2. Mam psa. Chociaż ludzie mający zwierzęta generalnie żyją dłużej. Ale najdłużej ci, którzy mają koty. To zupełnie prawdopodobne, że przez Maneta umrę pięć lat wcześniej, niż gdyby był kotem.

A oto najważniejszy powód, dla którego najprawdopodobniej umrę młodo:

1. Mam złamane serce. Naprawdę. Wszystkie znaki na niebie i ziemi na to wskazują. Nie mogę spać, nie mogę jeść. Nawet hamburgerów. Za każdym razem, kiedy dzwoni telefon, puls mi skacze... Ale to nigdy On. Wiem, że to moja wina. Wszystko zepsułam. Ale wcale nie czuję się przez to lepiej. Rana zadana własną ręką nie boli mniej.

To prawda, że ludzie nie potrafią funkcjonować ze złamanym sercem. To znaczy, oczywiście, umiałabym żyć. bez Davida, ale co by to było za życie? Wegetacja w pustej skorupie. A miałam taką idealną szansę na miłość i ją zaprzepastałam! Schrząniłam! Miałam otwarte oczy, a niczego nie widziałam. I nici z miłości. Daję sobie dwa tygodnie, zanim całkiem się załamie.

Stałam na werandzie Susan Boone i czułam się jak idiotka. Ale z drugiej strony, skoro i tak wiecznie czuję się jak idiotka, nie było to nic nowego.

Z drugiej strony, zazwyczaj czuję się jak idiotka bez jakiegoś określonego powodu, a tym razem powód był.

A powód ten wiązał się z tym, że stałam na werandzie Susan Boone nieproszona i prawdopodobnie niemile widziana, w niedzielne popołudnie, czekając, aż ktoś otworzy mi drzwi. Tyle że nikt nie otwierał.

I wydawało mi się, że jeżeli ktoś wyjdzie, to usłyszę:

- Hm, nie masz nic lepszego do roboty, tylko nachodzić ludzi w domu niezapowiedziana?

I ten ktoś miałby pełne prawo tak powiedzieć, skoro, oczywiście, nie zadzwoniłam, żeby uprzedzić. Ale bałam się, że jeżeli najpierw zadzwonię, Susan Boone powie mi:

- Nie możemy po prostu pomówić o tym we wtorek na zajęciach, Sam?

Ale ja nie mogłam czekać do wtorku. Musiałam pomówić z Susan dzisiaj. Miałam złamane serce i rozpaczliwie potrzebowałam rady. Rodzice do niczego się nie nadawali. Mój nastrój zbijał ich tylko z tropu. Z Lucy też nie było żadnego pożytku, bo poradziła mi:

- Załóż obcisłą mini, idź tam i go przeproś. Boże, czy ty jesteś niedorozwinięta?

A Rebecca ograniczała się do:

- A nie mówiłam?

Theresa wciąż siedziała u Tito. Catherine w ogóle nie było sensu pytać, bo w głowie miała wyłącznie Paula.

No więc stałam na werandzie u Susan Boone, nawet wcześniej nie zadzwoniwszy. Dużo trudniej jest zignorować kogoś, kto już stoi na twojej werandzie, niż kogoś, kto do ciebie dzwoni. Wiem to, dzięki tym wszystkim reporterom, którzy usiłowali ze mną porozmawiać.

To naprawdę okropne tak stać i czekać, aż ktoś otworzy ci drzwi, kiedy wiesz, że najprawdopodobniej zaraz zatrzaśnie ci je przed nosem...

Gorzej jest chyba tylko wtedy kiedy stoisz i czekasz na tę osobę z pięcioma francuskimi bagietkami w plecaku. Już i bez tego pieczywa czułabym się źle... Chociaż bagietki podtrzymywały mnie na duchu.

Po prostu musiałam coś ze sobą przynieść. To znaczy nie można ot tak przyjść do

kogoś bez zaproszenia i nawet nie przynieść jakiegoś drobiazgu. I tak, muszę przyznać, te bułki były rodzajem łapówki. Bo nigdy nie słyszałam o kimś, kto by odmówił kawałka bagietki upieczonej przez Panią Chlebową. Miałam nadzieję, że ktokolwiek mi otworzy, pociągnie nosem i powie:

- Och, wchodź proszę.

A przecież przesłałam istne piekło, żeby te bagietki zdobyć. Musiałam wstać skoro świt i wyciągnąć Maneta na poranny spacer w przeciwną stronę niż zwykle, na co reagował bardzo niechętnie. Usiłował pociągnąć mnie z powrotem w stronę parku, a ja usiłowałam zawlec go do domu Pani Chlebowej. Przez cały dzień bolały mnie ręce, bo Manet waży prawie tyle samo, co ja.

Okazuje się też, że w niedzielę Pani Chlebowa nie wstaje przed ósmą. Otworzyła mi drzwi w fikuśnym (jak na mężatkę) negliżu.

Ale chyba nie zdziwiła się, że walę do jej drzwi i proszę o upieczenie francuskiego pieczywa na popołudnie. W gruncie rzeczy, miała taką minę, jakby było jej przyjemnie, że ktoś aż tak bardzo lubi jej wypieki.

I, dzięki Bogu, upiekła je na czas. Pięć sztuk złocistych, ciepłutkich, francuskich bagietek, jakich nie znajdzie się nigdzie w Waszyngtonie. Ich zapach mnie samą przyprawił o głód. Ale tylko przez moment. Okazuje się, że ludzie ze złamanym sercem naprawdę nie mają apetytu.

A potem, oczywiście, była jeszcze afera z podróżą metrem z pięcioma gorącymi, świeżo wyjętymi z pieca bagietkami, które wystawały mi z plecaka. Nie chciałabym powtarzać tego doświadczenia. Zwłaszcza że do miasta zjechali się członkowie Młodzieżowego Towarzystwa National Geographic i metro pełne było wszystkich tych rodzin ze środkowych stanów, każda mniej więcej z dziesięciorgiem dzieci w jaskrawożółtych koszulkach z napisem: Spytaj mnie o mojego Młodzieżowego Mistrza National Geographic (o którego, oczywiście, nie pytałam).

Ale wszystkie te blondwłose dzieciaki bez przerwy pytały rodziców: „Mamusiu, a czemu ta dziewczynka ma tyle chleba?”, a rodzice próbowali je uciszać. Na szczęście nikt nie rozpoznał we mnie dziewczyny, która uratowała prezydenta, a to dlatego, że założyłam jedną z czapek bejsbolowych Lucy z logo naszego liceum i schowałam pod nią wszystkie włosy.

A jednak, jakaś dziewczynka z Młodzieżowego Towarzystwa National Geographic przyglądała mi się długo i podejrzliwie, i wreszcie zaczęła szeptać coś do swojej przyjaciółki, która też mi się przyjrzała i powiedziała coś na ucho do swojej mamy.

Na szczęście w tym momencie pociąg dojechał do stacji Adams Morgan, w pobliżu

domu Susan Boone, więc szybko wysiadłam i zostawiłam członków Młodzieżowego Towarzystwa National Geographic ich własnemu losowi, jakikolwiek by nie był.

Od stacji metra do domu Susan był spory kawałek, ale wykorzystałam ten czas na rozmyślanie o moich licznych nieszczęściach. Kiedy doszłam do dużego niebieskiego domu z pomalowaną na biało balustradą wokół werandy, przy której wisiało mnóstwo dzwonek wiatrowych, prawie płakałam.

No bo niby czemu nie? Nic poza czystą desperacją nie zmusiłoby mnie do tego, żeby prosić o radę Susan Boone. Przecież jeszcze dwa tygodnie temu szczerze jej nie cierpiałam. A przynajmniej bardzo nie lubiłam.

Teraz miałam jednak dziwne uczucie, że to ona jest jedyną znaną mi osobą, która może mi powiedzieć, w jaki sposób narobiłam tego potwornego bałaganu i jak mam to wszystko naprostować. Nauczyła mnie przecież patrzeć. Może zdoła nauczyć mnie, jak poradzić sobie ze wszystkim, co widzę, skoro to ona właśnie otworzyła mi oczy.

Ale muszę przyznać, że mimo tego przekonania, kiedy wreszcie usłyszałam kroki i znajome skrzeczenie Joego, miałam ochotę uciec.

Zanim jednak zdążyłam rzucić się do ucieczki, koronkowa zasłonka w okienku drzwi odsunęła się nieco i ukazało się błękitne oko Susan. A potem usłyszałam, jak otwierają się zanki. Zanim się zorientowałam, gospodyni, w poplamionym farbą kombinezonie i z długimi białymi włosami zebranymi w dwa warkocze stanęła w drzwiach.

- Samantha? - zapytała zaskoczona. - Co ty tu robisz?

Ściągając plecak i szybko pokazując jej bagietki, powiedziałam:

- Byłam po prostu w okolicy i pomyślałam sobie, że wpadnę i się przywitam. Masz ochotę na bagietki? Są naprawdę pyszne. Robi je taka jedna pani na mojej ulicy.

No dobra, przyznaję, bredziłam. Po prostu nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Nie powinienam była tu przychodzić. Jak tylko ją zobaczyłam, wiedziałam, że zrobiłam błąd. Ta wizyta była idiotyzmem. Idiotyzmem i szaleństwem. No bo co Susan Boone obchodzi moje problemy? Była tylko nauczycielką rysunku, na litość boską. Co mi strzeliło do głowy, żeby przychodzić do nauczycielki rysunku po porady sercowe?

Siedząc na ramieniu Susan, Joe wy skrzeczał do mnie swoje zwykłe powitanie:

- Cześć, Joe! Cześć, Joe!

Chyba mnie nie rozpoznał, bo włosy miałam schowane pod czapkę.

Susan Boone uśmiechnęła się lekko i powiedziała:

- Wejdz, Sam. To bardzo miło, że, hm, wpadłaś z bagietkami.

Weszłam do domu i nie byłam zaskoczona, kiedy przekroczywszy próg zobaczyłam,

że był umeblowany bardzo podobnie jak jej pracownia. Było tam mnóstwo starych wygodnych mebli, ale przede wszystkim wszędzie pod ścianami stało mnóstwo płócien, a w powietrzu unosił się intensywny zapach terpentyny.

- Dzięki - powiedziałam, wchodząc i zdejmując czapkę.

Jak tylko to zrobiłam, Joe przeskoczył z ramienia Susan na moje ze szczęśliwym okrzykiem:

- Dobry ptak! Dobry ptak!

- Joseph - powiedziała Susan Boone ostrzegawczo. A potem zaprosiła mnie do kuchni na kubek herbaty. Udawałam, że nie chcę jej sprawiać kłopotu i przeprosiłam, że zawracam głowę, i tak dalej, i powiedziałam, że naprawdę wpadłam na minutę. Ale Susan popatrzyła na mnie z uśmiechem i nie miałam innego wyjścia - musiałam pójść za nią do jasnej, pełnej słońca kuchni, której ściany pomalowane były na niebiesko, na ten sam odcień, który miały jej oczy. Uparła się, że zrobi herbatę i to nie w kubku w mikrofalówce, ale po staroświecku, zagotowując wodę w czajniku na kuchence. Kiedy woda się gotowała, Susan przyjrzała się bagietkom i miałam wrażenie, że jej się spodobały. Wyjęła masło i mały słoiczek domowego dżemu i ustawiła je na stole z rzeźnickiego bloku do krojenia mięsa na środku tej dużej staromodnej kuchni. Potem odłamała piętękę bagietki i miała bardzo zdziwioną minę, kiedy skórka, już i tak dość maślana bez smarowania czymkolwiek, po prostu rozpląnęła jej się na języku.

- No cóż - powiedziała - to bardzo dobra bagietka. Nie jadłam takich francuskich bagietek, odkąd po raz ostatni byłam w Paryżu.

Miło mi było to słyszeć. Patrzyłam, jak odłamuje jeszcze jeden kawałek i go zjada.

- No więc - zagaiłam - jak spędziłaś Święto Dziękczynienia? Wydało mi się, że to głupie pytanie. W ten sposób rozmawiają tylko, no wiecie, nudni ludzie, a nie artyści. Ale co miałam powiedzieć? Na szczęście, chyba się nie obraziła.

- Było miło, dziękuję. A ty?

- Och - odparłam. - Nieźle.

A potem zapadła cisza. Nie taka bardzo niezręczna, ale wiecie. Cisza tak czy inaczej. Wypełniał ją tylko szum czajnika, w którym zaczynała gotować się woda i głos Josepha mruczącego coś do siebie i przeczesującego dziobem pióra.

A potem Susan oznajmiła:

- Mam wielki plan. Już wiem, co zrobić latem z pracownią.

- Naprawdę? - spytałam, szczęśliwa, że ktoś wreszcie zaczął coś mówić.

- Naprawdę. Wymyśliłam, że będę otwierała pracownię codziennie, od dziesiątej do

piątej, dla takich osób, jak ty czy David, żebyście mogli przychodzić i rysować sobie całymi dniami, jeżeli będziecie mieli ochotę. Coś w rodzaju letniego miejskiego pleneru.

Nie wspomniałam, że bardzo wątpię, czy David w ogóle się tam pokaże. Nie zrobi tego przecież, jeżeli będzie wiedział, że ja przyjdę. Zamiast tego powiedziałam:

- Świetnie!

I wtedy czajnik zaczął gwizdać. Susan zrobiła herbatę. Podała mi ciemnoniebieski kubek z napisem Matisse, a dla siebie zatrzymała żółty z napisem Van Gogh. Znow usiadła przy masywnym stole, trzymając kubek w obu dłoniach, tak że para otaczała jej twarz delikatnymi smugami i powiedziała:

- A więc... Czemu mi nie powiesz, co cię naprawdę do mnie sprowadza z tak daleka w niedzielne popołudnie, Samantha?

Myślałam, no wiecie, że powiem coś w rodzaju:

- Och, naprawdę, wpadłam po drodze do babci... Czy jakieś inne kłamstwo.

Ale ona tak na mnie patrzyła, że nie mogłam skłamać. Nie wiem, jak to się stało, ale nagle siedziałam tam, miałam w dłoni małą etykietkę od torebki z herbatą, a cała ta historia po prostu wylewała się ze mnie. Na ten cały rzeźnicki blat. Kruk Joe siedział mi na ramieniu, a gdzieś z głębi domu dobiegały przyciszone tony klasycznej muzyki.

A kiedy zrzuciłam z serca cały ten ciężar - wszystko, o Davidzie i Jacku, o konkursie na rysunek *Widok z mojego okna*, o Marii Sanchez i ojcu Davida - zakończyłam słowami:

- I na domiar złego, wczoraj wieczorem odkryłam, że jedyne dziecko Dolley Madison, które przeżyło okres dzieciństwa, to to z pierwszego małżeństwa. Z Jamesem Madisonem nawet nie miała dzieci. Więc nie jestem z nią spokrewniona. Ani troszeczkę.

Skończywszy, siedziałam i wpatrywałam się w herbatę. Nawet nie mogłam jej dobrze zobaczyć, bo oczy miałam pełne łez. Postanowiłam jednak, że nie będę płakała. To byłoby żalosne. Jeszcze bardziej kompromitujące niż podróż metrem z pięcioma bagietkami wystającymi z plecaka.

Susan, która wysłuchiwała tej wyliczanki wszystkich moich kłopotów w milczeniu, teraz upiła łyk herbaty i powiedziała spokojnie;

- Ależ, Samantha, czy ty tego nie widzisz? Przecież musisz wiedzieć, co powinnaś zrobić. David już ci to powiedział.

Podniosłam oczy znad swojego kubka i popatrzyłam na nią ponad blatem stołu. Siedzący mi na ramieniu Joe, przebierał dziobem w moich włosach, udając, że je tylko tak mimochodem przeczesuje. Oboje wiedzieliśmy, że kiedy tylko uzna, że nie zwracam na niego uwagi, spróbuje mi je wyrwać i uciec.

- O czym ty mówisz? - spytałam. - David powiedział mi tylko, że nie chce rozmawiać ze swoim ojcem o Marii Sanchez.

- Owszem, powiedział to - odparła Susan. - Ale nie wysłuchałaś go uważnie, Sam. Słuchałaś, ale nie usłyszałaś. Jest różnica między słuchaniem a usłyszeniem, taka sama jak między patrzeniem a widzeniem.

Rozumiecie? Dlatego właśnie wiedziałam, że muszę tu przyjść. Nie miałam pojęcia o tym, że jest różnica między słuchaniem a słyszeniem. Tak samo, jak nie wiedziałam kiedyś o różnicy między patrzeniem a widzeniem.

- David - ciągnęła Susan - powiedział ci, że masz zagwarantowaną wolność słowa, tak samo jak każdy inny Amerykanin.

- Tak - powiedziałam, kiwając głową. - Więc?

- Więc - powiedziała Susan z naciskiem, którego nie rozumiałam - masz zagwarantowaną wolność słowa. Tak samo jak każdy inny Amerykanin.

- Tak - odparłam. - Znam to. Ale nie wiem, co to ma wspólnego... I nagle zrozumiałam. Nagle dotarło do mnie znaczenie słów Susan. I Davida. A kiedy to się stało, zatkało mnie.

- O, nie! - Aż sapnęłam, i to nie dlatego, że Joe wreszcie zdecydował się na swój ruch, wyrwał mi parę włosów i triumfalnie odfrunął na szczyt lodówki. - Rany. Naprawdę sądzisz, że on właśnie to miał na myśli?

Susan odłamała kawałeczek bagietki.

- David na ogół mówi dokładnie to, co myśli, Sam. Nie jest politykiem. To zupełnie nieprawdopodobne, żeby miał kiedyś pójść w ślady ojca. Chce zostać architektem.

- Naprawdę?

To było coś nowego. Zaczynałam zdawać sobie sprawę, że tak naprawdę nic o Davidzie nie wiem. To znaczy, wiedziałam, że lubi rysować i że jest w tym dobry. I wiedziałam o tym wielkim widelcu i łyżce, naturalnie. Ale wyglądało na to, że jest cała masa rzeczy, których nie wiem.

I przez to poczułam się gorzej. Bo miałam to paskudne uczucie, że już za późno, żebym mogła się o nich dowiedzieć. To znaczy, rzeczy dotyczących Davida, o których nic nie wiem teraz.

- Tak - powiedziała Susa Boone. - Myślę, że łatwo jest zrozumieć, czemu on nie ma ochoty wtrącać się w sprawy ojca. Na pewno nie chciałby, żeby jego ojciec wtrącał się w jego własne.

- Jejku - powiedziałam, bo wciąż kręciło mi się w głowie po ostatniej rewelacji. - To



znaczy... kurczę.

- Tak - powiedziała Susan Boone, osuwając się na oparcie krzesła. - Kurczę. Więc sama widzisz. Sam. To zawsze tam było.

- Co? - zapytałam marszcząc brwi.

- To zależy od ciebie. Musiałaś tylko trochę szerzej otworzyć oczy, żeby to zobaczyć. I to tam było.

I to tam było.

I ja też ciągle tam byłam - nie całkiem wierząc, że to dzieje się naprawdę. Gawędziłam sobie z Susan Boone, kobietą, która kiedyś mnie oskarżyła, że patrzę, ale nie widzę. Dziesięć minut potem tylne drzwi kuchni otworzyły się z hukiem i wszedł wysoki mężczyzna z długimi włosami związanymi w kucyk, sumiastymi wąsami i rękami pełnymi toreb z zakupami.

- No cóż - powiedział, patrząc na mnie jasnoniebieskimi oczami, lekko zakłopotany. - Cześć.

- Cześć - odparłam, zastanawiając się, czy to syn Susan. Wydawało mi się, że jest jakieś dwadzieścia lat młodszy od niej.

Nigdy przedtem nie wspominała o mężu czy dzieciach. Zawsze myślałam, że jest tylko ona i Joe.

Ale z drugiej strony, może słuchałam, ale w gruncie rzeczy nie słyszałam.

- Pete - powiedziała Susan - to jest Samantha Madison, jedna z moich uczennic. Samantho, to jest Pete.

Pete postawił torby na podłodze. Miał na sobie dżinsy i zapięte na nich skórzane ochraniacze, jakie noszą kowboje i harlejowcy. Kiedy uścisnął mi dłoń, zobaczyłam, że na przedramieniu ma wytatuowane logo Harleya Davidsona.

- Miło mi cię poznać - powiedział, potrząsając moją lewą ręką, bo na prawej ciągle miałam gips, a potem spojrzął na bagietki. - Hej! Ładnie to wygląda.

Pete przysunął sobie krzesło i dołączył do nas. I okazało się, że wcale nie był synem Susan. Pyt jej chłopakiem.

Co tylko dowodzi, że Susan Boone miała rację przynajmniej co do jednego: czasem to, czego pragniesz, masz w zasięgu ręki. Musisz jedynie otworzyć oczy I to zauważyć.

Zdecydowałam się na Candace Wu. Lucy uważała, że powinnam wybrać kogoś sławniejszego, na przykład Barbarę Walters albo Katie Couric. Ale ja wołałam Candace, bo była dla mnie taka miła, kiedy spadłam na nią z podium w czasie konferencji prasowej w szpitalu.

Candace okazała się twardą sztuką. Nie dała sobie w kaszę dmuchać. Kiedy Andy, sekretarz prasowy Białego Domu, powiedział, że w żadnym wypadku nie może sprowadzić swojej ekipy filmowej do jego biura i nakręcić tam zdjęć obrazu Marii Sanchez, odpowiedziała, że Biały Dom to nie własność, prywatna. Należy do obywateli Stanów Zjednoczonych Ameryki i jako obywatele amerykańscy, ona i jej ekipa mają takie same prawo tam się znaleźć, jak pan White.

Chyba że, oczywiście, ma coś do ukrycia.

Wreszcie pan White się poddał i pokazał Candace wszystkie rysunki, łącznie z rysunkiem Angie Tucker. Powiedziałam, że rysunek Angie jest bardzo fajny, i tak dalej, ale że ja wybrałam rysunek Marii Sanchez.

- A czy to prawda - zapytała Candace przed kamerą, tak jak to przećwiczyłyśmy wcześniej tego samego dnia, kiedy spotkała się ze mną po moim telefonie do jej stacji - że prezydent powiedział ci, iż będziesz musiała wybrać inny rysunek, taki, który będzie miał łagodniejszą wymowę polityczną?

Odpowiedziałam zdaniem, które ćwiczyłam przez cały rano:

- Prawdę mówiąc, panno Wu, moim zdaniem pan prezydent może nie być świadom, że amerykańskie nastolatki interesują się nie tylko tym, jaki film na wideo jest w tej chwili najbardziej popularny w kraju. Mamy swoje problemy. Chcemy, żeby ktoś usłyszał nasz głos. Międzynarodowa wystawa sztuk plastycznych pod tytułem *Widok z mojego okna*, którą sponsoruje ONZ, jest świetnym forum. Nastolatki z całego świata mogą wyrazić na nim swoje troski. Moim zdaniem, byłoby niedobrze, gdyby te głosy miały zostać stłumione.

Na co Candace odparła, dokładnie tak jak obiecała, w zamian za przekazanie jej stacji praw wyłączności do mojego jedyne wystąpienia telewizyjnego:

- Chcesz powiedzieć, że człowiek, któremu tak bohatercko ocalałaś życie, nie chce ci nawet pozwolić na to, żebyś podejmowała decyzje w ramach swoich uprawnień nastoletniej ambasadorki przy ONZ?

A ja odpowiedziałam zgodnie z prawdą:

- No cóż, być może istnieją jakieś sprawy państwowe, w które nie jesteśmy wprowadzeni...

Na co Candace zrobiła ręką ruch, jakby coś przecinała, a potem powiedziała:

- Chłopcy, to by było na tyle. Pakujemy się i jedziemy do szpitala. Właśnie dzisiaj mieli mi zdjąć gips.

- Chwileczkę... - powiedział sekretarz prasowy Białego Domu, podchodząc do nas szybko. - Proszę chwileczkę poczekać. Wydaje mi się, że nie ma potrzeby emitować tego fragmentu. Jestem pewien, że możemy coś z prezydentem załatwić...

Ale Candace nie osiągnęła swojej pozycji prezenterki głównego wydania wiadomości w drapieżnej branży telewizyjnej dlatego, że czekała, aż coś zostanie dla niej załatwione. Kazała Martiemu i reszcie ekipy pakować się, a potem zabrała nas stamtąd szybciej, niż można powiedzieć: „Wracamy do państwa po przerwie na reklamy”.

Dopiero kiedy wróciłam do domu po zdjęciu gipsu, a Candace filmowała coś, co nazwała „wypełniaczem”, to znaczy ujęcia mnie i Maneta tarzających się po łóżku, zadzwonił telefon. Theresa weszła z podekscytowaną miną i szepnęła:

- Samantho, prezydent dzwoni.

Wszyscy zamarli - Candace, która wymieniała z Lucy kosmetyczne sekrety (Lucy była zafascynowana jej pracą prezenterki, która musi dobrze wyglądać, a jednocześnie ma okazję wyrażać głośno swoje opinie); Rebecca, która robiła notatki na temat bardziej normalnego i ludzkiego zachowania, rozmawiając z jednym z oświeceniowców; kamerzysta, który moim zdaniem trochę za bardzo interesował się moim plakatem Gwen Stefani. Wydawało się, że wszyscy wstrzymali oddech, kiedy zeszłam z łóżka i wzięłam od Theresy słuchawkę.

- Halo? - powiedziałam.

- Samantho! - zawołał prezydent serdecznie i tak głośno, że musiałam odsunąć słuchawkę od ucha. - Co ja tu słyszę? Podobno uważasz, że nie popieram twojego wyboru w sprawie tej wystawy sztuk plastycznych w ONZ?

- No cóż, sir... - zaczęłam - chodzi o to, że moim zdaniem najlepsza jest praca Marii Sanchez z San Diego, ale o ile dobrze rozumiem, pan...

- Ależ właśnie ten rysunek mi się podoba! - powiedział prezydent. - Ten z prześcieradłami.

- Naprawdę, sir? Bo powiedział pan, że...

- Nieważne - przerwał mi prezydent. - Podoba ci się ten rysunek z prześcieradłami, to pakuj go i wysyłaj do Nowego Jorku. A następnym razem, kiedy będziesz miała podobny problem, przychodź z tym od razu do mnie, zanim zwrócisz się do prasy, dobra?

Nie przypomniałam mu, że już przecież próbowałam.

- Tak, sir. Tak zrobię.

- Świetnie. No to na razie - rzucił prezydent i odłożył słuchawkę.

Tak więc, kiedy następnego wieczoru - w środę - nadano wywiad, jakiego udzieliłam Candace Wu, cała część o tym, że rysunek Marii Sanchez nie wygra, została wycięta. Zamiast tego, filia stacji telewizyjnej z San Diego sfilmowała kawałek, w którym pojechali do domu Marii Sanchez i powiedzieli jej, że wygrała konkurs. Okazało się, że Maria jest ciemnowłosą dziewczyną mniej więcej w moim wieku i mieszka w maleńkim domku z szóstką rodzeństwa. Tak jak ja, urodziła się jako środkowe dziecko.

Powinna być wiedzieć, że musi być jakiś powód, dla którego jej rysunek podobał mi się najbardziej.

W każdym razie, kiedy powiedzieli Marii, że zdobyła pierwszą nagrodę, ona się rozplakała. A potem, ponieważ o to prosili, pokazała im widok ze swojego okna. Wyglądał dokładnie jak na jej rysunku, z praniem na sznurze i ogrodzeniem z drutu kolczastego w oddali. Maria naprawdę narysowała to, co widzi z okna, a nie to, co wie o takich widokach.

A teraz ona i jej rodzina mieli pojechać do Nowego Jorku i obejrzeć jej rysunek wiszący w siedzibie ONZ, razem z innymi rysunkami z całego świata. I wyglądało na to, że będę miała okazję ją poznać, bo Andy powiedział, że Biały Dom wyśle całą moją rodzinę do Nowego Jorku na otwarcie tej wystawy. Już pytałam mamę i tatę, czy moglibyśmy wybrać się do Metropolitan Museum, kiedy tam już będziemy i obejrzeć impresjonistów, a oni się zgodzili.

Jestem pewna, że Maria też chętnie się z nami wybierze.

Wieczorem, kiedy pokazywano wywiad w telewizji, siedzieliśmy wszyscy w salonie i oglądaliśmy go razem, ja, Lucy, Rebecca, Theresa, Manet, mama i tata. Rodzice właściwie niewiele wiedzieli o tym wywiadzie, bo udzieliłam go po szkole, kiedy mama była w sądzie, a lata w swoim biurze. Żeby to załatwić, musiałam opuścić wtorkowe zajęcia u Susan Boone, ale i tak nie mogłabym na nie pójść, bo Theresa miała mnie zawieźć na zdjęcie gipsu.

Więc mama i tata byli trochę zdziwieni, kiedy pokazano zdjęcia nakręcone u nas w domu - zwłaszcza fragment nagrany w moim pokoju, w którym było chyba wtedy trochę bałaganu. Mama, patrząc w ekran jak zahipnotyzowana, powiedziała tonem pełnym przerażenia:

- O mój Boże, Samantha!

Ale wyjaśniłam jej, że Candace prosiła mnie, żebym zostawiła pokój tak, jak jest, bo to doda scenie autentyczności. Candace bardzo dba o autentyczność. Jej celem podczas

montażu tego wywiadu było „pokazanie prawdziwej amerykańskiej bohaterki”. Oto powody, dla których według Candace jestem „prawdziwą amerykańską bohaterką”:

- a) Bezinteresownie ryzykowałam życiem, żeby ocalić życie innego człowieka.
- b) Ten inny człowiek okazał się przypadkowa liderem wolnego świata.
- c) Jestem Amerykanką.

Pogląd Candace na tę sprawę, na szczęście, dzielili inni. Na przykład lekarz, który zdejmował mi gips. Rozciął go bardzo ostrożnie, żeby nie uszkodzić żadnego z rysunków. Zanim go zdjął, ostrzegł mnie, że przez jakiś czas ręka może mi się wydawać dziwnie lekka i okazało się, że miał rację. Jak tylko zsunął gips, ramię samo z siebie podskoczyło parę centymetrów w górę. Theresa, Candace, lekarz, kamerzysta i ja zaczęliśmy się śmiać.

Okazało się, że inni ludzie, którzy uważają, że jestem autentyczną amerykańską bohaterką to pracownicy Smithsonian, dokąd poszliśmy po zdjęciu gipsu. Zdecydowałam, że zamiast wystawiać gips na aukcję w Internecie, przekażę go do muzeum, a Smithsonian to największe muzeum, jakie przyszło mi na myśl. Na szczęście chcieli mieć ten gips. Bałam się, że uznają pomysł przekazania im starego gipsu z rysunkami Dzwonu Wolności i portretem Dolley Madison za obrzydliwy.

Ale ponieważ, no wiecie, był to rodzaj pamiątki narodowej, związanej z ważnym wydarzeniem w amerykańskiej historii, stwierdzili, że z przyjemnością się nim zaopiekują.

Wywiad ze mną zakończył się fragmentem, który Candace i ja przedyskutowaliśmy wcześniej w najdrobniejszych szczegółach. Jednym z warunków, pod jakimi zgodziłam się go udzielić, było zadanie mi tego konkretnego pytania.

- Zatem, Samantha - powiedziała Candace, pochylając się w moją stronę z lekkim uśmiechem na twarzy - chodzą plotki...

Kamera pokazała moją niewinną minę, kiedy siedziałam na tej samej kanapie, z której teraz oglądałam wywiad w telewizji.

- Plotki, panno Wu? - zapyłała Samantha z telewizji z szeroko otwartymi oczami.

- Tak. O tobie i pewnej osobie...

I wtedy zaczęli pokazywać ujęcia Davida - no wiecie, David schodzi ze stopni Air Force One, wpada i wypada do pracowni Susan Boone, występuje w garniturze na Międzynarodowym Festiwalu Dziecka. Potem kamera wróciła do Candace, a ona dodała:

- Czy to prawda, że ty i syn prezydenta spotykacie się? Samantha z telewizji - czerwieniąc się, mimo że przecież dobrze wiedziała, jakie pytanie padnie - powiedziała:

- No cóż, panno Wu, okreśmy to tak: chciałabym, żeby tak było, ale nie wiem, czy on czuje to samo, co ja. Wydaje mi się, że wszystko zepsułam.

- Zepsułaś? - Candace miała zakłopotaną minę (choć dobrze wiedziała, jak odpowiem na pytanie). - Jak to, zepsułaś, Samantha?

- Po prostu - powiedziała Samantha z telewizji, wzruszając ramionami. - Nie dostrzegalam czegoś, co miałam przed samym nosem, a teraz wydaje mi się, że chyba jest już za późno. Mam nadzieję, że nie... ale mam też niemiłe przeczucie, że wszystko diabli wzięli.

I w tym momencie ta prawdziwa ja - oglądająca telewizję - wyrwałam spod Maneta poduszkę i z wrzaskiem schowałam w niej twarz. Musiałam to powiedzieć - wydawało mi się, że mogę to ująć tylko tak, żeby naprawić okropny błąd, który popełniłam... No wiecie, to, że „kochalam Davida przez cały czas, ale zdałam sobie z tego sprawę dopiero, kiedy było już za późno”.

Ale to nie znaczy, że mnie to wszystko nie zawstydziło. Albo że miałam choć cień nadziei, że poskutkuje.

Dlatego zawylałam.

Mój tata, który oglądał ten wywiad z nieco osłupiałym wyrazem twarzy, powiedział:

- Chwileczkę. Co to wszystko znaczy? Samantha... Czy ty się pokłóciłaś z Davidem?

Na co Theresa odparła:

- Och, poprzytykała się z nim na dobre. Ale może jeżeli on zobaczy ten wywiad, da jej jeszcze jedną szansę. No bo w końcu nie co dzień jakaś dziewczyna w ogólnokrajowej telewizji wyznaje człowiekowi, że chciałyby z nim chodzić.

Nawet Rebecca popatrzyła na mnie z rodzącym się szacunkiem.

- To naprawdę odważnie Sam - powiedziała. - Od ważniejsze niż to, co zrobiłaś tamtego dnia przed cukiernią. Nie żeby, oczywiście, miało podziałać.

- Och, Rebecca... - mruknęła Lucy, wyłączając pilotem głos, bo wywiad już się skończył. - Zamknij się.

Lucy nieczęsto staje po mojej stronie w rodzinnych sprzeczkach, więc popatrzyłam na nią zdziwiona. I dopiero wtedy zdałam sobie sprawę z tego, co było nie tak w związku z Lucy. Od jakichś dwóch dni.

- Hej - powiedziałam - gdzie jest Jack?

- Och - Lucy obojętnie wzruszyła ramionami. - Zerwaliśmy. Wszyscy - nie tylko ja - spojrzeli na nią z szeroko otwartymi ze zdziwienia ustami. Pierwszy otrząsnął się tata.

- Alleluja! - zawołał, co było dziwnym okrzykiem jak na agnostyka, ale niech tam.

- Wiedziałam! - powiedziała Theresa, kręcąc głową. - Wrócił do swojej byłej, tak? Mężczyźni. Oni wszyscy są... - i tu dodała parę słów po hiszpańsku.

- O Boże! - westchnęła Lucy - , przewracając oczami. - Błagam! On mnie nie

oszukiwał, ani nic. Tylko że zachował się jak ostatnia świnia wobec Sam.

Nie sądziłabym, że szczeka może mi opaść jeszcze niżej, niż już opadła, a jednak.

- Wobec mnie? - kwiknęłam. - O czym ty mówisz? Lucy wzniosła oczy do nieba.

- Och, no wiesz - odparła zniecierpliwiona. - Ta cała sprawa z rysunkiem. Postąpił tak paskudnie. Więc mu kazałam... Jak to było, Rebecca?

- Żeby nigdy więcej jego cień nie zasłaniał światła w twoich drzwiach? - podsunęła Rebecca.

- No właśnie.

A potem Lucy, która mówiąc, cały czas zmieniała kanały telewizji, dodała:

- Oooh, popatrzcie, David Boreanaz - i podkreśliła głos w telewizorze.

Nie wierzyłam własnym uszom. Lucy i Jack zerwali? Przeze mnie? Przyznaję, że marzyłam o takiej chwili od miesięcy. Ale w moich marzeniach. Lucy i Jack zawsze zrywali, bo Jack ostatecznie opamiętywał się i zdawał sobie sprawę, że to ja jestem mu przeznaczona. Nigdy nie zrywali dlatego, że Lucy uznawała, iż obrzydliwie mnie potraktował.

A już na pewno nie zrywali po tym, jak zdałam sobie sprawę z tego, że nie kocham już jacka. Że właściwie nigdy go nie kochałam. Nie w taki sposób, w jaki trzeba kogoś kochać.

Nie tak miały się ułożyć sprawy. Zupełnie nie tak.

- Lucy - pochyliłam się do siostry - jak możesz... To znaczy, po tym wszystkim, przez co razem przeszliście, jak możesz po prostu go tak rzucić? Co z balem? Koniec roku się zbliża. Z kim pójdziesz na bal, jak nie z Jackiem?

- No cóż - odparła Lucy, nie spuszczać oczu z mięśni brzucha Boreanaza. - Skróciłam listę do mniej więcej pięciu facetów, ale zastanawiam się, czy nie zaprosić mojego partnera z zajęć z chemii.

- Grega Gardniera? - prawie wrzasnęłam. - Chcesz iść na bal na zakończenie roku z Gregiem Gardnerem? Lucy, przecież on jest chyba największym kujonem w szkole!

Lucy zrobiła rozzłoszczoną minę, ale tylko dlatego, że moje wrzaski zagłuszały słodkie pienia pana Boreanaza.

- Idiotko - syknęła - kujony są w tej chwili na topie. To znaczy, sama powinnaś wiedzieć. To ty rozpoczęłaś ten trend.

- Trend? Jaki trend? - zapytałam.

- No wiesz. - Zaczęła się przerwa na reklamy, więc Lucy znów wyłączyła dźwięk, przekręciła się na plecy i popatrzyła na mnie. - Ta cała moda na umawianie się z kujonami. Sama ją zapoczątkowałaś, przyprowadzając Davida na imprezę. Teraz wszyscy to robią. Kris Parks umawia się z Timem Haywoodem.

- Laureatem olimpiady z nauk ścisłych? - sapnęłam.

- Tak. A Debbie Kinley rzuciła Rodda Muckinfussa dla jakiegoś geniuszka z Horizon.

Mania, która wciąż była w pokoju i słuchała naszej rozmowy z rosnącym zdenerwowaniem, wreszcie nie wytrzymała:

- Posłuchajcie siebie, dziewczyny! Geniuszki! Kujony! Czy wy nie zdajecie sobie sprawy z tego, że mówicie o ludziach? O ludziach i ich uczuciach?

Tak jak mama, coraz bardziej się denerwowałam. Ale nie z tego samego powodu.

- Chwileczkę - powiedziałam. - Poczekaj, chwilę. Lucy, nie możesz zerwać z Jackiem. Ty go kochasz.

- No cóż, oczywiście - odpowiedziała Lucy z prostotą - ale ty jesteś moją siostrą. Nie mogę spotykać się z facetem, który źle traktuje moją siostrę. Za kogo ty mnie masz?

Gapiałam się na nią w milczeniu. Naprawdę nie wierzyłam własnym uszom. Lucy - moja siostra Lucy, najładniejsza dziewczyna w Liceum imienia Adamsa - rzuciła swojego chłopaka nie dlatego, że spotykał się z inną, albo dlatego, że się nim znudziła. Rzuciła go ze względu na mnie, swoją młodszą, nielubianą siostrę, Samanthę Madison. Nie ze względu na Samanthę Madison, która uratowała życie prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Nie ze względu na Samanthę Madison, nastoletnią ambasadorkę przy ONZ.

Nie. Ze względu na Samanthę Madison, młodszą siostrę Lucy Madison.

I wtedy ogarnęło mnie poczucie winy. Lucy zdobyła się na tak ogromne poświęcenie - no dobra, może dla niej nie było ogromne, ale tak czy inaczej, to było poświęcenie - a jaką siostrą ja dla niej byłam przez cały ten czas? Co? Odkąd pamiętam, marzyłam - nie, modliłam się - żeby Lucy i Jack zerwali ze sobą po to, żebym ja mogła go zdobyć.

Byłam najgorszą siostrą na świecie. Najgorszą z najgorszych. Byłam niczym.

- Lucy - powiedziałam. - Naprawdę. Jack tamtego dnia był tylko rozczarowany. Ja to rozumiem. Wcale nie uważam, że powinnaś z nim zrywać tylko dlatego, że... tylko ze względu na mnie.

Lucy wyglądała na znudzoną tą rozmową. Jej program znów wszedł na antenę.

- Nieważne - powiedziała. - Zastanowię się.

- Powinnaś. Naprawdę powinnaś. To znaczy, Jack to świetny facet. Naprawdę świetny facet. To znaczy, dla ciebie.

- Dobra - powiedziała Lucy, która miała już zirytowaną minę.

- Powiedziałam, że się zastanowię. Zamknij się teraz, oglądam program.

Mama, trochę za późno zdając sobie sprawę, co się dzieje, powiedziała:

- Hm, Lucy, jeżeli chcesz umawiać się z tym drugim chłopcem - z tym partnerem od



zajęć z chemii - to naprawdę, ja i tata nie mamy nic przeciwko temu. Prawda, Richard?

Tata pośpieszył zapewnić Lucy, że to istotnie prawda.

- W gruncie rzeczy - powiedział - czemu nie przyprowadzisz go do nas do domu jutro po szkole? Theresa nie będzie miała nic przeciwko temu, prawda, Thereso?

Ale zło już się stało. Wiedziałam, że Lucy i Jack zejdą się z powrotem jutro jeszcze przed przerwą na lunch.

I cieszyłam się. Naprawdę się cieszyłam.

Bo nie kochałam Jacka. Prawdopodobnie nigdy go nie kochałam. Nie tak naprawdę.

Jedyny problem leżał w tym, że osoba, którą z całą pewnością kochałam, chyba nie odwzajemniała mojego uczucia.

jednak miałam przyjemne wrażenie, że tak czy inaczej dowiem się tego, w jedną albo w drugą stronę, jutro na lekcji u Susan Boone.

Widzicie tę czaszkę? - Susan Boone podniosła krowią czaszkę, tak białą, jakby długo leżała na słońcu. - Widać w niej wszystkie kolory tęczy. Chcę je zobaczyć na kartkach, które macie przed sobą.

Odłożyła czaszkę na stolik i poszła objechać kruka Joego, który już zdążył ukraść pasemko moich włosów, zanim założyłam hełm w stokrotki.

Siedziałam okrakiem na ławce, starannie odwracając wzrok od osoby, która siedziała obok mnie. Nie miałam pojęcia, czy David jest zadowolony czy zły, że mnie widzi. A może po prostu jest mu to obojętne? Nie rozmawiałam z nim, ani go nie widziałam - pomijając telewizję - od wieczoru z Beaux Arts Trio i naszej sprzeczki o Jacka. Nie miałam pojęcia, czy obejrzał wywiad, ani czy zdawał sobie sprawę, że skorzystałam z prawa do wolności słowa dlatego, że mi to zasugerował. Ani czy widział, jak prawie wyznałam, przed widownią złożoną z dwudziestu milionów ludzi, że go kocham.

Wypytywałam o to Rebecce, bo przecież ona chodzi z nim do szkoły, ale w wieku jedenastu lat Rebecca nie ma z nim żadnych wspólnych zajęć. Nawet lunch jedzą o innej porze.

- Nie martw się - powtarzała Lucy. - Na pewno to wiedział.

A Lucy, oczywiście, zna się na rzeczy. Lucy wie wszystko, Co trzeba wiedzieć na temat chłopaków. Czy nie pozwoliła Jackowi wrócić z taką samą swobodą, z jaką go rzuciła? Jednego dnia zerwali, a następnego siedzieli razem w stołówce, jakby nigdy się nie rozstawali.

- O, cześć Sam - powiedział Jack, kiedy mijaliśmy ich stolik. - Przepraszam za tę sprawę z konkursem. Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zła. Byłem po prostu trochę rozczarowany.

- Hm - powiedziałam, zaskoczona. Gdzie się podział Greg Gardner? Ale szybko udało mi się pokryć zmieszanie słowami: - Nie ma sprawy.

I nie było sprawy. Co mnie obchodził Jack? Miałam na głowie o wiele ważniejsze rzeczy. Na przykład Davida. Jak miałam go przekonać, że kocham jego, a nie Jacka? To znaczy, co robić, jeżeli nie widział tego wywiadu? Nie mogłam sobie wprawdzie wyobrazić, że mógłby go przeoczyć, skoro był to program nadawany w porze największej oglądalności, a poza tym wywiad był bardzo reklamowany, gdzieś tak od niedzieli, kiedy ustawiłam całą sprawę.

Jednak wciąż istniała minimalna szansa, że go nie obejrzał, i że będę musiała

powiedzieć mu to wszystko prosto w oczy.

Co było zdecydowanie gorsze niż zwierzenie się przed dwudziestomilionową widownią.

No i znalazłam się w pracowni, tuż obok niego, i nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłabym mu powiedzieć. Uśmiechnęliśmy się tylko do siebie zaraz po przyjściu, a David powiedział:

- Cześć.

A ja odparłam:

- Cześć.

To wszystko.

I jakby przeznaczenie spletało mi ostatnio za mało okrutnych figli, David miał na sobie koszulkę z No Doubt. Mojej najukochańszej kapeli na świecie, której wokalistka, Gwen Stefani, jest najlepszą piosenkarką w całym wszechświecie.

Życie potrafi być takie bezlitosne.

Ręce pociły mi się tak bardzo, że ledwie mogłam utrzymać w nich kredki, a serce odgrywało dzikie solo na perkusji. W ustach zupełnie mi zaschło. Powiedz coś, powtarzałam sobie bez przerwy.

Tylko nie przychodziło mi do głowy, co by to miało być.

A kiedy nadeszła pora rysowania, w pracowni zapadła cisza, wszyscy zaczęli rysować i było za późno, żeby coś powiedzieć.

Tak przynajmniej mi się wydawało.

Zajęłam się szukaniem kolorów w białej krowiej czaszce, całkowicie zaabsorbowana, jak zwykle, rysunkiem. Nawet moja beznadziejna miłość do Davida nie przeszkadzała mi w tworzeniu.

Byłam tak skupiona, że kiedy spadł na moje kolana malutki skrawek papieru, podskoczyłam w górę na kilometr.

Popatrzyłam na papierek. Potem spojrzałam na Davida.

Ale on pochylał się nad swoją pracą, i prawdę mówiąc, gdyby nie prawie niedostrzegalny uśmiezek, w ogóle bym nie wiedziała, że ta kartka jest od niego.

W końcu ją otworzyłam.

A tam, napisane drobnym precyzyjnym pismem przyszłego architekta, widniało jedno słowo:

Przyjaciele?

Oczom nie wierzyłam. David chciał się pogodzić. Serce mi waliło. Pochyliłam się i

zaczęłam pisać:

Tak, jasne.

Ale coś mnie powstrzymało. Nie wiem, czy to tylko dlatego, że przez wszystko, co się wydarzyło nauczyłam się jednej czy dwóch rzeczy, czy też dlatego, że niewidzialna ręka mojego anioła stróża, panny Gwen Stefani, zatrzymała moją dłoń.

Cokolwiek to było, oddarłam nowy kawałek papieru z bloku, a na nim napisałam, mając serce w gardle, ale wiedząc - na pewno - że teraz, albo nigdy, i że muszę powiedzieć prawdę:

Nie. Chcę, żebyśmy bili więcej niż przyjaciółmi.

Chociaż usiłowałam udawać, że jestem całkowicie pochłonięta rysunkiem, tym razem zerkałam na Davida kącikiem oka. Patrzyłam, jak rozwija karteczkę i czyta. A potem zobaczyłam, jak brwi podjeżdżają mu do góry.

Wysoko do góry.

A kiedy po paru sekundach na moje kolana upadła nowa karteczka. Wiedziałam, że to on ją tam rzucił, bo cały czas go obserwowałam.

Nie mogąc złapać oddechu, otworzyłam nowy liścik. Napisał w nim:

A Jack?

To było proste. Z ulgą odpisałam:

Jaki Jack?!

Bo naprawdę tak właśnie się czułam.

Jednak ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałam, to kolejna karteczka od Davida mówiąca o tym, jak on się naprawdę czuje.

Ale dokładnie to właśnie dostałam.

I jeżeli kiedykolwiek wcześniej bywałam szczęśliwa - jeżeli kiedykolwiek przydarzyło mi się coś, co sprawiło, że czułam, jak bąbelkuje we mnie radość - było to nic w porównaniu z tym, jak się poczułam, kiedy otworzyłam następną rzuconą mi na kolana karteczkę i zobaczyłam, że narysował na niej serce.

Nic więcej. Tylko maleńkie serduszko.

Mogłam to rozumieć tylko w jeden jedyny sposób. David mnie kocha. On mnie kocha!

Kocha mnie!!!

Kocha.

Tydzień potem odbyła się ceremonia wręczenia odznaczeń. Ta, na której dostałam od prezydenta medal. No wiecie, za męstwo i tak dalej.

Nie ubrałam się na czarno. Nawet nie miałam na to ochoty. Było mi wszystko jedno, co założę. Kiedy jesteś zakochana, tak właśnie się czujesz. Nie dbasz o takie drobiazgi, jak ubranie, bo jesteś w stanie myśleć wyłącznie o obiekcie swoich uczuć.

No cóż, chyba że masz na imię Lucy.

Bo mimo że mnie było wszystko jedno, jak wyglądam, mama, Theresa i Lucy zadbały o to, żebym wyglądała dobrze. Włożyły na mnie kolejny kostiumik - tym razem jasnyniebieski - a potem, po ceremonii rozdania odznaczeń, kiedy jedliśmy ciasto w Sali Złotej, David powiedział, że ten kolor pasuje do moich oczu.

W każdym razie ceremonia, tak jak obiecywano, odbyła się przed oficjalną choinką bożonarodzeniową Białego Domu w Błękitnym Pokoju. Było tam bardzo pięknie wśród tych wszystkich dekoracji i światełek.

Tu była bardzo poważna uroczystość. Znalazł się na niej każdy. Ktoś coś znaczył. Włącznie z tymi wszystkimi pułkownikami w eleganckich mundurach, senatorami w garniturach i moją rodziną, Theresą, Catherine i jej rodziną, Candace Wu i Jackiem, i Pete'em, i Susan Boone, których zaprosiłam jako gości specjalnych.

Prezydent wygłosił mowę na mój temat i sprawił, że przepełnił mnie patriotyczny duch. Brzmiała tak:

- Samantha Madison, odznaczam cię tym medalem za wielkie męstwo w obliczu zagrażającego niebezpieczeństwa...

Bła, bła, bła. W gruncie rzeczy, ciężko mi się było skupić, bo David stał tuż obok swojego taty i wyglądał super.

Nie mieści mi się w głowie, że były takie czasy, kiedy uważałam, że w krawacie David wygląda idiotycznie. Teraz, kiedy go widzę w jednym z nich, całą mnie ogarnia takie *frisson*... Prawdę mówiąc, ogarnia mnie na widok Davida w czymkolwiek...

W każdym razie, kiedy dostałam już medal - z prawdziwego złota zawieszony na czerwonej aksamitnej wstążeczce - wszyscy zaczęli klaskać, a potem przez pół godziny musieliśmy pozować do miliona fotografii, a pozostali zajęli się ciastem. David nie poszedł po talerzyk, tylko zaczekał na mnie, a kiedy skończyliśmy już ze zdjęciami, podszedł i pocałował mnie w policzek. Jakiś fotograf zrobił nam wtedy zdjęcie, ale my się ani trochę nie

zawstydziliśmy. To dlatego, że przez cały ostatni tydzień bardzo dużo się całowaliśmy i to wcale nie w policzek.

I pozwólcie, że powiem wam jedną rzecz: całowanie - w którym, nie muszę chyba mówić, nie miałam zbyt dużego doświadczenia - jest bardzo przyjemne.

W każdym razie, kiedy dołączyliśmy do wszystkich jedzących ciasto, ruszyłam w obchód, starając się sprawić, by każdy, kogo zaprosiłam, poczuł się swobodnie. Na przykład przedstawiłam Susan Boone i jej chłopaka rodzicom Catherine, a David przedstawił Jacka i Lucy prokuratorowi generalnemu i jego żonie i tak dalej.

A potem, kiedy wszyscy ściskali sobie nawzajem dłonie i mówili, jak dobrze się bawią, David podszedł do mnie z jednym z tych swoich tajemniczych uśmiezków i szepnął:

- Chodź ze mną. Odszepnęłam;

- Dobra.

Wyszłam za nim z pokoju i przeszłam korytarzem do salonu, w którym po raz pierwszy jedliśmy razem hamburgery, wyglądając na trawnik przed Białym Domem.

A na parapecie, tam, gdzie David wydrapał moje imię, zobaczyłam, że jeszcze coś dodał.

Znak plusa.

I teraz napis brzmiał:

Dawid

+

Sam

Co nie jest złym sposobem na pozostawienie swojego śladu w historii.

Dziesięć głównych powodów, dla których cieszę się, że nie jestem Gwen Stefani:

10. Nie muszę jeździć w trasy koncertowe. Mogę siedzieć w domu ze swoim psem. I widywać się ze swoim chłopakiem, kiedy tylko zechcę... No cóż, aż do godziny policyjnej, czyli jedenastej wieczorem w weekendy i dziesiątej w dni powszednie, i tylko póki utrzymam na właściwym poziomie stopnie z niemieckiego.

9. Między szkołą, lekcjami rysunku, obowiązkami nastoletniej ambasadorki przy ONZ i życiem towarzyskim, naprawdę nie mam czasu, żeby się zastanawiać nad swoją garderobą. Ubieranie się w przypadkowe zestawy ciuchów w gruncie rzeczy wymaga ogromnej pracy.

8. Nie wydaje mi się, żeby śpiewanie i pisanie piosenek mogło być kiedykolwiek tak satysfakcjonujące, jak narysowanie naprawdę doskonałego jajka.

7. Gwen musi udzielać wielu wywiadów, co potrafię znakomicie zrozumieć jako nastoletnia ambasadorka przy ONZ, Ale Gwen rozmawia, na przykład, z magazynem „Teen People”, który dokładnie opisuje, co miała na sobie osoba udzielająca wywiadu. Ja udzielałam wywiadów takiemu „New York Times Magazine”, który w ogóle o tym nie pisze.

6. Gwen nosi masę rzeczy odkrywających pępek. Mój pępek nie jest specjalnie atrakcyjny. Na szczęście tata powiedział mi, że jeśli mnie kiedyś złapie z odsłoniętym pępkiem, to zmusi mnie, żebym całe lato przepracowała u niego w biurze jako ochotniczka, zamiast pozwolić mi rysować jajka i krowie czaszki u Susan Boone.

5. Według Theresy, której siostra jest dyplomowaną kosmetyczką, gdybym farbowała sobie włosy tak często jak Gwen, wszystkie by mi wypadły.

4. Gwen musi się prowadzić z niesfornymi chłopakami ze swojej kapeli. Jedyni chłopcy z którymi ja muszę się czasem prowadzić, to mój chłopak, chłopak mojej siostry i chłopak mojej najlepszej przyjaciółki, a żaden z nich, jak do tej pory, nie wyraził żadnego zainteresowania grą na perkusji praktycznie bez ubrania, co, jeśli chcecie znać moje zdanie, byłoby szalenie żenujące. Ale z drugiej strony rozumiem, że dla sztuki trzeba się poświęcać. Tak przypuszczam.

3. Gwen może nie być świadoma pewnego mało znanego faktu: geniuszkowie są najlepszymi chłopakami. Brzmi zaskakująco, ale to prawda. Pamiętacie te jego tajemnicze uśmiešky? On twierdzi, że to ja je wywołuję. Bo, powiedział mi, że nigdy nie sądził, iż uda mu się spotkać dziewczynę tak wyluzowaną jak ja.

Poza tym, coś jednak w tym jest, kiedy twoi rodzice naprawdę lubią osobę, z którą się spotykasz.

2. Siostra Gwen, chociaż przypuszczam, że to raila osoba, na pewno nie może być tak fajna jak Lucy, która - choć czasem po trafi być prawdziwym wrzodem na tyłku - w gruncie

rzeczy przez resztę czasu jest całkiem w porządku. To znaczy, chciała przecież ze względu na mnie rzucić chłopaka. Czy to wam coś mówi?

A oto najważniejszy powód, dla którego cieszę się, że nie jestem Gwen Stefani:

1. Bo wtedy nie byłabym sobą.



## **PODZIĘKOWANIA**

*Pragnę podziękować Beth Adler, Jennifer Brown, Barbarze Cabot, policjantowi z oddziałów specjalnych Mattowi Cabotowi, Sarah Davies, Joshem Horowitzowi, Michele Jaffe, Laurze Langlie, Abby McAden, Erice Markman, Ronowi Markmanowi, Davidowi Waltonowi i Benjaminowi Egnatzowi.*

*Szczególnie serdecznie dziękuję Tanyi, Julii i Charlotte Horowitz, które zainspirowały mnie do napisania tej książki.*